KTO Z KIM I PRZECIW KOMU

Ziemkiewicz o wojnie frakcji w Zjednoczonej Prawicy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 15/420 12–18 KWIETNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Portal Gazeta.pl propaguje nielegalną aborcję

CO SIĘ KRYJE ZA ABDYKACJĄ BENEDYKTA XVI – LISICKI O NOWEJ KSIĄŻCE MEOTTIEGO

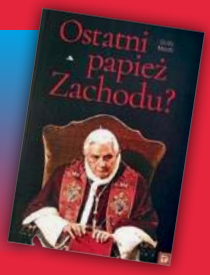

Wojna o amantadynę – czy zostanie ona uznana za lek przeciw COVID-19?

WYBIELANIE ZYGMUNTA BAUMANA

Stalinowca próbuje się awansować na autorytet moralny

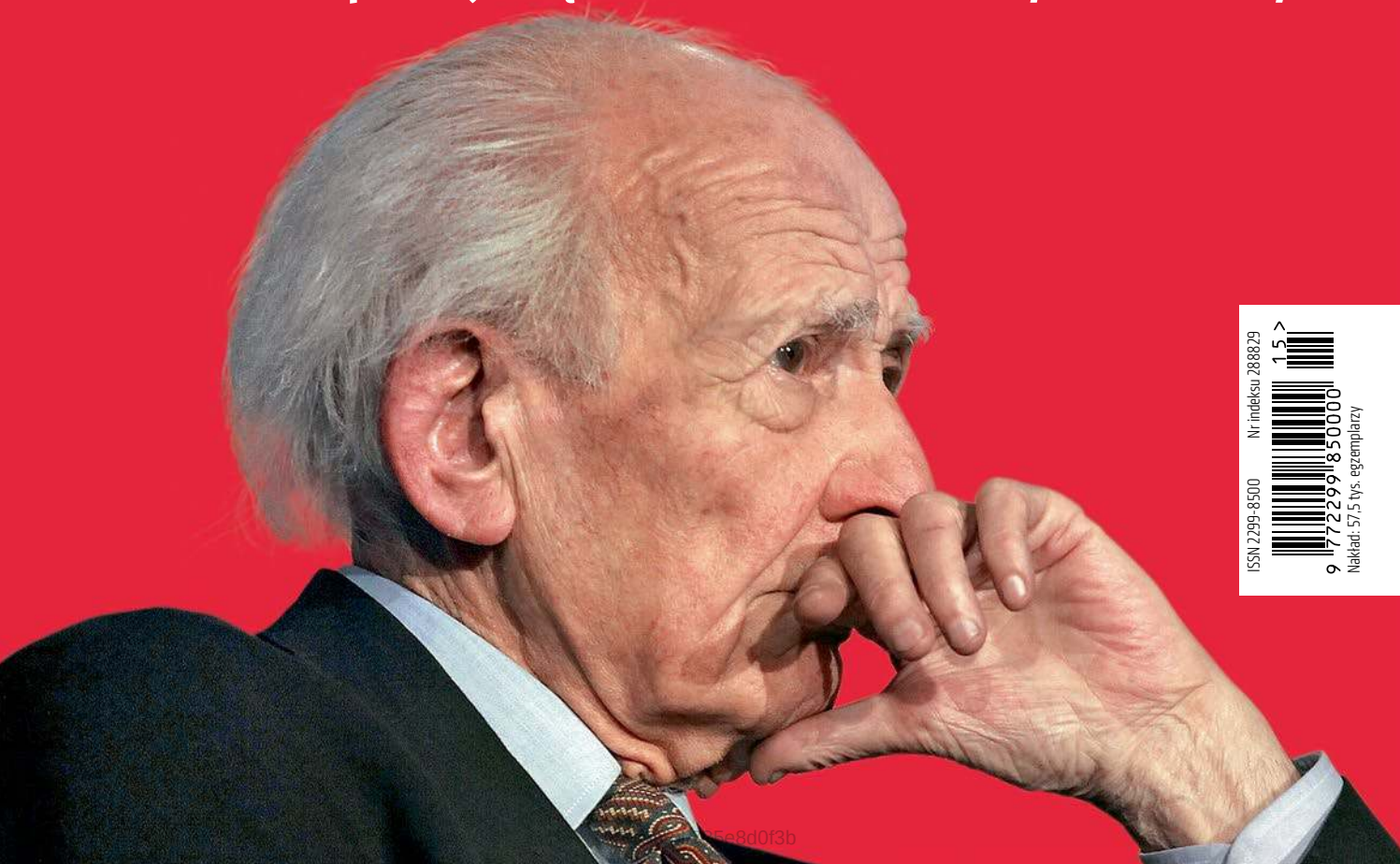

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

Dbam o swój portfel i środowisko!

Wybieram panele fotowoltaiczne od Energi

Obniż swoje rachunki już dziś! Pomożemy Ci ze wszystkim – od doradztwa, poprzez projekt, po wykonanie.

Postaw na pewnego partnera, ciesz się własną zieloną energią i pomagaj chronić środowisko!

Zyskaj 25 lat gwarancji producenta na panele fotowoltaiczne.

Dowiedz się więcej:
wejdź na energa.pl
lub zadzwoń: 555 555 505
(koszt wg taryfy Twojego operatora)

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 785e8d0f3b

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Rehabilitacja Judasza

Nie ma podłości i zdrady nie do wybaczenia! Nie ma żadnego sądu ani kary, która by ograniczała boską miłość! Pokochajmy Judasza, a wszystko stanie się dla nas jasne! Franciszek był pierwszym, który jasno nauczał, że człowiek jest bezwzględnie kochany takim, jakim jest. […] Dlatego przybieram sobie imię Judasza i więcej jeszcze! Pierwszą rzeczą, jaką zrobię po formalnym objęciu urzędu, będzie wyniesienie tego dwunastego apostoła na ołtarze" – to słowa bohatera mojej powieści „Epoka Antychrysta", papieża przyszłości, ściśle mówiąc – papieża wybranego w 2217 r. Napisałem ją trzy lata temu. Ten pomysł ściągnął na mnie falę krytyki, także ze strony katolickich publicystów. Jak tak można? Dlaczego przypisałem przyszłemu, a pośrednio obecnemu, papieżowi akceptację zdrady? – brzmiał jeden z zarzutów. Otóż dlatego, że na tym w istocie polega najgłębszy sens rewolucji dokonywanej przez Franciszka: to, jak rozumie on miłosierdzie, prowadzi do zniesienia podziału na dobro i zło. Jeśli Judasza można zbawić, mimo wyraźnych, przeciwnych słów samego Jezusa w Nowym Testamencie, to – używając języka Dostojewskiego – wszystko jest dozwolone. Dlatego rehabilitacja Judasza, ogłoszenie jego zbawienia, rozszerzenie miłosierdzia tak, by obejmowało ono najgorsze możliwe zaprzaństwo i bluźnierstwo, jest aktem kluczowym. Bez tego duchowy przewrót nie będzie pełen i całkowity. Czy miałem rację?

Tydzień temu „L'Osservatore Romano" w wydaniu na Wielki Czwartek na pierwszej stronie umieściło obraz nagiego Pana Jezusa, usługującego z czułością nieżywemu, przepasanemu czerwonym płótnem Judaszowi. „Judasz i skandal miłosierdzia" – tak brzmiał tytuł artykułu wstępnego, który napisał redaktor naczelny dziennika, Andrea Monda. Według niego Judasz to „najbardziej tragiczna i niepokojąca postać" Nowego Testamentu. Zdaniem redaktora naczelnego oficjalnego dziennika watykańskiego obraz stanowi swoisty komentarz do rozważań papieskich na temat możliwości zbawienia zdrajcy. Z artykułu dowiedziałem się, że na biurku Franciszka znajduje się zdjęcie rzeźby z bazyliki św. Marii Magdaleny w Vézelay w Burgundii, która to przedstawia rzekomo Chrystusa niosącego na swoich barkach Judasza, a w papieskim gabinecie wisi obraz, którego zdjęcie umieścił watykański dziennik na okładce. Piszę „rzekomo", bo nigdy wcześniej nikt nie interpretował rzeźby w Vézelay w ten sposób, jak to uczynił Franciszek: postacie, tak niosącego, jak niesionego, są niepodpisane, a kontekst jest niejasny.

L'OSSERVATORE ROMANO

GIOVEDÌ SANTO

Giuda è lo scandalo della misericordia

Watykański dziennik robi wszystko, by zrehabilitować Judasza. Przeczytałem, że ma on być moim bratem, że nie powinienem się za niego wstydzić. Okazuje się, że „w każdym z nas jest coś z Judasza". Następnie w tymże samym oficjalnym dzienniku Watykanu zamieszczono tekst niejakiego Giuseppe Berto, pisarza, który twierdzi, że negatywny obraz zdrajcy to dzieło czterech ewangelistów. Jakie to piękne! Watykański dziennik ogłasza w Wielki Czwartek, że ewangeliści oczernili biednego Judasza. Tezy, które można znaleźć u wielu zaprzysięgłych przeciwników Kościoła, teraz obecne są w piśmie, które, jak można sądzić, jest głosem Rzymu. Wreszcie, jakby tego było mało, czytelnicy dowiadują się z artykułu zmarłego dawno pisarza, Giovanniego Papiniego, że Judasz nie mógł wydać Pana Jezusa dla 30 srebrników, bo to byłoby za mało.

Nie mam zamiaru pokazywać, dlaczego wszystkie te tezy są w sensie historycznym nieprawdziwe – zrobiłem to w innych swoich książkach. Zdrada Judasza była przemyślanym, z zimną krwią przeprowadzonym aktem zaprzaństwa. Nie ma żadnego powodu, by nie wierzyć ewangelistom. Obecność zdrajcy w gronie dwunastu była dla pierwszych chrześcijan ogromnym problemem. Opis okoliczności jego zdrady jest zatem prawdziwy. Podobnie jak przekaz potępiających go słów Chrystusa i opowieść o nędznej śmierci samobójcy.

Kościół przez dwa tysiące lat przeciwstawiał rozpacz Judasza skrusze św. Piotra. Ten pierwszy nie tylko zaparł się Jezusa, lecz także wcześniej spiskował z arcykapłanami, a następnie faktycznie wydał Mistrza oprawcom, a gdy zrozumiał niegodziwość czynu, wpadł w rozpacz i ściągnął na siebie przekleństwo. Ten drugi nie spiskował ani nie wydał. Zabrakło mu jedynie odwagi, by przyznać się, że jest uczniem. Kiedy dostrzegł swą słabość, gorzko zapłakał.

Obecny Kościół pod przywództwem Franciszka to rozróżnienie odrzuca. Nowi nauczyciele uważają się najwyraźniej za lepszych od Jezusa. Głoszą, jak mniemają, bardziej jeszcze absolutne miłosierdzie.

Mylą się. To, co nazywają skandalem miłosierdzia, Kościół nazywał zawsze zuchwalstwem i zaliczał do grzechów przeciw Duchowi Świętemu. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 785e8d0f3b

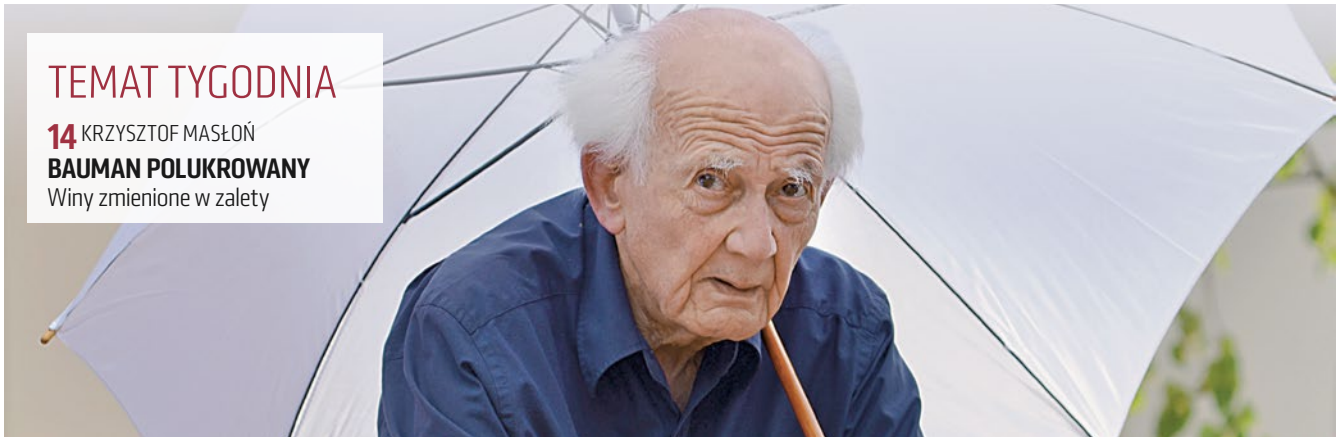

TEMAT TYGODNIA

14 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BAUMAN POLUKROWANY
Winy zmienione w zalety

KRAJ

20 ROZMOWA Z MARCINEM ROMANOWSKIM
FEDERALIZACJA NA SIŁĘ
Next Generation to nazwa superpaństwa

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZJEDNOCZONA PRAWICA JAKO BECZKA

26 KAMILA BARANOWSKA
SZCZERY JAK SENATOR

28 TOMASZ ROWIŃSKI
BRYKANIE POSŁA NITRASA

30 PAWEŁ SZAFRANIEC
PROPAGOWANIE NIELEGALNEJ ABORCJI

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
TĘCZOWY ANTYPOLONIZM

34 RADOSŁAW WOJTAS
W POWROTNĄ DROGĘ

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CELEBRYTA W KLATCE

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
PO BURZY?
Tajemnice ruchu QAnon

40 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
KRZYSZTOF KRAWCZYK – TRUBADUR PANA BOGA

47 GRZEGORZ KONDRASIUK
BOHATEROWIE SĄ ZMĘCZENI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 PAWEŁ LISICKI
OSTATNI PAPIEŻ ZACHODU?
Fragment posłowia do książki Giulia Meottiego

52 JERZY KARWELIS
CO Z AMANTADYNĄ?

56 ŁUKASZ WARZECHA
OBYWATELU, NAPISZ WSZYSTKO

HISTORIA

58 PIOTR ZYCHOWICZ
ZABIJ ALBO ZGIŃ!
Fragment nowej książki Piotra Zychowicza „Alianci"

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI
CHINY TRZYMAJĄ SIĘ CORAZ MOCNIEJ
Świat zmierza w kierunku nowej zimnej wojny

66 WITOLD REPETOWICZ
EFEKT PFIZERA

EKONOMIA

68 ŁUKASZ ZBORALSKI
WIDELEC WBITY W PLECY
Antyplastikowa ustawa

70 PIOTR WŁOCZYK
GORĄCZKA ZŁOTA À REBOURS

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
IDEALNY NARZECZONY
Sukces Huberta Hurkacza

O ZDROWIU

76 ROZMOWA Z PROF. GRAŻYNĄ RYDZEWSKĄ
LECZĄC JELITO, MOŻNA UNIKNĄĆ RAKA
Choroby jelit w dobie COVID-19

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (78), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 785e8d0f3b

Drodzy Czytelnicy!

Czekamy na Wasze komentarze i opinie. Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Rozbój w biały dzień

Szanowna Redakcjo!

[...] Kiedy jako młode małżeństwo nabyliśmy w 2005 r. mieszkanie w małym, przedwojennym domku na warszawskim Grochowie, płaciliśmy ok. 54 zł miesięcznie za wywóz śmieci raz w tygodniu (pojemnik 110 litrów). Kiedy trzy lata później zrobiliśmy generalny remont i na ten czas zawiesiliśmy umowę z MPO, ponowne jej

zawarcie po trzech miesiącach było już na nowych zasadach: sortowane będą tańsze, niesortowane droższe. Wybraliśmy sortowanie: czyli zmieszane raz w tygodniu i „sortowane suche" raz na dwa tygodnie za 51,36 zł/mc. Sortowane suche obejmowały wszystkie w miarę suche i dające się ponownie zużyć materiały wtórne (szkło, plastik, karton, metal), a firma podstawiła nowy duży kosz 240 l. I tak to działało bardzo dobrze z niewielkimi podwyżkami (do kwoty 58,32 w roku 2011) aż do rewolucji z roku 2013. Wtedy to nagle wywleczono temat kosztów wywozu odpadów jako „wabik wyborczy" – że teraz jak gmina się tym zajmie, a nie „prywaciarze" – tfu! – prywatne firmy, to na pewno będzie taniej, bo to nie może być tak drogo. Nam, jako rodzinie, koszt ok. 12–15 zł za pojemnik wydawał się całkiem racjonalny i ekonomicznie uzasadniony, więc z całkowitym zaskoczeniem i nieufnością przyjęliśmy rewelację w postaci obniżki kosztu wywozu śmieci na 10 zł (lipiec i sierpień 2013 r.). Tak absurdalnie niska kwota ustalona przez gminę, która „przejęła" na siebie organizację odbioru odpadów, okazała się już we wrześniu za niska i podniesiono ją do 37 zł. Potem przed kolejnymi wyborami samorządowymi obniżono ją w roku 2018 do 30 zł. [...]

Kolejna bomba wybuchła w kwietniu 2020 r., kiedy zmiana stawek na 96 zł od mieszkania – czyli podwyżka ponad trzykrotna – powiązana została z absurdalnym wymogiem rozliczania się wspólnie z obcymi ludźmi (budynek jest dwulokalowy, ale nie jest jednorodzinny, odrębne księgi, zupełnie obcy ludzie). Okazało się, że formularze są tak skonstruowane, iż nie przewidują budynków takich jak nasz: ma płacić jeden ze współwłaścicieli (188 zł za oba lokale w budynku) i mieszkańcy mają rozliczać się prywatnie między sobą. I znów: Dlaczego ustawa wkracza w prywatne relacje sąsiedzkie? Dlaczego ja mam wchodzić w jakieś zależności finansowe z obcymi ludźmi?

Kolejny koszmar, czyli obecna ustawa i nowa stawka na podstawie zużycia wody – wspólny licznik główny, brak możliwości rozdzielenia instalacji i rozliczanie proporcjonalne do liczby osób zamieszkujących lokale: w naszym przypadku wychodzi 220 zł/mc [...]. Jest to podwyżka ponad stuprocentowa i niczym nieuzasadniona. Skąd wzięto absurdalnie wysoką stawkę 12,73 zł za metr sześcienny zużytej wody?

[...] Czy nie wystarczyło zobligować wszystkich do zawarcia umowy na odbiór śmieci z wybraną firmą, a ta firma rozliczy się z gminą i zda sprawę z realizacji zadania, jakim byłby obowiązek świadczenia takiej usługi? Przecież te firmy obracały materiałami wtórnymi i w ich interesie było takie kształtowanie kosztów, żeby to było opłacalne. I było. Nawet inwestowały w nowe instalacje do sortowania i spalarnie. Dlaczego rozwalono ten rozwijający się nieźle sektor gospodarki odpadami?

Teraz, kiedy przejęły kontrolę nad tym gminy, nikomu nie zależy na obniżaniu kosztów (czyli odzyskiwaniu pieniędzy ze sprzedaży materiałów wtórnych), bo przecież gmina nie będzie się zajmować handlem. Urzędnik ma sprzedawać śmieci i zarabiać dla gminy? A fe! Urzędnik przerzuci podatek na ludzi i tyle. Gospodarka socjalistyczna w pełnej krasie. Albo gruby przekręt. [...]

Mieszkanka Warszawy

Wyjaśnienie

W tekście „Pandemia nie powstrzymała polskich spółek" („DRz" 13/2021) popełniliśmy błąd. Zdanie, w które wkradła się pomyłka, powinno brzmieć: „Warto podkreślić, że w styczniu 2002 r. stopa bezrobocia w Polsce wynosiła niemal 20 proc. i była jedną z najwyższych w Europie".

Redakcja

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk**, **Paweł Żdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Danuta Matloch/REPORTER, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż): **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 785e8d0f3b

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pod sowiecką okupacją

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Jeśli wśród liderów Polskiego Państwa Podziemnego był ktoś, kto wierzył, że rozwiązanie AK rozładuje choć w niewielkim stopniu napięcie i spowoduje zmniejszenie terroru, to rychło otrzymał dowód, że o żadnej normalizacji nie może być mowy. W lutym 1945 r. na ulicach miast objętych władzą PKWN pojawił się słynny, barwny plakat propagandowy autorstwa Włodzimierza Zakrzewskiego: „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji AK". Czesław Miłosz wskazywał na Stefana Jędrychowskiego, ważną postać Wydziału Informacji i Propagandy PKWN, jako pomysłodawcę i autora nienawistnego hasła. Ten plakat spowodował gigantyczny wzrost woli zbrojnego oporu ze strony AK-owców. Nawet ci członkowie AK, którzy potem przeszli na stronę władzy, wspominali po latach szok i upokorzenie, które wywołał ten akt agresji propagandowej. Henryk Korotyński, który wrócił do Warszawy w sierpniu 1945 r., wspominał: „Szczególnie gorzkie spośród pierwszych wrażeń: sławetny plakat z napisem »AK zapluty karzeł reakcji«, piękna perspektywa przed nami i ładna mi Jedność Narodowa – notuję". W filmie „Katyń" Andrzeja Wajdy śmierć młodego AK-owca ściganego przez patrol MO jest wynikiem splotu wydarzeń, którego początkiem jest zerwanie obraźliwego plakatu.

Po klęsce powstania, aresztowaniach po akcji „Burza" i rozwiązaniu AK kolejnym ciosem, który dosięgł Polskie Państwo Podziemne, było aresztowanie „Szesnastu". I znów nie jest łatwo ocenić okoliczności, w których przywódcy Armii Krajowej, Delegatury Rządu i Rady Jedności Narodowej przyjęli oszukańczą propozycję rozmów ze strony fikcyjnego generała Pimienowa. Na pewno mściło się przekonanie dużej części aresztowanych, że trzeba korzystać z okazji i potraktować serio propozycję rosyjską. I znów powrócił psychiczny szantaż: Jeśli odrzucimy ofertę Rosjan, to udowodnimy, że nie chcemy porozumienia, i Stalin wykorzysta to przeciwko nam w rozmowach z USA i Wielką Brytanią. Na pewno najgorszą rolę w czasie dyskusji nad przyjęciem propozycji rosyjskiej odegrali ludowcy, którzy już po cichu kibicowali staraniom Mikołajczyka o wejście do koalicyjnego rządu tymczasowego. Bardzo krytycznie o motywacjach dużej części „Szesnastki" piszą tak wyważeni historycy jak Władysław Pobóg-Malinowski i Tomasz Strzembosz. […]

W tej atmosferze podstęp sowiecki musiał się udać. Żaden z czytających o tamtym strasznym czasie nie jest w stanie wyobrazić sobie metod, jakimi łamano „Szesnastkę". Ich nazwiska otacza w Polsce szacunek, jaki w naturalny sposób przyznaje się ofiarom sowieckiej perfidii i okrucieństwa. Ale nie sposób powstrzymać się od refleksji, że władze Polskiego Państwa Podziemnego, tak dobrze przewodzące narodowi w czasie okupacji hitlerowskiej, okazały się absolutnie niezdolne do sprostania okupacji sowieckiej. ©℗

NIE ŻYJE KSIĄŻĘ FILIP, MĄŻ BRYTYJSKIEJ KRÓLOWEJ

W wieku 99 lat zmarł mąż brytyjskiej królowej Elżbiety II, ojciec następcy tronu księcia Karola i dziadek książąt Williama i Harry'ego. „Jego Królewska Wysokość odszedł spokojnie dziś rano na zamku Windsor" – poinformował w piątek pałac Buckingham. Książę Filip był najdłużej pełniącym służbę królewską małżonkiem w historii Wielkiej Brytanii.

Filip i Elżbieta – którą poślubił w 1947 r., pięć lat przed jej koronacją na królową – doczekali się czworga dzieci, ośmiorga wnucząt i dziesięciorga prawnucząt.

W 2017 r. książę wycofał się z życia publicznego. W lutym obecnego roku trafił do szpitala, w którym spędził kilka tygodni. ***(jap)*** ©℗

FOT. JOE GIDDENS/PA IMAGES/EAST NEWS

ROSJA I UKRAINA NA SKRAJU WOJNY?

Rosja wzmocniła obecność wojskową na okupowanym Półwyspie Krymskim. Ciężka artyleria, wojska pancerne oraz rakiety ziemia-powietrze zmierzały też pociągami w rejon Donbasu, gdzie po krótkim okresie zawieszenia broni znów toczą się walki między prorosyjskimi rebeliantami a ukraińskim wojskiem. Nie wiadomo, czy Moskwie chodzi jedynie o zastraszenie Kijowa, czy też Rosja szykuje się do zbrojnej inwazji.

– Ukraina nie jest osamotniona w obronie swej suwerenności – oświadczył szef polskiego MSZ Zbigniew Rau. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sława kabla

Internet pozwala zrozumieć, jak to wyglądało przed laty, gdy przyłapany na czymś dzieciak zmyślił na przykład, że porwali go Żydzi i nakłuwali na macę, i po paru godzinach dyszący oburzeniem motłoch puszczał żydowską dzielnicę z dymem. Szybkość rozchodzenia się bzdur w mediach społecznościowych i łatwość podjudzania do najobrzydliwszych zachowań każe zresztą na ten dawny motłoch patrzeć z pewnym rozrzewnieniem. Dzisiaj rzucenie hasła do pogromu od samego pogromu dzielą minuty – i nie zmienia istoty sprawy, że w Internecie zabija się tylko wirtualnie, bluzgiem i szyderą.

Jeden pan, podpisujący się jako architekt, wypatrzył na zdjęciu prezydenta, konkretnie na telefonie, przez który prezydent rozmawiał, coś, co wydało mu się gniazdkiem do podłączenia aparatu. A ponieważ kabla w nim nie było, zakreślił to miejsce czerwonym kółkiem i puścił do sieci jako odkrycie, że prezydent rozmawia przez telefon, który w ogóle nie jest podłączony. Ha, ha, ale jaja! W ciągu pół godziny zdjęcie obleciało od brzegu do brzegu i wielekroć bańkę zwolenników opozycji, owocując lawiną komentarzy, przeważnie nieopisanie chamskich, na temat rzekomej głupoty głowy państwa i jego PR-owców.

Internetowy motłoch motłochem, ale tu mamy coś nowego: zdjęcie całkowicie bezmyślnie wrzuciły natychmiast na czołówki media, które zapewne chciałby uchodzić za poważne: Radio Zet, Onet, TVN24 itp. I o ile wrzuciły je natychmiast, o tyle wyjaśnienia, które pojawiło się w sieci już po paru minutach, długo nie zauważały, zachwycone prędkością obrotów licznika kliknięć. A gdy już zauważyły, to przerobiły materiały w coś kuriozalnego: tytuł, że prezydent idiota „rozmawia" przez niepodłączony telefon, tekst pełen złośliwości, a na końcu, jeśli kto doczyta, wyjaśnienie, że pan architekt pomylił z gniazdkiem przełącznik głośności dzwonka, a kabel był podłączony normalnie, obok, tylko trzeba się przyjrzeć. Wylany w komentarzach pod publikacją gnój oczywiście pozostawiły redakcje bez żadnej ingerencji.

Potem tacy „dziennikarze" labidzą, że właściciele medialnych korporacji mało im płacą. A niby za co? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zwyczajny antyfaszyzm

Za PRL kino „moralnego niepokoju" dosyć mnie drażniło. Nie same filmy, ale koncept „niepokoju", że wokół nas dzieje się coś złego, jakby problemy z cenzurą w reżimowej gazecie były czymś gorszym niż codzienny ucisk i brak niepodległości. Potem przez lata złośliwie powtarzałem, że czekam, aż w świecie liberalnym pojawi się jakiś „moralny niepokój". Ale w sztukę warto wierzyć i w końcu nie tylko się pojawił, lecz także takich filmów jest coraz więcej. Trzeba je tylko znaleźć i pokazać innym.

Dzisiaj zresztą rozumiem, że gdy mamy do czynienia z ideologiczną kontrolą – obojętnie, czy jest to nadzór administracyjny, środowiskowy czy finansowy – wówczas krytyka wprost w kinie, którego przecież nie tworzy się indywidualnie, rzadko jest możliwa, więc prawda życia narodu może się niekiedy wyrazić jedynie poprzez świeże spojrzenie i dziecięce pytania naiwnych.

Takim dostępnym dziś serialem moralnego niepokoju jest hiszpańska „Patria". Jej niepoprawność polityczna zawiera się już w tym, że działalność ETA, owianej nimbem „antyfaszystowskiej walki z frankizmem", pokazuje zwykły polityczny bandytyzm, wyzuty z empatii, terroryzujący własne baskijskie społeczeństwo, deprawujący młodych ludzi.

Film niezwykle celnie obrazuje nienawiść społeczną, są tam bowiem i drobny przedsiębiorca, wręcz wyzyskiwany przez swoich pracowników, i związkowy warczygłowa, dający z pomocą terrorystów upust najzupełniej bezinteresownej zawiści. A tytuł filmu wcale nie jest ironiczny. Symbole tytułowej baskijskiej ojczyzny są naprawdę piękne. Rzeka, płynąca niczym kolejne pokolenia. Święty Ignacy Loyola, słuchający skarg w kościele i cierpliwie korygujący sumienia. Miłość do języka. Wszystko to nienawiść, separatyzm podszyty marksizmem i bandycki terroryzm jedynie profanują. A spływający z płaczącego Nieba deszcz obmywa nie tylko umęczony terroryzmem kraj, lecz także umysły tych, którzy mogą ten film oglądać. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rasistkach szwedzkich

Pod koniec marca portal informacyjny Breitbart podał wyniki badań szwedzkiej organizacji „Zbiorowy gwałt – Szwecja", z których wynika, że sprawcami 9 na 10 gwałtów zbiorowych zgłoszonych policji są migranci – muzułmanie, głównie z Afryki, Bliskiego Wschodu i Sahelu.

Cóż na to złożony w większości z kobiet rząd Szwecji? Ano, że to nieprawda, że to przejaw galopującego rasizmu szwedzkich kobiet, szczególnie ofiar zbiorowych gwałtów. Dosłownie. Szwedzka Rada Narodowa ds. Przestępczości, agenda rządowa, wyjaśnia, co następuje: „Tak duży odsetek rzekomych gwałtów popełnionych przez migrantów w statystykach może wynikać z tego, że najprawdopodobniej Szwedki zgłaszają zbiorowe gwałty popełnione przez obcokrajowców, a nie zgłaszają tych, których dopuszczają się rdzenni Szwedzi".

Poraża totalny brak empatii dla ofiar i brak jakichkolwiek propozycji, jak walczyć ze zjawiskiem. Suche dane statystyczne, z którymi trudno dyskutować, zderzyły się z niczym nieudokumentowanymi domysłami. Szwedzkiej Radzie nie przeszkadza horrendum zbiorowego gwałtu, a wadzi jej jedynie nieprzychylna wobec przybyszów statystyka. Dokonała więc ona przewrotu kopernikańskiego. Odium spadło nie na gwałcicieli, ale na ich ofiary.

W Wielkiej Brytanii sprawy zaszły jeszcze dalej. Skargi kobiet zgwałconych przez przybyszów są lekceważone jako „rasistowskie stereotypy". Kiedy zasiadająca w Izbie Gmin Sarah Champion z Partii Pracy z oburzeniem skomentowała serię zbiorowych gwałtów na Brytyjkach popełnionych przez gang Pakistańczyków, postępowe organizacje i media oskarżyły ją o „rozpalanie pochodni nienawiści rasowej" i o to, że „działa jak neofaszystowski morderca".

Walka z rasizmem przybiera coraz bardziej absurdalne formy. Przed trybunałem niedouczonych aktywistów stają postacie historyczne, takie jak Kolumb czy Churchill, i dzieła wielkiej literatury. Co gorsza, ta wszechświatowa krucjata ignorantów przekształca się w groźną rasistowską ideologię. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Wielkie idee i maciupki

Po raz kolejny Twitter okazał się nośnikiem wielkich, ponadczasowych idei, które dźwigać muszą maciupcy ludzie, gdyż gigantom chyba się nie chce. Nowa idea brzmi tak: „Bez pracy jest komputer". Aktywistka Hanna M. Zagulska zamarzyła sobie mianowicie, żeby mieć nowy komputer, gdyż miała urodziny 30. Czy w związku z tym wzięła się na przykład do roboty? Bez przesady, mówimy przecież o kreatywnej aktywistce, która aktywnie założyła zbiórkę, żebraninę w Internecie na jakże szlachetny komputer, i poinformowała o tym na TT. Bardzo jej społeczność pozazdrościła owego kroku, a niektórzy posunęli się nawet do samokrytyki, jak choćby znany mi osobiście dziennikarz Marcin Makowski, który bił się w piersi za brak pomysłowości: „A ja pół roku w Anglii w kuchni pracowałem, żeby wyjechać na studia do Krakowa za swoje. Człowiek nawet nie wiedział, jaki był naiwny". Po chwili wywiązała się dyskusja fundamentalna. Agnieszka Gozdyra zareagowała na żebraninę wprost: „Z zawodu jestem aktywistką. Dej stówkę". Wówczas w obronie pani Zagulskiej stanął dysponujący urzekającym intelektem Jaś Kapela, podobno prywatnie jej partner (nie wiem, czy nie urażam lewicy, pisząc „partner"; jeśli urażam, to powtórzę: „partner", „partner"). Kapela zadał Gozdyrze pytanie dramatyczne: „To proszę mi wytłumaczyć, skąd mają brać pieniądze aktywistki, żeby pani tego nie wyśmiewała?". Jaśko z pewnością nie spodziewał się takiej odpowiedzi, otóż redaktor Gozdyra spytała retorycznie: „Z pracy?". I to był knock-out. Lewicowe żebractwo na komputer pewnie nie jest ostatnim słowem aktywistów. Wyobrażam sobie, że Kapela z Zagulską zamarzą sobie wycieczkę na Malediwy. Trzymam kciuki.

Tymczasem w Internecie żebranie kwitnie. Nazwijmy to – kontrowersyjny Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych informuje: „Szanowni Państwo, w lutym i marcu znacząco spadły nasze wpływy i jednocześnie wzrosła ilość spraw, którymi się zajmujemy. Bez owijania w bawełnę i zbędnego krygowania się do zamknięcia miesiąca brakuje nam 4700 zł". Do tej zbiórki odniósł się na TT Rafał Otoka-Frąckiewicz: „Pragnę donieść, że reketierzy Grubasa z Norwegii migają się od wytoczenia mi procesu kłopotami finansowymi". Nie wiadomo, czy nie chodzi o byłego szefa OMZRiK Rafała Gawła, który został skazany za oszustwa i znalazł azyl w Norwegii. Nie wiadomo, ale monitorujemy. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

Nauka i biznes razem dla gospodarki

Piotr Hofman

Polska to kraj o wspaniałych tradycjach związanych z osiągnięciami naukowymi. Chyba nie do końca zdajemy sobie sprawę z tego, jak wielki był wkład naszych rodaków, jeśli chodzi o rozwój ludzkiej wiedzy w XX w. Trudno np. znaleźć poważnego matematyka na świecie, który nie słyszałby o Stefanie Banachu. Ten samouk i geniusz rozwinął nowy dział matematyki znany jako analiza funkcjonalna.
I chociaż wielu nie kojarzy się to z niczym praktycznym, to proszę mi wierzyć, że odkrycia Banacha i jego kolegów z przedwojennej lwowskiej szkoły matematycznej mają liczne i bardzo ciekawe zastosowania w praktyce. Nie jest bowiem tak, że uniwersytet czy politechnika oraz biznes to dwa oddzielne i odseparowane od siebie światy. Jest zupełnie odwrotnie. Nie ma prawdziwego rozwoju gospodarki bez efektywnej współpracy ze światem nauki. Im układa się ona lepiej, tym większa szansa na innowacyjne i przez to bardziej konkurencyjne przedsiębiorstwa.

Środowiska naukowe i biznesowe nie mogą się zatem od siebie izolować. W wielu dziedzinach życia muszą iść razem, bo te dwa obszary mają zdolność, aby się wzajemnie napędzać, stanowić dla siebie inspirację i w ten sposób służyć budowaniu czegoś wielkiego. Monumentalny gmach świata nauki powinien być zatem otwarty dla ludzi przedsiębiorczych, a ci z kolei powinni chętnie do niego przychodzić, aby z pokorą czerpać i uczyć się nowych rzeczy. Warto przy tym, obok sprawdzonych i utytułowanych nazwisk, stawiać także na młodych. Ciekawość, która towarzyszy ludziom wchodzącym w dorosłość, potrzeba poszukiwania nowych rozwiązań, chęć odkrywania – to coś, co warto pozytywnie wykorzystać. Przy tym młodzi są nastawieni na praktykę, chcą działać, aby pokazać swoją sprawczość. Te cechy mają wyjątkową wartość także w biznesie.

Jestem przedsiębiorcą z 25-letnim stażem. Od lat przyglądam się również polskiej gospodarce z szerszej perspektywy. To, co wiedzę, to nagląca i wciąż rosnąca potrzeba lepszego zagospodarowania potencjału, który drzemie w ludziach. Kiedy się go wyzwoli, wtedy ukazuje on w pełni swoje możliwości. A skorzystać mogą na tym wszyscy. Dlatego w ramach Grupy Kapitałowej HM Inwest postanowiliśmy przejść od słów do czynów i zdecydowaliśmy się zaproponować młodym ludziom będącym na studiach udział w konkursie. Zależy nam na połączeniu nauki i praktyki biznesowej. Działamy w branży budownictwa mieszkaniowego, stąd temat: „Nowoczesne technologie w budownictwie mieszkaniowym". Zgłaszać można prace dyplomowe obronione w roku akademickim 2020/2021. Działamy także na rynku poznańskim, stąd pierwsza edycja zorganizowana zostanie we współpracy z Politechniką Poznańską. Udało nam się uzyskać patronat rektora tej zacnej uczelni oraz Polskiego Związku Firm Deweloperskich. Gorąco zachęcam do udziału w tym konkursie (więcej szczegółów na stronie Grupy Inwest w zakładce „konkurs) studentów poznańskiej politechniki. Jestem przekonany, że kapituła oceniająca nadesłane prace będzie miała okazję zapoznać się z ciekawymi propozycjami.

Liczę, że dzięki temu wydarzeniu także biznes, którym ja mam zaszczyt zarządzać, wniesie swój skromny wkład na niwie współpracy nauki i praktyki gospodarczej. Jestem przekonany, że to dobry kierunek.

eprasa.pl 785e8d0f3b

ZBĘDNE RZECZY

Celebrytka Agnieszka Kaczorowska, bardziej znana jako Bożenka z „Klanu", spodziewa się drugiego dziecka, o czym nieustannie przypomina światu na swoim Instagramie. Ostatnio oznajmiła, że właśnie urządza pokój dla nowego członka rodziny i wiąże się to z pewnymi niedogodnościami. „U nas dziś dzień ogarniania... Wybieramy mebelki do pokoju bobo... Myślimy, jak się zorganizować przy nadchodzących zmianach... Przede wszystkim zastanawiamy się, co zrobić z tymi wszystkimi rzeczami, na które ciągle nie ma miejsca" – napisała. Jej wpis nie przypadł do gustu części fanek, które wytknęły jej, że narzeka na brak miejsca, choć ma duży dom, a niektórzy ludzie całe życie muszą się cisnąć w kawalerkach. Agnieszka postanowiła odpowiedzieć. „Nie piszę, że nie mam miejsca, jest nam dobrze i jesteśmy szczęśliwi... Napisałam jedynie, że próbujemy znaleźć miejsce na rzeczy, na które ciągle nie ma miejsca, i myślę, że każdy, niezależnie od metrażu, ma takie rzeczy" – odpisała. Ci, którzy nie dostają ich w reklamowych barterach, pewnie mają ich jednak mniej. Ale co my tam wiemy...

SZUKANIE ROZUMU

Biedna Anna Mucha w 41. roku swojego życia odkryła, że w święta sklepy są pozamykane. I postanowiła tym odkryciem podzielić się ze wszystkimi na Instagramie. A przy okazji zapytać, gdzie w stolicy w święta dostanie wodę i gałkę muszkatołową. – Gdzie w Warszawie ateiści, agnostycy i innowiercy robią zakupy w święta? Wody szukam, gałki muszkatołowej szukam – żaliła się. Rozumu powinna poszukać. Ale to towar dużo bardziej deficytowy niż gałka muszkatołowa w święta.

OD RAZU GORĄCO

Aktorka Kasia Cichopek dołączyła do grona gwiazd, które postanowiły wyjechać na egzotyczne wakacje, by uciec przed ponurą pandemią, która panuje w kraju. Cichopek zarzuca nas więc teraz zdjęciami z ciepłej Dominikany, gdzie spędza urlop. I nie widzi w tym nic złego, bo przecież każdy, kto chce, to może sobie tam pojechać. Więc w czym rzecz? – Moja rajska wiosna. Mój czas dla siebie i mojej rodziny z witaminą D – pochwaliła się na Instagramie. – Uciekliśmy, potrzebowaliśmy tego bardzo, żeby naładować akumulatory, przestrzegając oczywiście wszelkich zasad sanitarnych, zgodnie z przepisami. Bo już piszecie mi, że jedni mogą, a inni nie mogą wyjeżdżać, że to nie fair. Wszyscy mogą, granice nie są zamknięte – wyjaśniła celebrytka. A nawet jak nie mogą, bo np. walczą z chorobą, to jak popatrzą na zdjęcia Cichopek, to od razu im się gorąco zrobi. Z wściekłości.

FOT. PAWEŁ GROMADA

NARÓD NIEWDZIĘCZNY

Następna gwiazda, która postanowiła zagrać na nerwach swoim fanom, to aktorka Kasia Warnke, która udała się na urlop na ulubiony w ostatnim czasie przez celebrytów Zanzibar. Jej relacje z wakacji możemy śledzić – a jakże! – na Instagramie. „Przesyłam moc słońca spod równika. Zdjęcie niefrasobliwe jak na czasy, w których żyjemy, ale mam nadzieję, że wnoszące trochę optymizmu i wiary w to, że nie będzie nam trudno wrócić do normalności, kiedy tylko nadejdzie w końcu ta chwila" – pisze celebrytka. Tak właśnie! Kasia Cichopek i Kasia Warnke pojechały na wakacje, by zdjęciami stamtąd wlać w naród trochę otuchy w tych trudnych czasach. Tylko ten naród niewdzięczny nie potrafi tego docenić.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

ZA CZYM TA KOLEJKA?

Maryla Rodowicz poinformowała, że została zaszczepiona przeciwko COVID-19. Ale nie jak niektóre gwiazdy po znajomości, lecz poczekała na swoją kolej. Po czym postanowiła opowiedzieć „Super Expressowi" o swoich wrażeniach ze szczepienia. – Dzisiaj jest czwarty dzień po szczepieniu, czuję się świetnie. Może pierwszej nocy miałam lekką gorączkę, ale ja nie zwracam uwagi na takie drobiazgi – relacjonowała. W magazynie „Twoje Imperium" uzupełniła zaś relację o to, jak na jej widok zareagowali inni ludzie czekający na szczepienie. „W takiej dużej hali kręciło się mnóstwo lekarzy i pielęgniarek, oczywiście wszyscy w maseczkach. Cała ekipa była szalenie miła. A po szczepieniu ustawiła się do mnie długa kolejka po autografy, znacznie dłuższa, niż ma to miejsce po koncercie. W sumie było bardziej przyjemnie" – wyznała. Pytanie, czy to aby na pewno była kolejka po autografy, a nie po szczepionki, pozostawiamy otwarte. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, znamy coraz więcej przecieków na temat tego, czego dotyczyć będzie rządowy Nowy Polski Ład. Sprawdziliśmy i na razie nie ma tam ani jednego z forsowanych przez nas od lat postulatów.

Przede wszystkim nadal nie ma planów podniesienia płacy minimalnej do poziomu średniej krajowej. Nie widzieliśmy, iżby ktoś pochylił się nad propozycją czterodniowego tygodnia pracy oraz dwugodzinnego dnia pracy.

Po prostu mamy do czynienia z nieśmieszną promocją skrajnego neoliberalizmu. Tak w ogóle to te wszystkie rządowe obostrzenia zainspirowały nas do opracowania kilku propozycji reform, jakie w Nowym Ładzie możliwe, że się znajdą:

– kwota wolna od podatku w wysokości 35 tys. zł, ale tylko dla osób urodzonych we wtorki na lewym brzegu Wisły;

– zwolnienie z VAT dla osób leworęcznych, ale dokonujących zakupów wyłącznie w sklepach wielkopowierzchniowych objętych reżimem sanitarnym w nieparzyste dni miesiąca;

– stawka podatku 75 proc. dla bogaczy zarabiających powyżej 5 tys. zł netto miesięcznie, z wyjątkiem osób, które w ciągu ostatnich 20 lat przynajmniej raz zagłosowały na partie lewicowe;

– podniesienie płacy minimalnej do poziomu 10 tys. zł dla absolwentów studiów humanistycznych z województw wschodnich, pod warunkiem uzyskania średniej powyżej 3,0 i zaświadczenia o dyskalkulii.

Co myślicie o tego typu propozycjach? Jak najbardziej wpisują się w poziom ostatnich rozporządzeń, no nie? xD

Tyle się mówi o tych paszportach immunologicznych, że podróżować po Europie mogłyby tylko osoby zaszczepione oraz ozdrowieńcy. Szkoda, że nikt jeszcze nie wpadł na pomysł „paszportów poglądowych". Pomyślcie bowiem sami. Skoro jesteśmy jedną wielką europejską patchworkową rodziną, do której ten kraj niestety wprowadza element patologiczny, to podróżowanie po Europie powinno być dostępne dla tych, którzy te europejskie wartości podzielają.

Dlaczego niby taki wąsaty janusz z Podkarpacia ma mieć takie samo prawo do zwiedzania cywilizowanego świata jak przedstawiciele postępowych krajów zachodnich? Dla nas to same plusy – ograniczymy ekspansję januszy, Europa przestanie się z nas śmiać, a zaściankowe poglądy zostaną w tym kraju.

Pozostaje problem, jak to wszystko wyegzekwować, ale podłączenie na lotniskach pod elektrody monitorujące działanie fal mózgowych w reakcji na różne obrazy na początek wydaje się całkiem OK xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dyplom dzielnego pacjenta

Szymon, na cholerę tę szczepionkę brałeś?! Teraz mamy kolejny problem!
Michał, nie krzycz! Ja się stresuję, kiedy ktoś na mnie krzyczy i muszę zaraz brać coś na uspokojenie.

Nie krzyczę. Tylko po cholerę się szczepiłeś?
Bo naukowcy mówią, żeby się szczepić, a ja słucham nauki. Jakbym nie słuchał, tobym był foliarzem.

Ale musiałeś teraz? Przecież dużo starsi się jeszcze nie zaszczepili!
Nie krzycz, bo mnie głowa boli. Raz mówicie, żeby się szczepić, potem, żeby się nie szczepić. Za dużo informacji, ja się gubię, źle się czuję, podaj mi wody, głowa mnie boli.

Skup się: szczepić się – tak, ale nie teraz! I jeszcze z tym dyplomem dzielnego pacjenta...
Znowu nie wiem, o co ci chodzi. Taki ładny ten dyplom, kolorowy, pani była miła. Jeszcze chciałem misia pokazać, ale nie zdążyłem.

Jakiego znowu misia?!
Nie krzycz. Misia też dostałem. Takiego małego, o, zobacz. Nawet go nazwałem Michałek na twoją cześć. Spójrz, jaki słodziak. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Prezydent Duda dzwonił z niepodłączonego telefonu? Analizujemy konstrukcję aparatu".

BARTOSZ WĘGLARCZYK, *redaktor naczelny Onet.pl, reklamując na Twitterze tekst portalu o tym, że ktoś wrzucił do Internetu zdjęcie prezydenta i – niezgodnie z prawdą – podał, iż prezydent rozmawiał przez telefon odłączony od sieci teleinformatycznej.*

eprasa.pl 785e8d0f3b

Mamy dwie wiadomości. Złą i dobrą. Zła: po niespełna roku misji w Turcji do Polski wraca ambasador Jakub Kumoch. Ech, a już mieliśmy go odwiedzić… Teraz dobra wiadomość: Kumoch wraca do kraju, bo ma zostać w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana nowym Krzysztofem Szczerskim. Życzymy powodzenia na nowej drodze życia.

Nominacja Kumocha nastąpi zaraz po tym, kiedy Szczery – tak nazywają Szczerskiego współpracownicy – ruszy ambasadorować przy ONZ. Usłyszał już nawet dokładnie, na czym polega jego zadanie. Ma wylobbować dla prezydenta Andrzeja Sebastiana życie po życiu, czyli po zakończeniu kadencji. Minimum jest określone na wysokiego przedstawiciela do spraw tego i owego, maksimum – na sekretarza generalnego. Misja straceńcza, ale w odwiedziny do Nju Jorku polecimy jeszcze chętniej niż do Turcji.

Tymczasem w Polsce. Zaraz po tym, jak szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński udzielił wywiadu, w którym beszta niesfornych koalicjantów, aktywność medialną wznowił Jarosław Gowin. Wszyscy zwracają uwagę na jego ostre słowa o dużym koalicjancie, ale na Nowogrodzkiej interpretacja jest całkiem inna. „Wszystko OK, on nas nie atakuje, on się broni" – powiedziała wiewiórka.

Przy okazji ćwiczenie wyobraźni. Chodzi o potencjalną partię Adama Bielana. Spróbujcie sobie wyobrazić takie przesilenie w koalicji, podczas którego szeregowi posłowie SolPolu i Porozumienia muszą wybierać, czy idą precz ze swymi dumnymi przywódcami, czy zostają w większości rządowej. Wielu zechce zostać. Otóż wtedy przydałaby się taka partia, która nie jest PiS-em, ale do której od razu można wstąpić i znaleźć się po właściwej stronie. Nie wyobrażacie sobie? Cóż, znamy takich, którzy sobie wyobrażają.

Nie do końca jesteśmy przekonani, czy wyniki sondażu, w którym Solidarna Polska jako samodzielny byt przekracza pięcioprocentowy próg wyborczy, przekonały jej liderów do samodzielnego startu w wyborach. Dość powiedzieć, że prominentni przedstawiciele SolPolu bywają widywani w towarzystwie polityków, którzy nie wchodzą w skład Zjednoczonej Prawicy. Choć niewątpliwie za prawicę się uważają.

W związku z tym szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński nie próżnuje, ale poza spotkaniami z naczelnym kukistą Kukizem rzadko rozmawia osobiście z potencjalnymi nowymi nabytkami. Status specjalnego wysłannika ds. poszerzania koalicji ma minister Łukasz Schreiber, na którym spoczął ciężar prowadzenia tzw. rozmów technicznych, czyli uzgadniania politycznej gramatyki. Chodzi o przypadki odpowiadające na następujące pytania: Kto za kogo? Kto z kim? Kto kogo i – last but not least – kto za ile?

Normalnie rozmowy o poszerzeniu koalicji prowadziłby Michał Dworczyk, ale zarobiony jest w programie szczepień. Chwalą go za to publicznie nawet przedstawiciele Eine Totalopposition. Na przykład ostatnio pewien wpływowy peezelowiec. Ujawniamy: nie chodzi o szczepienia. Tak się bowiem składa, że Dworczyk rozdziela kasę z funduszu premiera na różne takie tam lokalne drogi i inne inwestycje. Więc komu na sercu lepsza przyszłość, powiedzmy Płocka, ten chwali publicznie i na zapas.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dziatwa z Młodej Lewicy poszła w ślady Leppera i napisała o Leszku Balcerowiczu per „Mengele polskiej gospodarki". No i teraz odszczekuje (choć nie wszyscy). Nas bardziej interesuje głębsze znaczenie tej krytyki. Czy Młoda Lewica wie, że Balcerowicz był gwiazdą Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR? Czyżby w ten sposób Młoda Lewica odcinała się na dobre od Starej Lewicy?

Wpadliśmy w zachwyt nad rozważaniami senator Barbary Zdrojewskiej, której zdaniem Eine Totalopposition zamiast martwić się tym, czy potrafi przejąć władzę, powinna martwić się tym, czy społeczeństwo jest gotowe na jej rządy. Wszystko dlatego, że jesteśmy fanami twórczości Bertolta Brechta, a to on pisał, by w przypadku rozczarowania rządu narodem zadać pytanie: „Czyż nie byłoby przecież prostszym rozwiązaniem, gdyby rząd rozwiązał naród i wybrał drugi?".

W sumie wszystko do siebie pasuje, bo posłanka PeŁo Agnieszka Pomaska walnęła ostatnio wiernopoddańczą mowę ku czci dobrych Niemców, którzy z łaski podzielili się z ciemnymi Polakami szczepionką na COVID-19. Wychodzi na to, że Eine Totalopposition wybrała już sobie drugi naród i dziwnym trafem jest to naród Brechta. Tylko czy ten drugi naród jest na to gotowy?

À propos szczepionek – Szymonowi Hołowni gratulujemy dyplomu „Dzielny pacjent", którym nagrodzono go za to, że nie płakał podczas nakłucia. Innych dyplomów dla niego nie przewidujemy. Ale prosimy o więcej nakłuwania Szymona. Jego nadęcie bywa bowiem nieznośne.

Na zakończenie bardzo ważna wiadomość z Brukseli. Otóż przewodniczący europarlamentu David Sassoli wystosował do wszystkich eurodepów specjalny list. Poinformował w nim, że w trudnym czasie pandemii Parlament Europejski zdał egzamin. Odetchnęliśmy z ulgą. Co i państwu szczerze polecamy. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

eprasa.pl 785e8d0f36

Bauman

Krzysztof Masłoń

Artur Domosławski w swej najnowszej książce gloryfikuje Zygmunta Baumana

Był jak paczuszka faworków – roznamiętniał się lirycznie Jacek Żakowski, wspominając w rozmowie z Arturem Domosławskim Zygmunta Baumana. – Mająca smakowitą zawartość, która w każdej chwili może się rozpaść w ręku. […] Był filigranowy i kruchy".

„– W tej kruchości zawierały się jego wszystkie straszne doświadczenia – kontynuował wątek Domosławski, który właśnie opublikował opowieść o życiu autora »Ponowoczesności jako źródła cierpień« zatytułowaną »Wygnaniec. 211 scen z życia Zygmunta Baumana«.

– Był w swojej kruchości bezcenny – wciąż mało było złotoustemu dziennikarzowi »Polityki«. – To w dużym stopniu ona dawała mu empatyczny dostęp do doświadczenia innych. Dzięki niej wyczuwał procesy, których inni nie zauważali. […] Opisywał problemy wcześniej, niż inni gotowi byli je uznać. Chyba też dlatego nie był traktowany wystarczająco poważnie".

No jak to? Prawie 20 doktoratów honoris causa w świecie to mało? Okazuje się, że tak, ponieważ zmarłemu w 2017 r. Baumanowi nie odnowiono doktoratu na Uniwersytecie Warszawskim, z którego został eksmitowany w 1968 r. i odtąd tułał się po świecie, na okrągło myśląc o Polsce, dokąd powracał duszą, a kiedy już mógł, i ciałem. W 2013 r. skończył z wizytami, zapewne mając dosyć przypominania mu na wykładach komunistycznej przeszłości, a „czarę goryczy" przelali skrupulatnie wymienieni z imienia i nazwiska profesorowie i rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego, którzy najwyraźniej nie uznali służby Baumana w KBW ani współpracy z Informacją Wojskową jako wystarczającej rekomendacji do urządzania mu gali na Krakowskim Przedmieściu. Przez ostatnie cztery lata życia Zygmunt Bauman do Polski już nie przyjechał. Zmarł w angielskim Leeds, gdzie mieszkał i pracował od lat 70. Uzyskał brytyjskie obywatelstwo. Sam

FOT. ADAM BOLEWSKI/AFI/FORUM

eprasa.pl 785e8d0f3b

polukrowany

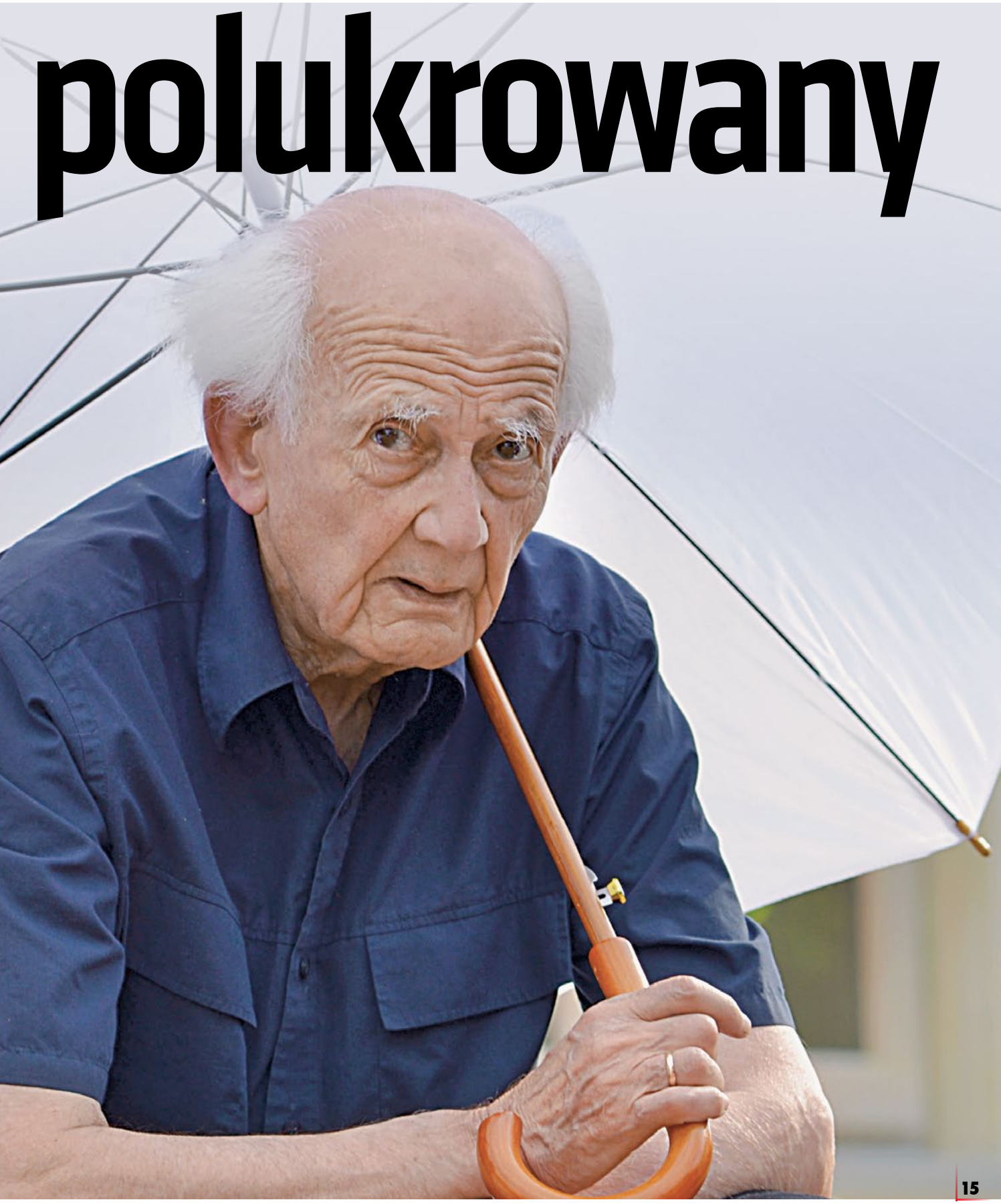

eprasa.pl 785e8d0f3b

uważał się za Polaka i Żyda w jednej osobie, przy czym – akcentuje Domosławski – „nie byłby sobą, będąc tylko jednym lub drugim". „Nie godził się, żeby inni mówili mu, kim ma być. Nie wyrzekł się polskości, ale nie miał już sił znosić odtrącania".

WAGA SŁOWA

„Jak przegapiliśmy Baumana" – tak zatytułowany był wywiad Żakowskiego z Domosławskim, inna rozmowa z autorem „Wygnańca...", przeprowadzona przez Magdę Roszkowską dla Gazeta.pl, stwierdza w tytule „Baumana owiewa czarna legenda". Oczywiście, tylko w Polsce, świat bowiem rzekomo docenił jego wielkość, z czym jednak kłóci się zarzut postawiony mu w 2014 r. przez Petera Walsha, doktoranta z Wydziału Socjologii Uniwersytetu w Cambridge, plagiatowania samego siebie, a do tego zrzynania z Wikipedii bez ujmowania spisywanych zdań w cudzysłów. Dariusz Rosiak, który dwa lata przed Domosławskim wydał w ogóle pierwszą w świecie biografię Baumana, sprawę tę skomentował zdaniem: „Ale musiał mieć co przepisywać". No, rzeczywiście miał, ale inni też mają, a nie samplują w nieskończoność tych samych – jak Walsh obliczył – 90 tys. słów.

Dariusz Rosiak, generalnie, też usiłował Baumana wybronić z zarzutu, nadając jego pracom rangę wyższą, niż na to, jak się zdaje, zasługują. Niemniej w końcówce swojej książki postawił pytania dowodzące zniecierpliwienia, które i jemu się udzieliło. Pytał więc: „Czy warto stawiać mu zarzut, że często się mylił w ocenach i bywał sentymentalny? Czy warto dekonstruować jego metafory – »ogród« nie musi być przecież zarządzany przez komendanta obozu, Eden zarządzany był przez Boga. I czymże, u diabła, jest ta »płynność«? Czy to woda? Jeśli woda, to czy gorąca, czy ciepła, czy zimna? Każde z tych określeń ma inne znaczenie, kieruje odbiorcę w odrębny świat. Jaką wagę może mieć słowo, które każdy rozumie, jak chce?

Nie mogło być inaczej, to było wpisane w system jego myślenia, w którego centrum stała przecież wieloznaczność.

Pytam Tomasza Kunza [pracownika naukowego Uniwersytetu Jagiellońskiego, krytyka i tłumacza książek Baumana], co zostanie z Zygmunta Baumana:

– Metafory. W przystępny sposób objaśniał świat, procesy, które wokół nas się działy, tłumaczył, czym jest ponowoczesność. A myśmy używali tego pojęcia tak, jak on je rozumiał i interpretował. Kiedyś był obecny we wszystkich bibliotekach wydziałowych, antropologii, kulturoznawstwa, filozofii, psychologii. Najmniej socjologii, ale też – wszędzie go było pełno. Dzisiaj z tych sylabusów znikł. Nie ma Baumana".

Autora „Wygnańca" oburza łączenie nazwiska Baumana z Informacją Wojskową. Wszak był... tylko jej współpracownikiem

KIMŻE ON NIE BYŁ!

Jeszcze niedawno i u nas opiewano jego wkład w dzieło stworzenia postmodernistycznej koncepcji ponowoczesności, bardziej konkretnie – płynnej ponowoczesności czy późnej ponowoczesności. Jego nazwisko wymieniano jednym tchem z Leszkiem Kołakowskim, choć trudno zanegować fakt, że karierę na Zachodzie zaczął robić dopiero po 20 latach od wyjazdu z Polski, gdy ukazała się jego książka „Nowoczesność i Zagłada", w której po raz pierwszy bezpośrednio odniósł się do doświadczeń Szoah.

Niekoniecznie własnych, choć uchodził za ofiarę Holokaustu i polskiego antysemityzmu, przywódcę studentów w roku 1968, antykomunistę, antyglobalistę, marksistę i neomarksistę. Kimże nie był Bauman w swoim długim, bo 91-letnim życiu! W Polsce było trochę inaczej, gdyż głośno zrobiło się wokół późniejszych „Dwóch szkiców o moralności ponowoczesnej". Głośno, oczywiście, w środowiskach lewicowych. Jeśli zaś chodzi o wojenne prześladowania, to owszem, dotknęły one, ale żonę Baumana, Janinę z domu Lewinson, pisarkę. On sam w 1939 r. zdążył uciec do Rosji sowieckiej, gdzie naturalnie przeżył swoje, ale dzięki talentowi kulinarnemu matki jego rodzina przetrwała głód, on sam dokończył szkołę, następnie trafił do milicji i dopiero po służbie w moskiewskiej drogówce znalazł się w armii Berlinga, gdzie został politrukiem. O tym, nie powszechnie wprawdzie, ale tu i ówdzie wiedziano, jak też o rzeczywiście strasznych doświadczeniach jego żony Janiny, która cudem przeżyła okupację niemiecką, o czym opowiedziała w wydanym po latach, zachowanym z tamtego czasu dzienniku („Zima o poranku. Opowieść dziewczynki z warszawskiego getta"). Zmarła w roku 2009; zdążyła jeszcze przełożyć na polski niektóre z książek męża. On ożenił się po raz wtóry, w roku 2015 – z córką Bolesława Bieruta i Małgorzaty Fornalskiej – Aleksandrą Jasińską-Kanią, socjolożką, która była oficjalną towarzyszką jego życia przez dwa ostatnie lata.

W wolnej Polsce Zygmunt Bauman, uchodząc za ofiarę Marca 1968, hołubiony był bardzo, jego książki wydawano jedną za drugą, aż w 2006 r. historyk Piotr Gontarczyk opublikował dokumenty dotyczące jego służby w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego i współpracy z Informacją Wojskową, a inny historyk Bogdan Musiał oskarżył Baumana, że brał udział w politycznych czystkach. To wszystko, niestety, się potwierdziło, a sam Bauman w końcu w wywiadzie dla „Guardiana" wziął na siebie odpowiedzialność za kolaborację z komuną, przyznając, że był to błąd. Teraz Domosławski, jak wcześniej Rosiak, uściśla czy wręcz neguje wcześniejsze ustalenia, m.in. na przykład okoliczności przyznania temu oficerowi politycznemu 1. Armii Wojska Polskiego Krzyża Walecznych, który otrzymał nie za – cytuję – „schwytanie większej ilości (rzekomych) bandytów, a za walki o Kołobrzeg, w trakcie których został ranny". Niemniej był instruktorem wyszkolenia polityczno-wychowawczego w KBW, zwalczał podziemie, kierował też Oddziałem Propagandy i Agitacji w Zarządzie Politycznym Wojska Polskiego.

Wiadomości te nie pozostały bez echa. W 2013 r. na uniwersytetach we Wrocławiu i w Gdańsku doszło do wystąpień członków Narodowego Odrodzenia Polski przeciw Baumanowi. Wcześniej w Poznaniu na jego powitanie pojawił się transparent z napisem: „Komunistyczni mordercy żołnierzy AK, NSZ i patriotów

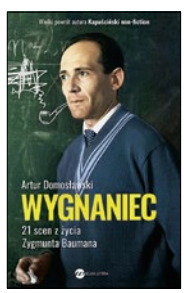

ARTUR DOMOSŁAWSKI „WYGNANIEC. 211 SCEN Z ŻYCIA ZYGMUNTA BAUMANA" WIELKA LITERA 2021

eprasa.pl 785e8d0f3b

polskich są wciąż bezkarni, bo Polską rządzą ich następcy". Prawda o współpracy Baumana z władzami komunistycznymi była już znana, gdy w 2010 r. ówczesny minister kultury Bogdan Zdrojewski zdążył jeszcze uhonorować go Złotym Medalem Zasłużony Kulturze – Gloria Artis. Ciekawe – i rozwodzi się teraz nad tym Artur Domosławski – że nie dostał on wysokiego odznaczenia ani od Kwaśniewskiego, ani od Komorowskiego. Idąc tropami myślenia autora „Wygnańca", to dlatego, że kreowany przez niego na bohatera naszych czasów Bauman był solą w oku nie tylko dla prawicy, lecz także „jako światowej rangi intelektualista zrywający lukier z globalnej rzeczywistości, spierający się z neoliberalizmem i neokonserwatyzmem był niewygodny dla protagonistów polskiej transformacji. Jedni odrzucali go za komunizm, a drudzy za lewicowość i alterglobalizm. W dodatku krytykował politykę Busha i wojnę w Iraku, w którą uwikłany był polski establishment".

KARIERA FANATYKA

Artur Domosławski nie tylko stawia swojego bohatera na piedestale, lecz także prowadzi wykład z historii najnowszej. „W powojennej Polsce – powiada – toczyła się wojna domowa. Raz, na początku 1946 r., Bauman brał udział w zatrzymaniach partyzantów podziemia – dokładnie nacjonalistów z Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, którzy po wojnie nie złożyli broni i walczyli z nowym porządkiem. Dziś są czczeni przez obecną władzę jako »żołnierze wyklęci«. Tymczasem niektóre z oddziałów »wyklętych« dokonywały zbrodni na cywilach popierających nową władzę, zabijały ocalałych z Zagłady Żydów, a także innowierców. Jak wyglądałaby urządzona przez nich Polska? Wolę sobie nie wyobrażać…". A ja mam mdłości, gdy dociera do mnie komunistyczny bełkot, który zatruł mi sporą część życia, ale miałem złudną nadzieję, że w wolnej Polsce już go nie usłyszę. I że nie znajdzie się „autorytet", który o okrytej wyjątkowo złą sławą formacji Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego powie, że „ta sama [dlaczego w rodzaju żeńskim? – przyp. K.M.] KBW, która broniła nowego ładu przed antykomunistycznym podziemiem, w 1956 r. postawiła się Moskwie i gotowa była bronić przemian Października przed ingerencją radzieckich towarzyszy".

Autora „Wygnańca" oburza łączenie nazwiska Baumana z Informacją Wojskową; nie był wszak jej pracownikiem tylko współpracownikiem. A przestał nim być, gdy kontrwywiad zerwał tę współpracę. „W dokumentach pozostał ślad – dowiadujemy się – że jednym z powodów było jego żydowskie pochodzenie, ale – jak przypuszczam – on sam o tym wówczas nie wiedział [rozumiem, że nieświadomy był tych powodów, a nie swojego żydostwa – przyp. K.M.]. Jak widać, wykorzenianie antysemityzmu nawet we własnych szeregach nie bardzo komunistom wychodziło".

Na początku 1953 r. wojskowa kariera Zygmunta Baumana nagle się załamuje. Pada on ofiarą – twierdzi Domosławski – antysemickiej czystki – to odprysk tzw. sprawy kremlowskiej lekarzy w ZSRS, żydowskiego pochodzenia, fałszywie oskarżonych o uśmiercenie wysokich dygnitarzy. Oficjalnie KBW zwalnia Baumana z powodu drobnomieszczańskiego pochodzenia oraz z powodu wizyt jego ojca w ambasadzie Izraela. Wersja oficjalna jest bliższa rzeczywistości. Zygmunt Bauman, który nawet zdaniem własnej żony był komunistą fanatycznym, skonfliktował się z ojcem po tym, gdy poprosił o przekazanie partii sumy powstałej z praw rodziców do spadku rodzinnego w postaci części domu. Maurycy Bauman jak najsłuszniej uznał potomka za idiotę, ten jednak głównie miał ojcu za złe jego wizyty w ambasadzie izraelskiej, gdzie w 1952 r. zintensyfikował starania o wyjazd, który w końcu doszedł do skutku pięć lat później. Zygmunt Bauman, gdy zagotowało się wokół niego, natychmiast zerwał kontakty z burżuazyjną rodziną, stało się to jednak za późno i musiał obrać inną drogę życia. Postawił na naukę, a z tatusiem pogodził się po roku.

Jeśli chodzi o wojenne prześladowania, to dotknęły one żonę Baumana. On sam w 1939 r. zdążył uciec do Rosji sowieckiej

DARIUSZ ROSIAK „BAUMAN" WYDAWNICTWO MANDO 2020

SKOK Z MOSTU

Artur Domosławski po spędzeniu nad książką o Baumanie trzech lat doszedł do wniosku, że „polską duszę wciąż nieustająco trawią co najmniej trzy poważne choroby: nacjonalizmu, czarno-białej wizji własnej historii i zawiści wobec jednostek wybitnych, takich jak Bauman".

O ile Dariusz Rosiak w swojej książce o Baumanie stawia przynajmniej znaki zapytania w szczególnie problematycznych wyborach i działaniach swojego bohatera, o tyle dla autora „Wygnańca" nie ma kwestii, której nie rozstrzygnąłby autorytatywnie na korzyść swojego bohatera. Uniemożliwiał Bauman studia kandydatom niepewnym politycznie? Udowodniono tylko jeden taki przypadek, a dziewczyna i tak dostała się na uniwersytet, tyle że na inny wydział. Chodził Bauman po uczelni z pistoletem? Poplątało się ludziom w głowach po latach, a poza tym był wojskowym i prawo do noszenia broni przysługiwało mu jak buda psu. Z „leśnymi" osobiście walczył tylko raz, a że we wniosku awansowym z 1950 r. stoi jak byk, że dowodził grupą, która wyróżniła się schwytaniem wielkiej liczby bandytów, za co otrzymał Krzyż Walecznych, to oczywista bzdura, bo odznaczenie to dostał za zdobycie Kołobrzegu. Domosławski tak się użala nad jego dolą emigracyjną po roku 1968: „Myślę, że po wygnaniu jest rozgoryczony, poturbowany. Zawsze chciał być Polakiem, walczył za Polskę z bronią w ręku, był ranny pod Kołobrzegiem, wielokrotnie mógł zginąć na froncie. Potem angażował się w budowę nowego porządku – w imię komunizmu i w imię lepszej Polski".

Cytować dalej? Może już tylko wspomnę konstatację przywoływanego już tutaj Jacka Żakowskiego, który orzekł, że w Polsce „Bauman stał się osobistym celem mrocznych pokładów polskości". Przyczyn tego było, jak się dowiadujemy, multum, a wśród nich jedna z najważniejszych to zachowanie przez późniejszą światową gwiazdę

eprasa.pl 785e8d0f3b

socjologii, filozofii i czort wie czego jeszcze żydowskiego nazwiska. No bohater i już. I pomyśleć tylko, że jego tata w tej potwornej, antysemickiej Polsce, rzucił się w 1931 r. do Warty z mostu Chwaliszewskiego w Poznaniu, pogrążony w depresji po stracie wszystkich pieniędzy. Ale nawet samobójstwo się nie udało. Podobno lokalna gazeta zatytułowała notkę o tym wydarzeniu: „Żyd próbuje popełnić samobójstwo. Uratowany przez polskich harcerzy". Zygmunt Bauman podawał również treść tego nagłówka w nieco innej wersji: „Bezrobotny chciał popełnić samobójstwo".

Zdarzały mu się i inne, poważniejsze nieścisłości. W Izraelu z opublikowanego z nim wywiadu można się było dowiedzieć, że przewodził studentom w czasie wydarzeń marcowych. Niewykluczone, że – jak utrzymywał – został wtedy wmanewrowany przez dziennikarza, ale naprawdę do protestów studenckich w 1968 r. się nie przyłączył. „Zapewne wciąż ma nadzieję – mniema autor jego hagiografii – że uda mu się partię sprowadzić na dobrą drogę za pomocą perswazji, a nie buntu, że wciąż da się ją reformować od wewnątrz".

MARKS WIECZNIE ŻYWY

Bauman reanimował myśl marksowską jako cudowne remedium na okropności współczesnej cywilizacji. „Żyjący w czasach rodzącego się społeczeństwa producentów Karol Marks ostro skrytykował współczesnych mu ekonomistów za błąd »fetyszyzowania towaru«: za celową lub nieumyślną skłonność do niedostrzegania lub ukrywania interakcji międzyludzkich stojących za obrotem towarowym, tak jakby towary same z siebie nawiązywały wzajemne relacje bez pośrednictwa ludzi. Odkrycie, że zdolność do sprzedawania i kupowania siły roboczej jest istotą »stosunków między pracodawcami i pracownikami« kryjących się za zjawiskiem »cyrkulacji towarów«, podkreślał Marks, było równie szokujące, co rewolucyjne. Stanowiło pierwszy krok ku odnowie istoty człowieczeństwa w coraz bardziej zdehumanizowanej rzeczywistości wyzysku kapitalistycznego" – tak, przyznajmy, że świetnie utrzymując się w stylistyce przedmiotu, wywodził w „Szansach etyki w zglobalizowanym świecie".

A w „Płynnym życiu" pisał już całkowicie wprost: „Żadne z dwóch oskarżeń wysuniętych niemal dwa wieki temu przez Karola Marksa pod adresem kapitalizmu – oskarżeń o marnotrawstwo i niegodziwość moralną – nie straciło niczego ze swej aktualności. Zmienił się tylko rozmiar i zasięg marnotrawstwa i niegodziwości, zyskały one bowiem wymiar globalny".

Bauman reanimował myśl marksistowską jako cudowne remedium na okropności współczesnej cywilizacji

Bauman był, oczywiście, idealistą, a przynajmniej za takiego pragnął uchodzić. Dlatego też z przekonaniem cytował Tzvetana Todorova: „Sprawiedliwość, która nie jest równa dla wszystkich, nie zasługuje na to miano", by następnie myśl tę odpowiednio wzmocnić w większości „lewoskrętnymi" argumentami: „Póki nie pojawi się szansa ukarania sprawców rzezi w Czeczenii, amerykańskich inspiratorów, sponsorów i mocodawców łamania praw człowieka w Salwadorze, Gwatemali, Chile czy na Haiti lub tych, którzy odpowiadają za maltretowanie Palestyńczyków, potwierdzimy (realnie i w świadomości ludzi) prawo Państwa do prześladowania własnych obywateli lub mieszkańców terytoriów zależnych, którym przypisuje się wcześniej bez możliwości odwołania się złe intencje uzasadniające i usprawiedliwiające wymierzenie kary za złe czyny, których się dopuścili, ale przede wszystkim za te, których dopiero mogliby się dopuścić. Potwierdzimy to prawo, które rozciągnięte do granic możliwości i wykorzystane do maksimum przez nazistowskie władze znalazło wyraz w katastrofie Holocaustu".

Raz po raz przy lekturze prac Zygmunta Baumana nasuwają się pytania o naszą przyszłość. Cóż, „perspektywa emancypacji człowieka – utrzymuje socjolog – jawi się obecnie w zupełnie innym kształcie niż ten, który wydawał się tak oczywisty Marksowi, chociaż zarzuty stawiane przez Marksa światu jako niewybaczalnie nieprzyjaznemu człowieczeństwu nie straciły niczego ze swej aktualności".

Dla Baumana Marks, po którego sięga w dowolnych okolicznościach, dobry jest na każdą okazję. Socjolog akcentuje przy tym fakt, że już w latach 60. zeszłego wieku elity intelektualne – jak raczy nazywać lewicowych „pożytecznych idiotów" – usiłowały wynaleźć i propagować „marksizm bez pojęcia klasy". Chodziło nawet o więcej – uważa Zygmunt Bauman – bo o marksizm „bez historycznego podmiotu, bez najbardziej Marksowskiego z Marksowskich przekonań, które głosi, że każda epoka historyczna ma własny podmiot rewolucyjnych przemian".

PRZESTROGI DLA ROZUMU

Czy myśli Baumana nadają się na transparenty podczas protestacyjnych demonstracji, które w czasie pandemii rozpleniły się po całym świecie, a i w Polsce gwałtownie się mnożą? Zdaniem autora „Wygnańca" aktualna jest zwłaszcza objaśniona przez niego „płynna rzeczywistość – czyli rzeczywistość, która gna, która jest w ciągłym ruchu, w której reguły i instytucje ulegają przemianom, nim zdążą na dobre okrzepnąć – wciąż pozostają trafną formułą opisującą nasz trudny i pełen niepewności świat. Ale chyba najbardziej niepokojącą i niestety aktualną myślą jest jego przestroga z »Nowoczesności i Zagłady«. Przestroga dla pysznego rozumu i apel o moralną czujność: nie myślcie sobie, że to tylko jacyś inni ludzie z odległej przeszłości byli zdolni do potworności, jaką były Holokaust i inne masowe zbrodnie. W pewnych okolicznościach każdy z was – nas – mógłby dopuścić się udziału w potwornościach. To był jeden z jego największych tematów: dlaczego dobrzy ludzie uczestniczą w złu".

To rzeczywiście problem, po pierwsze jednak, warto pamiętać inną przestrogę: lekarzu, lecz się sam. A po drugie, między medycyną a szarlatanerią, choćby i społeczną, zachodzi zasadnicza różnica. Artur Domosławski, który Baumana gloryfikuje z równie silnym przekonaniem, jak przed 20 laty odsądzał od czci i wiary Józefa Mackiewicza, a potem pisząc o Ryszardzie Kapuścińskim bez fikcji, stworzył jeszcze jedną fikcję, powinien swoje najnowsze dzieło zatytułować bardziej adekwatnie do życiorysu swego najnowszego bohatera, a mianowicie „Znachor".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 785e8d0f3b

KAROL GAC: Niemiecki Trybunał Konstytucyjny wstrzymał ratyfikację Funduszu Odbudowy UE. Cieszy to pana?

MARCIN ROMANOWSKI: To dowód, że nie tylko Solidarna Polska ma wątpliwości co do legalności tych działań. Argumentacja wnioskodawców i niemieckiego TK jest bardzo podobna do tego, co mówimy np. w kwestiach budżetowych. Już zeszłoroczne orzeczenie w sprawie Europejskiego Banku Centralnego wskazywało, że sąd konstytucyjny może wkroczyć do akcji.

W przeszłości stwierdzał on już, że przyjęcie zobowiązań, których ostatecznej wysokości nie da się przewidzieć, może być sprzeczne z konstytucją. Minister finansów Olaf Scholz jest jednak zdania, że TK ostatecznie dopuści powstanie Funduszu. Może jest to więc przedwczesna radość?

To nie jest kwestia radości czy smutku. To kwestia zachowania reguł integracji, które z jednej strony wyznaczają traktaty, a z drugiej praktyka działania. Jeśli linia orzecznicza niemieckiego TK byłaby konsekwentna, a TK w Karlsruhe już wcześniej rozstrzygał tego typu zagadnienia, to należałoby się spodziewać zablokowania Funduszu. Nieproporcjonalność obciążenia spłatą długów i niepewność co do wysokości zadłużenia to niezwykle ważne argumenty. Poza tym jeszcze nie wszystkie państwa członkowskie ratyfikowały Fundusz, więc mogą nas czekać niespodzianki.

Zwróćmy uwagę np. na semantykę – coraz częściej mówi się o krajach UE, a nie państwach członkowskich

Scholz ocenił równocześnie, że jesteśmy w „momencie Hamiltona" dla Unii Europejskiej. To nawiązanie do 1790 r., gdy dzięki porozumieniu Alexandra Hamiltona i Thomasa Jeffersona USA po raz pierwszy zaciągnęły dług jako Konfederacja. Uznaje się to za kluczowy moment na drodze do powstania amerykańskiej państwowości. Rzeczywiście ze wspólnych długów powstanie wspólne państwo?

To realne zagrożenie. Zwróćmy uwagę np. na semantykę – coraz częściej mówi się o krajach UE, a nie państwach członkowskich. A przecież jesteśmy suwerennym państwem z ustalonymi

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

eprasa.pl 785e8d0f3b

granicami, narodem i konstytucyjnie wybraną władzą. Moment Hamiltonowski ma swoje preludium także w obszarze działań Trybunału Sprawiedliwości UE, który odchodzi od zasady kooperacji.

TSUE w swoim orzecznictwie nie dotykał do tej pory konstytucji państw członkowskich, a krajowe trybunały ze wstrzemięźliwością odnosiły się do traktatów unijnych. I dopóki jakaś regulacja unijna była w konflikcie z konstytucją państwa członkowskiego, dopóty nie mogła obowiązywać. Teraz TSUE z impetem uderza w zakres oceny roli konstytucji członkowskich, co burzy dotychczasowy dogmat. Widać to na przykładzie reformy polskiego sądownictwa, a jestem pewien, że za chwilę pojawią się kolejne kwestie, w których TSUE będzie ingerować. Obserwując rozwój UE, można powiedzieć, że moment Hamiltonowski jest rozłożony w czasie. Spór o praworządność, a w istocie o suwerenność podejmowania decyzji ustrojowych przez państwa oraz uwspólnotowienie długu pokazują to, jak w praktyce wygląda dążenie brukselskich elit do wprowadzenia federacji metodą faktów dokonanych.

W 2005 r. niemiecki TK orzekł, że niemieckie prawodawstwo jest nadrzędne wobec unijnego. Pod koniec marca premier Morawiecki złożył do TK wniosek w sprawie zbadania kwestii wyższości konstytucji nad prawem unijnym. Może to jest rozwiązanie problemu?

Trwałe dotychczas linie orzecznicze ukształtowane przez niemiecki Trybunał, francuską Radę Konstytucyjną czy czeski TK zostały mocno nadszarpnięte przez działania TSUE w sprawie Polski. Zamiast zasady kooperacji mamy zastraszanie państw członkowskich przez TSUE i inne organy unijne. W przypadku np. warunkowości to wręcz działanie mafijne. Dotychczas obszar działania UE był ograniczony w podwójny sposób – przez zasadę kompetencji przyznanych Unii oraz przez zasadę pomocniczości i proporcjonalności. Obecnie te ograniczenia są łamane.

Nie jesteśmy z założenia antyunijni, nie odrzucamy idei wspólnoty i bardzo mocno korzystamy na obecności w UE, ale musimy pamiętać, że korzyści chcą odnosić także inne kraje, silniejsze gospodarczo od nas. Mamy do czynienia z metodą małych kroków i konsolidowaniem fiskalnym UE za pomocą faktów dokonanych pod pretekstem pandemii. Trwa pogłębianie federalizacji za pomocą argumentów siły, a nie siły argumentów. Jedność musi być oparta na poszanowaniu wspólnych zasad, ale też na różnorodności. Tymczasem mamy do czynienia z naciskiem ideologicznym i szantażem finansowym, które mają na nas wymusić posłuszeństwo.

Z Marcinem Romanowskim, wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Karol Gac

Federalizacja na siłę

Mówimy cały czas o Funduszu Odbudowy, co sugeruje wsparcie gospodarcze. Tymczasem oryginalny tytuł to „Next Generation UE". Może więc wcale nie chodzi o ekonomię, a o nowy etap na drodze rozwoju projektu unijnego?

Nazwijmy to po imieniu – to narzędzie do wymuszenia nowych kompetencji UE. Przypomina to model biznesowy oszustów, czyli prywatyzację zysków i uspołecznianie strat. Next Generation UE też jest w swojej konstrukcji realizacją interesów najsilniejszych państw, choćby Niemiec. A zyski? Ani nasz Krajowy Plan Odbudowy, ani konstrukcja Next Generation nie doprowadzą do sytuacji, w której bezpośrednio polscy rolnicy, przedsiębiorcy czy pracownicy będą najważniejszymi beneficjentami.

Fundusz jest dla wybranych. Większość środków ma pójść na realizację Zielonego Ładu i cyfryzację. Zaraz okaże się, że z tych szumnie zapowiadanych miliardów większość wypłynie za granicę. Narracja, że Polska to jedynie beneficjent integracji, jest nachalna i jednostronna. Bilans zysków i strat jest dużo bardziej zniuansowany. Nie można wykluczyć, że i tym razem przepływ pieniędzy będzie mocno skomplikowany, a ostateczny rachunek nie będzie taki jednoznaczny. Next Generation to chwytliwa nazwa superpaństwa z prymatem dyrektyw płynących z Brukseli i Berlina. Na to nie ma zgody Solidarnej Polski.

Wspólny dług to jednak nie tylko euroobligacje. Trzeba go jeszcze sfinansować. Na horyzoncie widać już zapowiedzi nowych podatków, które nie trafiłyby do budżetów państw, ale do Brukseli.

Większość z tych podatków jest na tyle niedookreślona, że nie da się ocenić ich opłacalności, ale przecież wiemy, że dotkną one państwa europejskie w sposób nierównomierny. Efekt będzie więc taki, że biedniejsi będą finansować bogatszych. Do dziś nie poznaliśmy szczegółów tych ustaleń z naszymi władzami, analiz, na podstawie których były podejmowane dalekosiężne decyzje. Nie znamy korzyści z układu, ale wiemy, że będziemy żyrować długi innych państw, co oznacza automatyczne przesunięcie decyzyjności z Warszawy do Brukseli. Dlatego wolimy sceptycyzm niż

eprasa.pl 785e8d0f3b

hurraoptymizm. W życiu nie dostajemy nic za darmo, za każdą decyzją idą realne konsekwencje. Nie chodzi więc o wkładanie kija w szprychy, ale o odpowiedzialność za nasze państwo. Zobowiązania dotyczące spłacania obcych długów wiązałyby nas do 2057 r., więc tej decyzji nie można podjąć pochopnie. Dzisiaj to wciąż jak kot w worku.

Szef frakcji EPL Manfred Weber w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" powiedział, że jest zaskoczony, jak „bardzo egoistyczna jest debata na temat funduszu w Polsce", ponieważ „nacjonalistyczne myślenie nie jest w polskim interesie". Ewentualny sprzeciw Polski nie zniechęci do nas innych państw UE?

W UE toczy się twarda gra interesów, w której reprezentujemy ideę wspólnoty tworzonej przez różnorodność. Weberowi umyka to, że UE nie jest superpaństwem, a władze każdego państwa w pierwszej kolejności odpowiedzialne są za dobrobyt własnych obywateli. Wszyscy powinniśmy się wspierać, ale nie kosztem własnej suwerenności. Weber biegle posługuje się nowomową unijną, w której słowu nacjonalizm nadano nową treść. Dla brukselskich elit nacjonalistą jest każdy, kto walczy o interesy państw członkowskich i sprzeciwia się federalizacji UE. Z kolei lewica operująca neomarksowskimi pomysłami jest według tej nowomowy ruchem demokratycznym. Rozciągnięty w czasie moment Hamiltonowski polega również na tym, że zmienia się sens słów i że nadaje im się nowe znaczenia.

A może wszystko rozstrzygnie się w Trybunale Konstytucyjnym, a nie w Sejmie? W końcu art. 216 ust. 5 Konstytucji RP mówi, że nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług publiczny przekroczy trzy piąte wartości rocznego PKB. W dodatku samo przekazanie kompetencji organowi międzynarodowemu wymaga dwóch trzecich głosów parlamentu.

Dług uwspólnotowiony nie jest formalnie długiem Polski, ale w nim partycypujemy, a to może pociągnąć za sobą zadłużenie, które byłoby niezgodne z normą konstytucyjną. Dotyczy ona bowiem zgodności ratyfikacji zobowiązań z art. 216 ust. 5 Konstytucji, regulującym kwestie zaciągania długu publicznego.

Warto przy tym rozważyć, czy w tym przypadku nie byłaby właściwa wielka ratyfikacja z art. 90 Konstytucji, która przewiduje dwie trzecie głosów w parlamencie albo referendum. Dotyczy to przekazania części kompetencji, a wydaje się, że właśnie z tym mamy do czynienia w przypadku uwspólnotowienia długu. To wręcz wykreowanie nowej kompetencji, czyli partycypacja w uwspólnotowionym długu. Powstaje konstrukcja, której nie zna polska konstytucja, ale jej konsekwencje mogą ją naruszać. Sięgnięcie po wielką ratyfikację, wbrew temu, co mówią niektórzy, nie tyle ma utrudnić tę ratyfikację, ile dać jej wyraz powszechnego konsensusu w sprawach dla państwa najważniejszych. Solidarna Polska stanowczo alarmuje, że w tak zasadniczej sprawie nie możemy decydować w trybie, w jakim przyjmowane są zwykłe ustawy.

W UE toczy się twarda gra interesów, w której reprezentujemy ideę wspólnoty tworzonej przez różnorodność. UE nie jest superpaństwem, a władze każdego państwa w pierwszej kolejności odpowiedzialne są za dobrobyt własnych obywateli

Pytanie, czy wobec ostatnich działań Brukseli nie istnieje jeszcze ryzyko, że nie zobaczymy pieniędzy unijnych, ponieważ ich wypłatę zablokuje Komisja Europejska?

Mechanizm warunkowości uzależnia wypłaty pieniędzy od decyzji KE i TSUE. W efekcie, z powodów ideologicznych czy politycznych, możemy być pozbawieni środków unijnych. Możemy nie zobaczyć większości obiecanych euro, bo pojawi się np. zarzut, że nie ma w Polsce „małżeństw" homoseksualnych. Taki scenariusz ograniczenia naszej suwerenności jest niestety realny, co potwierdza najlepiej niedawna rezolucja PE w sprawie ogłoszenia UE strefą wolności LGBT. W ubiegłym roku w „Le Figaro" jedna z najbardziej znanych francuskich konstytucjonalistów zapytała wprost, czy po wprowadzeniu mechanizmu warunkowości możliwy będzie wybór władz, które nie należałyby do lewicowego europejskiego mainstreamu. Ten mechanizm jest bowiem w swej istocie narzędziem do finansowego szantażu i może być użyty do wpływania na wybory parlamentarne. A ja nie mam wątpliwości, że zostanie użyty, bo już dzisiaj obserwuję, z jakim impetem UE wchodzi w obszary np. prawa rodzinnego. Tu nie chodzi tylko o interesy ekonomiczne, lecz także o narzucenie obcej nam ideologii. To kulturkampf w nowej odsłonie.

Zdają się to zresztą potwierdzać wypowiedzi unijnych urzędników.

Komisarz Věra Jourová, która niewątpliwie ma akceptację władz KE, wprost mówiła o tym, że ten mechanizm będzie szybko zastosowany. Pierwszy raz mówiła to w kontekście narzucenia strategii gender i ideologii LGBT, a drugi – reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości. Przeczy to zeszłorocznym mrzonkom, że udało się osiągnąć znaczne przesunięcie w czasie stosowania tego mechanizmu i wprowadzić kontrolę TSUE. Ostrzegaliśmy, że tak się stanie.

Na kwietniowym posiedzeniu projektem ustawy o ratyfikacji zwiększenia zasobów własnych UE może zająć się Sejm. Co zrobi Solidarna Polska?

Solidarna Polska zawsze będzie partią wierną ideałom i nie zamierzamy tego zmieniać. Jesteśmy konsekwentni, dbamy o interes naszego państwa i – tak jak podkreślaliśmy od zeszłego roku – jesteśmy przeciwni, by tworzyć kolejne mechanizmy ograniczające naszą suwerenność. Będziemy głosować przeciwko.

Nie zachwieje to koalicją rządzącą? Dla Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego wydaje się to sprawą priorytetową.

Solidarną Polskę charakteryzuje silniejszy sceptycyzm wobec działań instytucji europejskich, nie ufamy obietnicom eurokratów, jesteśmy zwolennikami twardych negocjacji i bezkompromisowej obrony polskich interesów. Jeśli koalicja pozostanie wierna swoim ideałom, dzięki którym wygraliśmy wybory, to różnice zdań czy ocen wśród koalicjantów nie zachwieją naszą jednością. Prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński powiedział wyraźnie, że Polska jest i pozostanie suwerenna, przeciwstawi się inwazji ideologii genderowej. Wierzymy, że za słowami pójdą konkretne decyzje dla dobra Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

WYDAWNICTWO ESPRIT POLECA

Wszystkie książki ze specjalnym rabatem –40%

esprit

Otrzymaj dodatkowy rabat –5%*
Przy zamówieniu wpisz hasło:

Wiosna

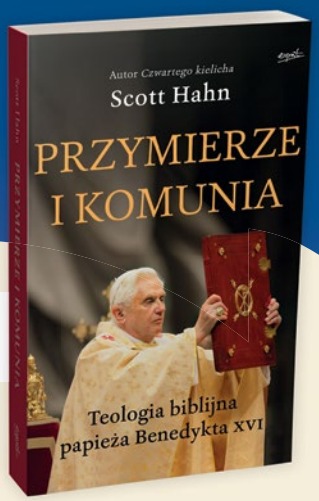

~~37,90 zł~~
22,70 zł

Scott Hahn
PRZYMIERZE I KOMUNIA

Scott Hahn, wybitny amerykański teolog katolicki, autor bestsellerowego *Czwartego kielicha*, przedstawia najważniejsze tematy teologii biblijnej Benedykta XVI. Udowadnia, że papież emeryt doskonale odczytuje słowo Boże zarówno w duchu Tradycji, jak i w oparciu o odkrycia współczesnej nauki.

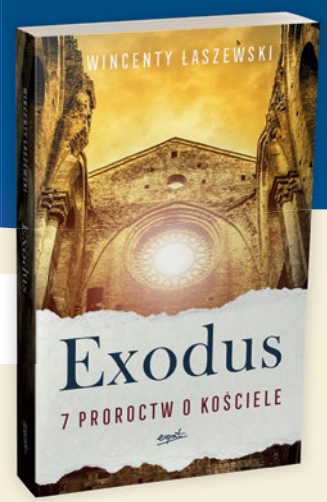

~~32,90 zł~~
19,70 zł

Wincenty Łaszewski
EXODUS. 7 PROROCTW O KOŚCIELE

Wincenty Łaszewski, uznany mariolog, przygląda się prorockim wizjom o Kościele, które przekazali nam: św. Ludwik Grignion de Montfort, św. Augustyn czy kard. Joseph Ratzinger. Odkrywa w nich konkretne wskazówki – koła ratunkowe ocalenia dla wierzących. Posłuszni słowu Bożemu prorocy, wizjonerzy i święci powtarzali: nadejdzie czas oczyszczenia – nadejdzie nasz Exodus!

~~34,90 zł~~
20,90 zł

Michael P. Barber
ZBAWIENIE

Michael P. Barber, profesor teologii, ukazuje fałszywe poglądy oraz herezje na temat zbawienia oraz udowadnia, że być zbawionym to coś znacznie więcej niż uniknąć ognia piekielnego. Precyzyjnie wskazuje, że każdy z nas musi przyjąć zbawienie już tu i teraz.

~~29,90 zł~~
17,90 zł

o. Gabriele Amorth
UKRYTA W UŚMIECHU

Największy egzorcysta Watykanu w spisanej przez siebie biografii przedstawia bł. Aleksandrinę Marię da Costa. Ta wielka mistyczka i wizjonerka doprowadziła do tego, że świat został zawierzony Niepokalanemu Sercu Matki Bożej. Poznaj poruszającą historię mistyczki, która walczyła z demonami.

KATALOG DOBRYCH KSIĄŻEK

Zapisz się do naszego Katalogu Dobrej Książki i otrzymuj specjalne gratisy oraz promocje!
Wejdź na stronę www.esprit.com.pl, kliknij w baner „Zapisz się do katalogu" i podaj adres do wysyłki.
Możesz również się zapisać, dzwoniąc pod numer tel. 12 264 37 09.
Uczestnictwo jest darmowe i nie wiąże się z żadnymi zobowiązaniami!

Zamówienia telefoniczne: **12 264 37 09**, **12 395 70 72** (poniedziałek–piątek 8:00–16:30). Przez internet: **www.esprit.com.pl**
Zamówienie na kwotę 99 zł lub więcej – przesyłka gratis. | * Kod rabatowy jest ważny do 3 maja 2021 r.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Rafał A. Ziemkiewicz

Zjednoczona Prawica jako beczka

Obóz władzy przypomina dziś beczkę, której obręcze się rozpadły, ale klepki trzyma razem napór od zewnątrz. Polska polityka właśnie staje się nieprzewidywalna

Ostatnie tygodnie to w Zjednoczonej Prawicy prawdziwy festiwal wzajemnych, z lekka tylko zawoalowanych pogróżek. Ze strony Solidarnej Polski i Porozumienia – że nie dadzą sobie więcej w kaszę dmuchać i PiS ma się z nimi liczyć, bo bez nich niczego nie przegłosuje. Ze strony PiS – że „przystawki" mają przestać rozrabiać, bo PiS bez nich przetrwa, a oni bez PiS nie. Koalicjanci zapowiadają, których pomysłów PiS nie poprą: ziobryści – europejskiego Funduszu Odbudowy, gowinowcy – wspólnej polityki europejskiej z Salvinim i Orbánem. PiS odpowiada na to, że „nie będzie ogon merdał psem", i straszy utworzeniem rządu mniejszościowego albo przyśpieszeniem wyborów parlamentarnych, do których już tym razem Solidarnej Polski i Porozumienia Gowina na swoje listy nie zaprosi.

Komentatorzy polityczni zaczynają kolekcjonować kolejne potyczki – czy może, raczej, wciąż jeszcze starcia „harcowników" – tej wojenki wewnątrz obozu władzy. O tym, że prezes TVP Jacek Kurski, oględnie mówiąc, nie lubi się z Mateuszem Morawieckim (a także z Andrzejem Dudą), wiadomo od dawna, ale atak „Wiadomości" na bliskiego premierowi szefa Polskiego Funduszu Rozwoju, Pawła Borysa, przekroczył wszelkie granice podszczypywania czy drobnych złośliwostek, w jakich dotąd się ta niechęć realizowała. Czy mogło się to stać bez aprobaty samego Komendanta? Czy miało związek z plotkami, jakoby „kwity na Obajtka" dostała „Gazeta Wyborcza" właśnie od ludzi premiera? Faktem jest, że owe „kwity" znalazły się przypadkiem zaraz po tym, gdy Kaczyński nieoczekiwanie wystąpił z laudacją na cześć prezesa Orlenu, w której dopatrywano się zapowiedzi, że Daniel Obajtek z woli prezesa zastąpi Morawieckiego. I czy to Jarosław Kaczyński zdecydował o zakazie wstępu do państwowych mediów dla polityków Porozumienia, na który skarży się Jarosław Gowin, a zapraszaniu do nich rozłamowców Adama Bielana? Czy niedawne głosowanie koalicjantów za odrzuceniem rządowej wersji zmian w przepisach o podatku akcyzowym było przypadkiem, czy ich kolejną demonstracją niezależności – ale jeżeli tak, to dlaczego wraz z nimi przeciw stanowisku macierzystej partii zagłosowali Mariusz Błaszczak i Antoni Macierewicz?

„RESORTOWE" SITWY

Po latach wielkiej nudy, którą było totalne starcie dwóch mobilizujących się wojenną retoryką bloków, dziennikarze wreszcie mają materiał do dociekań. Wsłuchują się z uwagą w kolejne wypowiedzi, najusilniej oczywiście w to, co mówi Kaczyński. Czy jego słowa, że Mateusz Morawiecki pozostaje premierem tak długo, jak długo Kaczyński go popiera, traktować jako wsparcie premiera przez prezesa PiS czy właśnie pogrożenie mu palcem? Czy to sam Kaczyński, wbrew woli Obajtka, który miał mieć inny pomysł na wykorzystanie kupionych wraz z Polskapresse mediów lokalnych, nakazał nominowanie do zarządu grupy Doroty Kani, by ta szybko narzuciła w tych mediach „twardą", PiS-owską linię, potrzebną na przyśpieszone wybory? Tak sugeruje Piotr Zaremba w „Dzienniku Gazecie Prawnej". Do mnie osobiście bardziej przemawia ocena sytuacji, którą przedstawił w kilku wywiadach – m.in. w „Do Rzeczy" – Józef Orzeł, który wziął na siebie w tych ostatnich tygodniach rolę nawołującej do opamiętania Kasandry. Orzeł głębokie źródła kryzysu widzi nie w pokłóceniu się PiS z „przystawkami", które już być „przystawkami" nie chcą, ale w samym PiS: w postawieniu przez Kaczyńskiego na centralne zarządzanie i kontrolę, zamiast podjęcia w porę reformy struktur władzy. W efekcie z PiS dzieje się dziś to samo, co swego czasu z Platformą, a wcześniej SLD i AWS. Potworzyły się „resortowe" sitwy, skupione na dojeniu

eprasa.pl 785e8d0f3b

Jarosław Kaczyński (na zdjęciu z Jarosławem Gowinem i Zbigniewem Ziobrą) postawił na centralne zarządzanie, dlatego PiS jest dziś tam, gdzie wcześniej znalazły się PO czy AWS FOT. JERZY DUDEK/FORUM

państwa i zapewnianiu sobie nawzajem osłony – także poprzez odwracanie od siebie uwagi i kierowanie jej na konkurentów w obozie władzy. Demoralizując się w ten sposób, PiS zatracił swoją opowieść o „nowym państwie" i zawiódł nadzieje, które wyniosły go do władzy.

Przypomina się, co Kajetan Dzierżykraj-Morawski pisał przed laty o państwie sanacyjnym, którym Komendant zarządza jak dziedzic folwarkiem – wzywa do siebie ekonomów albo nachodzi ich znienacka, by sprawdzić, jak sobie radzą, dobrego pochwali, a złego wygrzmoci kosturem i wypędzi. Przy czym z uwagi na wpisaną w system sanacyjny szczupłość posiadanej „sprawdzonej" kadry i kłopoty z jej kwalifikacjami („próbowaliśmy powierzać urzędy fachowcom, ale ci nie chcieli realizować programu partii") oraz atmosferę totalnej wojny i obstrukcji ze strony opozycji, owo grzmocenie kosturem jest coraz bardziej symboliczne i coraz mniej się go kadry boją. Jarosław Kaczyński, wykazując się przez wiele lat nadludzką pracowitością, opanował sztukę kierowania partią poprzez ścisłe nadzorowanie działaczy, umiejętne ich rozgrywanie i kontrolowanie ich lojalności. Tę władzę nad partią, jak się wydaje, wciąż ma. Jednak „rzeczpospolitej resortowej" już w taki sposób kontrolować nie jest w stanie, łańcuch pośredników rekomendujących w imieniu partii na różne stanowiska stał się zbyt długi, a ludzi do upilnowania – mrowie.

Tu właśnie jest przyczyna, dla której dzisiejsze „przystawki", choć w punkcie

Przyspieszenie wyborów byłoby, w obecnej sytuacji, decyzją desperacką. PiS prawie na pewno by je wygrał, ale straciłby większość

wyjścia nieopisanie słabsze niż kiedyś Samoobrona i LPR, tym razem nie zostały „połknięte", ale zaczęły się emancypować, szukać własnych tożsamości. Na razie skuteczniej robi to Solidarna Polska, której ustawienie się na pozycjach „prawdziwego PiS" przyniosło już zysk w postaci pierwszych sondaży rokujących przekroczenie progu wyborczego. Gowin bardziej był dotąd zajęty łataniem własnej partii, ale za sprawą odrzucenia roszczeń Bielana przez warszawski sąd i wykazania się zdolnością do przeciągania na swą stronę złapał wiatr w żagle. A programowy zwrot PO ku lewicy i nieporadność Szymona Hołowni otwierają mu obszar łowiecki w centrum.

ZIOBRO – PUNKT ZWROTNY

Dla Kaczyńskiego zwłaszcza budowanie samodzielnej marki „ziobrystów", ufundowanej na niewypowiedzianym oskarżeniu PiS o zdradę ideałów i wyborców, czyli wyprawa po jego najwierniejszy elektorat, musi być procesem nieakceptowalnym. I, tu zgadzam się ze spekulacjami Zaremby, jeśli Ziobro będzie odnosić na tym polu sukcesy, to może to popchnąć Kaczyńskiego do działań najbardziej radykalnych, z przyśpieszeniem wyborów włącznie. Na zasadzie: ile byśmy mieli na tym stracić teraz, i tak będzie to mniej, niż jeśli pozwolimy Ziobrze rosnąć naszym kosztem jeszcze przez dwa lata.

Przyśpieszenie wyborów byłoby, w obecnej sytuacji, decyzją desperacką. PiS prawie na pewno by je wygrał, ale prawie na pewno straciłby samodzielną większość – co najgorsze dla Polski, choć dla PiS pożądane, na rzecz ugrupowań niezdolnych do zbudowania trwałej i opartej na jakimś programie większości rządzącej.

Największym kapitałem Kaczyńskiego okazuje się wieloletnie prowadzenie przez przegraną PO i jej liberalno-lewicowe salony polityki histerycznej nienawiści do PiS. Zjednoczona Prawica, straszona od lat tyleż bezsilnie, co bezmyślnie, zemstą, wypalaniem do gołej ziemi, wsadzaniem do więzień etc., ma silniejszą niż ktokolwiek przed nią motywację, by wbrew wszystkiemu trwać u władzy i nie bujać zanadto łodzią, w której wszyscy znaleźli jaki taki sposób na życie, a poza nią będą musieli utonąć. PiS przypomina dziś beczkę, z której odpadły przerdzewiałe obręcze, a mimo to nie może się ona rozpaść, bo ze wszystkich stron napierają siły próbujące ją zgnieść. Na to, by ją zgnieciono, jest za twarda, a napór sprawia, że wyciągnięcie jednej klepki – np. stworzenie „technicznego" rządu z Gowinem – stało się niemożliwe. Dla Gowina taki ruch oznaczałby po prostu polityczną śmierć, tak jak kiedyś dla Mariana Krzaklewskiego albo dla Romana Giertycha, którego marzenia o powrocie do polityki w roli innej niż działającego zakulisowo speca od brudnej roboty są dziś jeszcze dalsze od ziszczenia aniżeli sześć lat temu. Nawet gdyby Gowin zdołał zbudować znacznie większą formację przez połączenie Porozumienia z PSL i mitycznym „konserwatywnym skrzydłem" PO (jeśli rzeczywiście jeszcze coś z niego przetrwało), przeprowadzenie jej, z garbem „podwójnego zdrajcy" i odpowiedzialnością za „rząd techniczny", obciążany winą przez wszystkich za wszystko i z natury bezradny, bo pozbawiony stabilnej większości, przez wybory, w tym wypadku przyspieszone, graniczyłoby z cudem.

Ale nie wiadomo, czy w tej beczce nie ma prochu, czekającego tylko na iskrę – a nie brak w najbliższym czasie ważnych dla prezesa PiS głosowań, z których każde może się takową okazać. Polityka to nie szachy, politycy depczą sobie po odciskach, zadają sobie bolesne upokorzenia, bywa, że chęć odegrania się lub inne emocje biorą u nich górę nad logiką. Jarosław Kaczyński raz już stracił władzę wskutek irracjonalnej decyzji, żeby zniszczyć zupełnie wtedy spacyfikowanego i niegroźnego dla niego Leppera. Może znowu skalkulować, że lepiej przejść do opozycji, przy życzliwym prezydencie, z mniejszym, ale całkowicie lojalnym klubem i dużą dozą pewności, że PO, Lewica i Hołownia nie poradzą sobie na dłuższa metę z rządzeniem. Nie będzie też niezrozumiałe, jeśli Gowin wścieknie się za numer z Bielanem i podobnie jak kiedyś Giertych przedłoży ponad zimne kalkulacje zemstę. A i Ziobro może uznać, że nadszedł jego czas i „teraz albo nigdy".

W takim razie rozpad obozu rządzącego może przybrać różne formy i pociągnąć za sobą także dekonstrukcję obecnej opozycji. Polska polityka, po dekadzie uwięzienia w rytualnej wojnie PiS z antypisem, może nagle stracić przewidywalność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Szczery jak senator

Kamila Baranowska

Senator PiS Jan Maria Jackowski to jeden z niewielu polityków, którzy, wbrew partyjnej kalkulacji, pozwalają sobie na publiczną krytykę własnego środowiska politycznego

FOT. JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Senator Jan Maria Jackowski często mówi w mediach to, co myśli wielu szeregowych parlamentarzystów i działaczy PiS. Nie ma problemu z tym, by skrytykować rząd za pomysły, które uważa za nietrafione, czy w ostrych słowach wytknąć partii łamanie obietnic wyborczych. To wśród polityków cecha coraz rzadsza, dlatego też postać Jackowskiego tak bardzo irytuje niektórych klubowych kolegów, którzy sami dali się sprowadzić do roli maszynek do głosowania, i widać, że ich to trochę uwiera.

– Moim zdaniem wiarygodność w polityce jest czymś bardzo ważnym. Jeśli w 2015 r. czy potem w 2019 r. obiecaliśmy coś ludziom i zobowiązaliśmy się do realizacji programu oraz przestrzegania pewnych zasad ideowych i etycznych dotyczących przejrzystości życia publicznego, to nie można potem koniunkturalnie udawać, że się nic nie dzieje, gdy ten program nie jest realizowany, a wartości przestrzegane. Ja, jeśli jakieś zachowania czy decyzje krytykuję, zawsze mam w pamięci to, na co umawialiśmy się z wyborcami – mówi „Do Rzeczy" Jan Maria Jackowski.

A zastrzeżeń wobec własnego środowiska politycznego ma całą listę. Poczynając od nepotyzmu i wykorzystywania pozycji politycznej do obsadzania stanowisk swoimi ludźmi, przez nieuzasadnione wysokie dochody w spółkach i instytucjach państwowych, na niechlujstwie prawnym dotyczącym walki z pandemią i lekceważeniu rolników w związku z chęcią wprowadzenia głośnej „piątki dla zwierząt" kończąc.

– Jeżeli napiętnowaliśmy naszych przeciwników politycznych za nepotyzm, niejasne powiązania, wykorzystywanie pozycji politycznej w celach biznesowych, a teraz ludzie z nominacji PiS robią to samo, to nie jest to wiarygodne. PiS miał być przecież inny, wprowadzić nowe standardy. I ja po prostu o tym, co jakiś czas, moim kolegom przypominam – tłumaczy Jackowski.

DÉJÀ VU

W ostatnich dniach Jackowskiemu nie podobały się wypowiedzi prominentnych polityków PiS dotyczące koalicjantów. Szef klubu PiS Ryszard Terlecki stwierdził, że gdyby to od niego zależało, to chętnie by się ich pozbył. Jackowski nazwał tego typu słowa „niepoważnymi".

– To jest kolejny serial niepoważnych wypowiedzi w przestrzeni publicznej. Jeśli nie będzie koalicjantów, to nie będzie tego rządu. W sytuacji pandemii i kryzysu jest to bardzo groźne. Nie wiem, czy takie nieodpowiedzialne wypowiedzi nie są źle odbierane przez opinię publiczną – stwierdził. A zapytany, czy PiS idzie drogą AWS, dodał:

– Ja akurat byłem posłem AWS i mogę powiedzieć, że jeśli wsłuchuję się w takie wypowiedzi, to mam wrażenie déjà vu, czyli coś, co kiedyś przeżywałem i widziałem na własne oczy.

Uprzejmości na linii Jackowski-Terlecki niespecjalnie dziwią. Ich szorstkie relacje są znane nie od dziś. W pewnym momencie Terlecki nazwał nawet Jackowskiego „szkodnikiem". Poszło o ustawę wprowadzającą jednorazowo niedzielę handlową 6 grudnia ubiegłego roku. Wtedy Jackowski był jednym z kilku senatorów, głosujących przeciwko temu rozwiązaniu. Mówił, że niepoważne jest wprowadzanie takich rozwiązań „za

eprasa.pl 785e8d0f3b

pięć dwunasta". – Prawdę mówiąc, to już mi ręce opadają. Nie wiem, czy dywanik cokolwiek pomoże. On jest tutaj, co tu dużo mówić, szkodnikiem – komentował wtedy Terlecki, dodając, że coraz mniej widzi dla Jackowskiego miejsce w klubie PiS. – Ubolewam, że pan marszałek Terlecki, zamiast dobrze zarządzać klubem, zajmuje się recenzowaniem i atakowaniem mojej osoby. Za to, że bronię wiarygodności Prawa i Sprawiedliwości przed wyborcami – odpowiedział mu Jackowski, dodając, że Terlecki powinien zostać odwołany z funkcji szefa klubu i wicemarszałka Sejmu.

Mówiło się, że po tej wymianie zdań senatora Jackowskiego na rozmowę dyscyplinującą wezwie prezes Kaczyński, ale ostatecznie do takiego spotkania nie doszło.

Równie głośna awantura wywiązała się przy okazji „piątki dla zwierząt", którą Jackowski publicznie ostro krytykował i przeciwko której zagłosował, ignorując partyjne zalecenia.

– Ja się dostosowałem bardzo ściśle do dyspozycji pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który mówił: „Vox populi, vox Dei". Moi wyborcy wczoraj, na ulicach Warszawy, w trakcie protestów rolników, dali wyraz swojemu stanowisku wobec tej ustawy – tłumaczył.

W OKU MEDIALNEGO CYKLONU

Wiadomo, że „piątka" była oczkiem w głowie prezesa PiS, i wiadomo, że to, co zwykle opowiada w mediach marszałek Terlecki, jest odbiciem tego, co myśli sam Kaczyński. Jackowski jednak nie za bardzo przejmuje się ewentualnymi połajankami od prezesa PiS, bo nie jest członkiem partii. Trzecią kadencję zasiada w klubie parlamentarnym PiS, ale do partii się nie zapisał. Dlaczego? W rozmowie z „Do Rzeczy" mówi, że to by go ograniczało, a niezależność ceni sobie najbardziej. Największą karą, jaka może go zatem ze strony PiS spotkać, jest wykluczenie z klubu. Ale to też nie jest wcale takie proste. Muszą być pisemny wniosek przewodniczącego i głosowanie w obecności co najmniej połowy członków klubu, a ten liczy ok. 300 osób. Poza tym Jackowski jest PiS w Senacie potrzebny, z czego on sam doskonale zdaje sobie sprawę. Większość polityków PiS traktuje zresztą jego opinie z lekką pobłażliwością, mówiąc, że „ten typ tak ma", i złośliwie tłumacząc jego aktywność medialną „parciem na szkło".

– Najlepiej to określił chyba marszałek Terlecki: taka specyfika senatora Jackowskiego, on bardzo lubi być w oku medialnego cyklonu, zresztą dziennikarze sejmowi dobrze o tym wiedzą – stwierdził po którymś zamieszaniu wicerzecznik partii Radosław Fogiel. Ma rację co do tego, że Jackowski jest przez dziennikarzy lubiany, bo nigdy nie odmawia rozmowy czy nagrania komentarza. – Jakby czasem powstrzymał się od komentowania czegoś na gorąco, bez szczegółowej wiedzy, to być może uniknąłby późniejszych nieprzyjemności w klubie – mówi nam poseł PiS. – A tak media żyją potem tym, co powiedział senator, a reszta musi się z tego tłumaczyć. I tak to się kręci – dodaje.

Sam senator Jackowski mówi, że chętnie porozmawiałby o swoich zastrzeżeniach na forum wewnętrznym, ale takiej debaty od dawna w klubie już nie ma. A gdy kiedyś na wyjazdowych posiedzeniach klubu zabierał głos i wytykał błędy, to też nie wszystkim się to podobało.

– Dialog to nie tylko to, co kierownictwo partii ma do powiedzenia szeregowym działaczom i parlamentarzystom, lecz także to, co szeregowi działacze i parlamentarzyści mają do powiedzenia kierownictwu. Bo to oni mają kontakt z wyborcami i oni lepiej wyczuwają nastroje społeczne – tłumaczy Jackowski. I dodaje, że w polskim systemie kośćcem są właśnie parlamentarzyści, bo to oni muszą wygrywać wybory, by partia potem mogła rządzić. – Tymczasem po wyborach władzę i decyzje przejmują urzędnicy i aparat partyjny, który często jest mocno oderwany od spraw ludzkich – wskazuje. – To podcinanie gałęzi, na której wszyscy siedzimy, bo niesłuchanie ludzi skończy się przegraniem następnych wyborów – dodaje. Jan Maria Jackowski deklaruje, że nie zamierza rezygnować z krytyki, bo widzi, że przynosi ona efekty. I wymienia, że wskutek krytyki, która popłynęła także z jego strony, wprowadzono ustawę o jawności zarobków w NBP czy wycofano się z „piątki dla zwierząt". Z polityki też rezygnować nie chce, bo czuje, że to jest jego miejsce. – Gdy miałem 12 lat, byłem świadkiem wydarzeń grudniowych, które działy się pod moją szkołą w Szczecinie. Wtedy napisałem swój pierwszy wiersz i wtedy już wiedziałem, że chciałbym się zajmować pisaniem i polityką, uczestniczyć w życiu publicznym – wspomina. I rzeczywiście, w latach studenckich, gdy związał się z opozycją demokratyczną, zajął się dziennikarstwem. Pracował m.in. jako fotoreporter w „Tygodniku Solidarność", pisał do „Tygodnika Powszechnego". W 1990 r. trafił do TVP, z którą był związany przez wiele lat.

Poglądy konserwatywne i patriotyzm wyniósł, co sam podkreśla, z domu rodzinnego. Ojciec, inżynier, brał udział w kampanii wrześniowej, oboje razem z matką, ekologiem i popularyzatorem kultury, byli w AK. Jackowski lubi podkreślać, że ceni sobie wartości rodzinne, jest żonaty, ma sześć córek.

Po raz pierwszy posłem został w 1997 r. z ramienia AWS. Później był w ZChN i LPR. W 2001 r. nie uzyskał reelekcji, zaangażował się więc w politykę samorządową, startował w wyborach na prezydenta stolicy (jako kandydat LPR), został radnym, a następnie przewodniczącym Rady Miejskiej w Warszawie. To wtedy media wytykały mu posiadanie aż siedmiu mieszkań. W latach 2005–2007, gdy rządziła koalicja PiS-Samoobrona-LPR, zasiadał w Trybunale Stanu. Od 2011 r. jest senatorem, wybieranym z list PiS. Politycznie był kojarzony ze środowiskiem związanym z Radiem Maryja i o. Tadeuszem Rydzykiem. Wciąż zresztą publikuje na łamach „Naszego Dziennika" i jest częstym gościem w toruńskich mediach.

„PISANIE I POLITYKA"

Na swojej stronie internetowej Jackowski, który ma tytuł doktora nauk humanistycznych, wyliczył, że jest autorem kilkunastu publikacji książkowych (głównie tematyka polityczna i historyczna) i ponad 1,6 tys. prasowych. Jego ostatnia książka nosi tytuł „Polska w ostatniej dekadzie". – Pisanie i polityka w moim życiu wzajemnie się napędzają. Książki dotyczą historii i polityki, której jestem uczestnikiem i o której mam bieżącą wiedzę. To działa na moje publikacje ożywczo – uważa.

Na razie wygląda na to, że senator Jackowski wyrobił sobie w klubie PiS pozycję polityka, któremu trochę więcej wolno. I korzysta z niej przy każdej okazji. Zyskuje na tym debata publiczna, zyskuje sam senator, który staje się bardziej rozpoznawalny, sam PiS jednak niekoniecznie. I to w ostatecznym rozrachunku może, choć nie musi, przesądzić o politycznej przyszłości senatora.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Brykanie posła Nitrasa

Tomasz Rowiński

Prokuratura Okręgowa w Warszawie chce postawić zarzuty posłowi Koalicji Obywatelskiej Sławomirowi Nitrasowi i zwróciła się w ostatnich dniach marca do marszałka Sejmu Elżbiety Witek z prośbą o uchylenie mu immunitetu. Sławomir Nitras ma już na koncie tyle wybryków, że stały się one jego znakiem rozpoznawczym

Sławomir Nitras od roku 2020 jest członkiem Zarządu Krajowego Platformy Obywatelskiej i ktoś mógłby powiedzieć, że to znów politycznie sterowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości prokuratura podszczypuje jednego z liderów opozycji. Nitras trafił do ZK PO jednak już po tym, jak sam zaliczył kolejne prowokacyjne zachowania. Może zatem właśnie na takich wybrykach ugruntował swoją i tak już mocną pozycję w partii? Może kiedy popychał posła Wiesława Krajewskiego z PO, kopał poseł Iwonę Arent, sabotował poselską interwencję Przemysława Kalety lub w lipcu 2020 r. atakował zadającego niewygodne pytania dziennikarza, wyrastał na opozycyjnego bojownika, który nie kłania się strasznym ludziom reżimu PiS?

To ostatnie jest oczywiście ironią, ale faktem pozostaje, że Platforma Obywatelska od lat w swoich szeregach miała polityków posługujących się agresją, choć zwykle słowną. Z pewnością rolę agresora przyjmował przed laty Janusz Palikot, który nawet, gdy się politycznie usamodzielnił, dalej praktycznie był pitbulem Tuska, wulgaryzującym i tak sięgającą niezbyt wysokich lotów debatę polityczną w Polsce. Nie można nie wspomnieć o Stefanie Niesiołowskim, który przez wiele politycznych sezonów był źródłem mniej lub bardziej – zwykle mniej – merytorycznych opinii o politycznych przeciwnikach, zawsze jednak odpowiednio ostro sformułowanych. Niesiołowski zamilkł dopiero, gdy pojawiły się wobec niego zarzuty korupcyjne z aferą obyczajową w tle. Właściwie z dnia na dzień niemal zapadł się pod ziemię. Koalicja Obywatelska ma

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 785e8d0f3b

również takie postacie jak Klaudia Jachira z Nowoczesnej, której cały polityczny kapitał opiera się na słownej agresji wobec prawicy czy Kościoła. To, że tak specyficzna osobowość trafiła do Sejmu, wskazuje na istnienie znaczącego elektoratu opozycji gotowego do dalszej radykalizacji postaw, a także przyzwolenia we władzach składających się na opozycyjną koalicję. Trzeba jednocześnie powiedzieć, że Sławomir Nitras wszedł na nowy wyższy poziom.

PRZEMOC W SEJMIE

Wróćmy zatem do sprawy, którą zainteresowały się organy śledcze. „Prokuratura Okręgowa w Warszawie zamierza postawić posłowi Sławomirowi Nitrasowi zarzuty naruszenia nietykalności cielesnej drugiego posła. Do Marszałek Sejmu trafił wniosek o uchylenie immunitetu posłowi KO" – napisano na profilu PAP w mediach społecznościowych. Wydarzenie, o które chodzi, miało miejsce 27 października, gdy w Sejmie część posłów protestowała przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego. Chodziło rzecz jasna o orzeczenie stwierdzające niezgodność aborcji eugenicznej z polską ustawą zasadniczą. Grupa posłów opozycji weszła wtedy na mównicę z transparentem głoszącym hasło proaborcyjnych manifestacji, które wówczas trwały. Potem zaczęła się przemieszczać w kierunku poselskiej ławy, gdzie siedział Jarosław Kaczyński. Interweniowała Straż Marszałkowska, która oddzieliła lidera PiS od nacierających polityków opozycji.

„Jestem zmuszony do podjęcia nadzwyczajnych środków" – ogłosił w pewnym momencie prowadzący wtedy obrady wicemarszałek Terlecki, co oznaczało, że po upomnieniach rozpocznie się wykluczanie niektórych posłów z porządku obrad i wypraszanie ich z sali plenarnej. Wśród ukaranych znalazł się Sławomir Nitras, który zanim opuścił salę, z całej siły, z zauważalną agresją odepchnął posła PiS Wiesława Krajewskiego. Parlamentarzysta z trudem uratował się przed potencjalnie niebezpiecznym upadkiem na ławy poselskie.

Sytuacja nie pozostała niezauważona. „To już jest przegięcie. Sławomir Nitras atakuje innego posła, po czym następnie opuszcza salę obrad. Nie wspomnę już o organizowanej hucpie przy mównicy. To nikomu nie służy!" – pisał tego samego dnia wiceprezes zarządu Porozumienia z Gliwic Bartłomiej Maksymowicz. Wydarzenie zarejestrowała kamera sejmowa i obiegło ono Internet.

Na wniosek prokuratury Nitras odpowiedział komentarzem wideo, który umieścił w mediach społecznościowych. „Nie boję się Święczkowskiego, nie boję się Ziobry, nie boję się ich śmiesznych zarzutów. Kpię sobie panowie z waszego wniosku, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. [...] Prawda się obroni" – mówił na nagraniu poseł opozycji. „Mamy do czynienia z sytuacją, w której sitwa, klika, regularni przestępcy, którzy siedzą w Prokuraturze Generalnej, w Ministerstwie Sprawiedliwości po prostu nękają uczciwych, porządnych ludzi. Ja jestem jednym z nich" – kontynuował Sławomir Nitras. „Nie popełniłem nigdy żadnego przestępstwa, nie zrobiłem nic złego, a jestem nękany tylko i wyłącznie z powodów politycznych i to jest mój cały komentarz do tej sprawy" – zakończył swoją obronę Sławomir Nitras.

POSELSKIE KOPNIAKI

Niezależnie od sytuacji politycznej stosowanie przemocy nie może być usprawiedliwione żadnymi okolicznościami i standard ten obowiązuje polityków wszystkich opcji. W ogóle niestosowanie przemocy wobec współobywateli należy do kodeksu normalnego zachowania. Wyobraźmy sobie, że autor tego artykułu podszedłby do posła Nitrasa stojącego przed kamerami i z całym impetem go odepchnął. Czy to także nie byłoby „nic złego"? Tłumaczenie Sławomira Nitrasa bardzo przypomina pierwsze reakcje Stefana Niesiołowskiego, który wobec zarzutów, które mu postawiono, orzekł, że to przykrywka dla „taśm Kaczyńskiego". Żadne z tych tłumaczeń nie odnosi się do meritum zarzutów i – trzymając się poetyki polityków opozycji – jest próbą odwrócenia uwagi publiczność od ich własnych grzechów. Szczególnie że Sławomirowi Nitrasowi już weszły w krew zachowania „niestandardowe".

„Przykre, że pomimo tak licznych incydentów z użyciem przez Pana przemocy nie stać Pana na jakąkolwiek refleksję, że może jednak nie jest Pan prześladowany jako uczciwy obywatel, a popełnił Pan błędy, za które warto przeprosić" – odpowiedział Nitrasowi wiceminister sprawiedliwości Przemysław Kaleta. I jest to trafna riposta niezależnie od tego, jakie poglądy polityczne są naszymi własnymi. To właśnie Kalecie w lipcu 2020 r. Sławomir Nitras utrudniał przeprowadzenie kontroli poselskiej w warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka, uniemożliwiając wiceministrowi sprawiedliwości wejście na konferencję prasową Rafała Trzaskowskiego, która odbywała się właśnie na tym obiekcie. „Nie będziecie rozbijać nam eventu" – cytowały wtedy słowa Nitrasa media.

Jednak to także nie była pierwsza sytuacja. W listopadzie 2018 r. Nitras miał w autobusie sejmowym zareagować agresją wobec poseł Iwony Arent, której poglądy i opinie mu się nie spodobały. Kiedy Arent zagroziła Nitrasowi, że zgłosi sprawę do Komisji Etyki Poselskiej, najpierw kopnął ją w udo, a potem także znieważył wulgarnym słowem. „Wczoraj złożyłam zawiadomienie do Prokuratury Okręgowej w Warszawie w związku z karygodnym zachowaniem posła Sławomira Nitrasa z PO, który uderzył mnie i publicznie znieważył, używając wulgarnych słów" – pisała w mediach społecznościowych Iwona Arent.

Do innej „interwencji" posła Nitrasa doszło w tym samym lipcu 2020 r. w Ciechanowie, gdy trwała kampania wyborcza Rafała Trzaskowskiego. Jeden z dziennikarzy chciał zadać pytanie o efekty wcześniejszej wizyty opozycyjnego kandydata na prezydenta w Brazylii. Wtedy Nitras razem Marcinem Kierwińskim dokonali pacyfikacji ekipy TVP, umożliwiając Trzaskowskiemu uniknięcie niewygodnego pytania. Większych i mniejszych incydentów z udziałem Sławomira Nitrasa jest jeszcze więcej, podobnie jak kar, które otrzymał w Sejmie.

ODDANY ŻOŁNIERZ

Sławomir Nitras jest w polskiej polityce od dawna. Zanim w 2001 r. trafił do Platformy Obywatelskiej, był związany z Unią Polityki Realnej i Stronnictwem Ludowo-Konserwatywnym. Posłem na Sejm został w roku 2005, był także posłem do Parlamentu Europejskiego w latach 2009–2014. Z pewnością jest oddanym żołnierzem swojej partii, co słychać w reakcjach najważniejszych polityków PO, którzy postanowili wziąć współodpowiedzialność za agresywne zachowania swojego kolegi z Zarządu Krajowego na sali plenarnej Sejmu. Zachowania Nitrasa trudno w tej sytuacji nazwać przypadkowymi. Grzegorz Schetyna sprowadził całą sprawę do „politycznego teatru", a Borys Budka orzekł, że „nikt nie powinien się zrzekać immunitetu, dopóki nie ma gwarancji, że prokuratura działa w sposób niezależny". Może jednak wystarczyłoby zachowanie zgodne z cywilizacyjnym minimum i przynajmniej część problemów posła Nitrasa po prostu by się skończyła?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

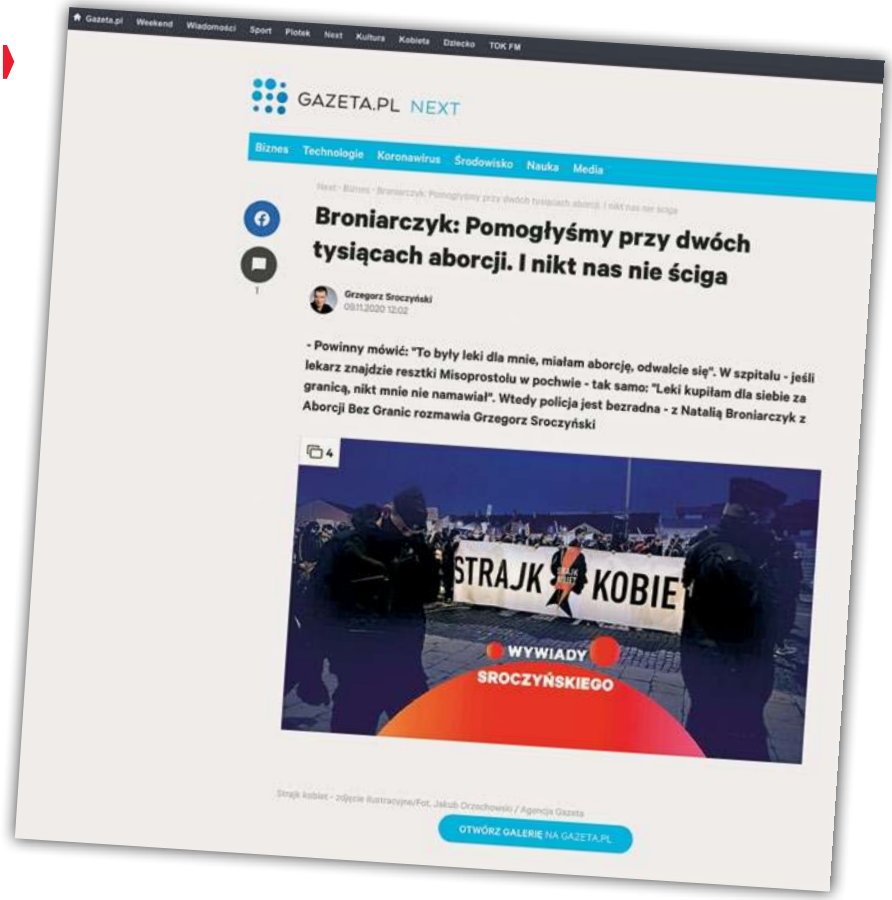
Gazeta.pl Weekend Wiadomości Sport Piotek Next Kultura Kobieta Dziecko TOK FM

GAZETA.PL NEXT

Biznes Technologie Koronawirus Środowisko Nauka Media

Broniarczyk: Pomogłyśmy przy dwóch tysiącach aborcji. I nikt nas nie ściga

Grzegorz Sroczyński
09.11.2020 12:02

- Powinny mówić: "To były leki dla mnie, miałam aborcję, odwalcie się". W szpitalu - jeśli lekarz znajdzie resztki Misoprostolu w pochwie - tak samo: "Leki kupiłam dla siebie za granicą, nikt mnie nie namawiał". Wtedy policja jest bezradna - z Natalią Broniarczyk z Aborcji Bez Granic rozmawia Grzegorz Sroczyński

Strajk kobiet - zdjęcie ilustracyjne/Fot. Jakub Orzechowski / Agencja Gazeta

OTWÓRZ GALERIĘ NA GAZETA.PL

Propagowanie nielegalnej aborcji

Paweł Szafraniec

„Pomogłyśmy przy dwóch tysiącach aborcji. I nikt nas nie ściga" – tak zatytułowany wywiad pojawił się na portalu Gazeta.pl. Dlaczego prokuratura nie zareagowała?

Rozmowa z działaczką proaborcyjną Natalią Broniarczyk ukazała się na portalu Gazeta.pl 9 listopada ubiegłego roku. Broniarczyk przedstawiła w nim mechanizm działania jednej z gałęzi podziemia aborcyjnego – Aborcji Bez Granic – której ma być współorganizatorem. Aktywistka nie ukrywa, że jej organizacja działa z pogwałceniem przepisów ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Jak sama mówi, w ten sposób uśmierconych zostało już ok. 2 tys. dzieci. „My na organizację wyjazdów wydałyśmy już 120 tysięcy złotych. Teraz mamy po 300 telefonów dziennie. […] Odkąd działa infolinia, już 190 osób wyjechało za granicę do klinik, z którymi pracujemy: w Amsterdamie, Utrechcie i Londynie. Ale w sumie pomogłyśmy mniej więcej przy dwóch tysiącach aborcji. […] Jesteśmy w stanie asystować siedmiu kobietom dziennie w trakcie przyjmowania leków. Plus średnio dwie osoby na mailu. Niektóre kobiety prowadzimy od zakupu leku aż do poronienia" – opowiadała Broniarczyk.

JAWNIE O NIELEGALNYM PROCEDERZE

Kobieta ze szczegółami relacjonowała, jak wygląda aborcja farmakologiczna, w której wykonaniu pomaga jej organizacja. „Kobieta może dostać bezpieczne i oryginale leki. […] M [tu pada nazwa specyfiku] odcina działanie progesteronu, czyli hormonu, który podtrzymuje ciążę. Dostają od nas instrukcję: łykasz tę tabletkę, czekasz 24 godziny, bo wtedy lek osiąga maksymalne stężenie we krwi. I przyjmujesz cztery tabletki M [tu pada nazwa specyfiku]. Ale pamiętaj – tych tabletek już nie łykasz. Wkładasz pod język albo między dziąsło a zęby i trzymasz przez 30 minut, bo lek się wchłania przez śluzówkę. Można też dopochwowo" – mówiła. Z jej opowieści wynika, że Aborcja Bez Granic uczestniczy też w kosztach aborcji lub nawet pokrywa je w całości. „U nas koszt zestawu to 75 euro, jest to darowizna na fundację, żeby utrzymać działanie serwisu i opłacić przesyłkę. Ale jak nie masz – to my płacimy" – podkreślała rozmówczyni Gazeta.pl.

Organizacja umożliwia także kobietom zamierzającym dokonać aborcji wyjazdy w tym celu za granicę. Na pytanie dziennikarza: „Jestem w 22. tygodniu ciąży. Wtedy co?", Natalia Broniarczyk odpowiada: „Wtedy za późno na samodzielną farmakologię. Potrzebny jest wyjazd. Pytamy, czy ma dokumentację medyczną. Nas co prawda nie interesuje powód jej decyzji, jesteśmy za pełną dostępnością aborcji, ale jeśli występują wady płodu, to mamy więcej czasu na zorganizowanie wyjazdu – do 24. tygodnia albo nawet dłużej. Tłumaczymy dokumentację na angielski, wysyłamy do kliniki w Holandii albo w Anglii, umawiamy na zabieg. Tamtejsi lekarze – jeśli ciąża nie rozwija się prawidłowo – traktują to priorytetowo jako zagrożenie życia kobiety i dają szybkie terminy". Pada również pytanie o koszty takiego wyjazdu. Jak podaje działaczka, jest to „około tysiąca euro. Ale razem z dojazdem i hotelem to jakieś 2500–3000 euro. Pytamy, czy ona ma pieniądze. Jeżeli nie ma, to możemy podzielić się kosztami lub nawet zapłacić całość".

Broniarczyk nie ukrywa też, że organizacja pomaga w aborcji także kobietom w zaawansowanej ciąży, gdy dziecko mogłoby samo przeżyć poza organizmem matki. „No ale jest jeszcze paragraf trzeci: »Kto dopuszcza się czynu określonego

eprasa.pl 785e8d0f3b

w § 1 lub 2, gdy dziecko poczęte osiągnęło zdolność do samodzielnego życia poza organizmem kobiety ciężarnej, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8«. Zdolność do samodzielnego życia jest od kiedy?" – pyta prowadzący wywiad Grzegorz Sroczyński. – Nie da się ustalić dokładnie – odpowiada Broniarczyk. – Ale mniej więcej na przełomie 23. i 24. tygodnia ciąży. W polskim prawie dotyczy to płodu, który osiągnął 22. tydzień.

Dalej rozmowa wygląda tak:

„– Przecież wy udzielacie pomocy w przerywaniu ciąży po 22. tygodniu, bo organizujecie wyjazdy.

– Tak.

– Czyli osiem lat.

– Uważam, że nasza praca jest obowiązkiem moralnym, a prawo niesprawiedliwe należy łamać. […]

– To jeszcze raz. Aborcja w 23. tygodniu. Wy ją organizujecie. Ty mówisz w tym w wywiadzie: »My to organizujemy od A do Z«. W autoryzacji zostanie?

– Tak. Bo to prawda".

NARUSZONE PRZEPISY

Jakie przepisy naruszają działania Aborcji Bez Granic"? Jest to wspomniany przez Sroczyńskiego art. 152 Kodeksu karnego. Określa on odpowiedzialność za udzielenie kobiecie ciężarnej pomocy w przerwaniu ciąży z naruszeniem przepisów ustawy, przewidując za to karę pozbawienia wolności do lat trzech, przy czym odpowiedzialność ta jest surowsza, gdy dziecko poczęte osiągnęło zdolność do samodzielnego życia poza organizmem kobiety ciężarnej. Wynosi ona wtedy od sześciu miesięcy do lat ośmiu. Regulacja ta odnosi się do art. 4a ust. 1 ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, który na dzień udzielenia wywiadu przewidywał możliwość przerwania ciąży w trzech przypadkach. Mowa o sytuacjach, gdy ciąża stanowiła zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej, badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazywały na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu lub też zachodziło uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego.

Sąd Najwyższy uznaje, że sprawca odpowiada karnie bez względu na to, czy do pozbawienia życia dziecka doszło, czy nie. Natomiast miejscem popełnienia przestępstwa opisanego w tym przepisie jest miejsce działania sprawcy niezależnie od tego, że aborcja miała być dokonana poza granicami Polski. Na podobnym stanowisku stanął też Sąd Apelacyjny w Warszawie w wyroku z 21 grudnia 2015 r. Pogląd ten znajduje akceptację również w doktrynie prawa karnego, w szczególności były prezes Trybunału Konstytucyjnego i Rzecznik Praw Obywatelskich, prof. dr hab. Andrzej Zoll, akcentuje trafność tej wykładni.

PRZYKŁAD SŁUBIC BARDZO PODOBNY

Jakich jeszcze przestępstw można się dopatrywać w wywiadzie z Natalią Broniarczyk? Należałoby brać pod uwagę art. 157a k.k., który wprowadza odpowiedzialność za spowodowanie uszkodzenia ciała dziecka poczętego lub rozstrój zdrowia zagrażającego jego życiu. Z karalności w takim przypadku wyłączona jest matka dziecka. Na ten przepis powołał się Sąd Rejonowy w Słubicach, wydając postanowienie w sprawie wydarzeń z czerwca 2015 r. Wtedy to z Frankfurtu nad Odrą przyleciał do Słubic dron z tabletkami wczesnoporonnymi. Po wylądowaniu środki te zostały zażyte przez dwie kobiety. W orzeczeniu zwrócono uwagę, że brak karalności spowodowania uszkodzenia ciała dziecka poczętego lub rozstroju zdrowia zagrażającego jego życiu przez matkę nie oznacza, że jest to zachowanie dozwolone. Wobec tego sprawcą takiego przestępstwa może być także matka dziecka poczętego.

Przedstawicielka Aborcji Bez Granic przyznała, że organizacja pomaga w aborcji także kobietom w zaawansowanej ciąży

Zatem w okolicznościach tamtej sprawy mogło dojść do nawoływania do zachowania niezgodnego z prawem. Sąd rejonowy wskazał także, że adresatami tamtej akcji były też osoby, które, poprzez uzyskanie informacji o środkach wczesnoporonnych mogły służyć „pomocą kobietom ciężarnym w dokonaniu aborcji". Argumentacja ta odpowiada także sytuacji opisanej w rozmowie z Natalią Broniarczyk.

Wywiad z aktywistką można również rozpatrywać z punktu widzenia art. 255 § 1 k.k., który zabrania publicznego nawoływania do popełnienia występku. W piśmiennictwie podnosi się, że znamię „pochwalanie" oznacza wyrażenie dodatniej oceny, aprobaty czy też uznania dla przestępstwa, które ma zostać popełnione lub dla przestępstwa, które popełnione już zostało. Także z tym mamy do czynienia w przypadku rozmowy z Broniarczyk. „»Aborcja jest OK« – zaczęłyśmy jechać z tym hasłem. Bo ile można chodzić na tej smyczy? […]. Jeśli oni próbują przesuwać granicę dyskursu w swoją stronę, to trzeba odpowiadać tym samym. Ta strategia ma zalety na wielu poziomach. Jest wyzwalająca dla kobiet, które miały aborcję, czyli dla 25 procent kobiecej populacji w Polsce. »Nie jesteś sama. Miałaś prawo to zrobić. To jest OK« […]. Ja życzę aborcji każdej kobiecie, która jej potrzebuje".

CO Z PRAWEM FARMACEUTYCZNYM?

Kierując się argumentacją przytoczoną we wspomnianym postanowieniu Sądu Rejonowego w Słubicach, przedmiotem postępowania przygotowawczego powinna być również kwestia wprowadzania do obrotu produktu leczniczego, przy braku pozwolenia na dopuszczenie do obrotu. To zachowanie kryminalizuje art. 124 prawa farmaceutycznego. Tabletki wczesnoporonne, o których dystrybuowaniu mówi Natalia Broniarczyk, nie są dopuszczone do obrotu na terytorium Polski. Konieczne jest więc zbadanie, czy nie mamy tutaj do czynienia z tzw. pierwotnym wprowadzeniem do obrotu na terenie kraju opisanego środka farmaceutycznego.

Prezentowany w wywiadzie rozmiar procederu i jego „rezultaty" wymagają zaawansowanych organizacyjnie form działania. „Usługi" oferowane przez Aborcję Bez Granic są dostępne całą dobę, przez siedem dni w tygodniu. Działalność oparta jest na sieci powiązań na terenie Polski i poza jej granicami, hojnie przy tym dotowana. Siłą rzeczy, niniejszą sprawę należy również prowadzić pod kątem możliwości uczestnictwa w związku mającym na celu popełnianie przestępstw, o czym mowa w art. 258 § 1 k.k.

Działalność środowisk proaborcyjnych to nie tylko uliczne demonstracje i akty wandalizmu. Wywiad z Natalią Broniarczyk pokazuje konkretne mechanizmy, które umożliwiają dokonywanie aborcji na dużą skalę z pominięciem prawa. Wywiad ten powinien zatem jak najszybciej trafić pod lupę śledczych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Tęczowy antypolonizm

Maciej Pieczyński

Aktywistka LGBT, „niebinarna" lesbijka i „rozwódka". Wychowuje dzieci z drugą „żoną". Snuje plany likwidacji instytucji małżeństwa. Nienawidzi Trumpa, a Polaków uważa za naród antysemitów i homofobów. Masha Gessen, autorka antypolskiego paszkwilu w „New Yorkerze", to uosobienie najbardziej stereotypowych wyobrażeń o skrajnych lewakach

FOT. PI FRISK/SVD/TT NEWSAGENCY/FORUM

Aby uniewinnić naród z morderstwa trzech milionów Żydów, polski rząd posunie się nawet do ścigania naukowców za zniesławienie" – te skandaliczne słowa Mashy Gessen wywołały wielkie oburzenie. Dziennikarka „New Yorkera" odniosła się w ten sposób do sprawy Grabowskiego i Engelking, pozwanych o zniesławienie. Grabowski sam przyznał się z dumą, że w pewnym sensie zainspirował Mashę Gessen do napisania głośnego artykułu. Miesiąc przed publikacją miał odbyć długą dyskusję z amerykańsko-rosyjską dziennikarką na temat „polskich problemów z historią Holokaustu". „Byłem zachwycony, że ponad 700 osób poświęciło czas, by słuchać naszej wymiany zdań […]. Jestem zachwycony, kiedy widzę, że Masha Gessen napisała przejmujący artykuł dla »New Yorkera« na ten sam temat. To ważny i aktualny artykuł, który rzuca światło na zniekształcenia Holokaustu, na agresywną politykę »pamięci« państwa polskiego oraz na trudną sytuację badaczy, którzy ośmielają się zaprzeczać oficjalnej, sponsorowanej przez państwo narracji" – komentował na Twitterze.

Faktem jest, że „New Yorker" w reakcji na protesty zmienił kontrowersyjny fragment. Po edycji brzmi on następująco: „Badacze stoją w obliczu pozwów o zniesławienie i potencjalnych zarzutów karnych – z powodu wysiłków polskiego rządu, żeby rozgrzeszyć naród z jakiegokolwiek udziału w morderstwach trzech milionów Żydów w czasie nazistowskiej okupacji".

„WYPACZENIE HOLOKAUSTU"

Na kłamliwy artykuł Mashy Gessen zareagowała ambasada RP w USA. Dziennikarka dostała zaproszenie do Muzeum Auschwitz-Birkenau, by „dowiedziała się więcej o nazistowskich niemieckich obozach śmierci, Holokauście i milionach zamordowanych podczas II wojny światowej". Zmiany naniesione w tekście ambasador Piotr Wilczek ocenił jako „znak dobrej wiary i przyznania, że artykuł wprowadza w błąd". Jednocześnie, jak zauważył dyplomata, wymowa tekstu nawet po zmianach zawiera z gruntu nieprawdziwą sugestię, że państwo polskie odegrało główną rolę w zamordowaniu 3 mln Żydów podczas drugiej wojny światowej. Wilczek wypunktował kłamstwa Gessen, zwracając uwagę na fakt, że to nie rząd ściga badaczy Holokaustu – pozew przeciwko Grabowskiemu i Engelking został złożony z powództwa cywilnego przez Filomenę Leszczyńską, która uznała, że jej krewny został przez historyków oczerniony.

Specjalne oświadczenie w sprawie artykułu wydał również dr Piotr Cywiński, dyrektor Muzeum Auschwitz-Birkenau. W jego ocenie tekst zawiera „tak wiele kłamstw i zniekształceń, że trudno jest uwierzyć, iż jest to zbieg okoliczności". „Całkowicie szokujące jest założenie, że to naród (wyraźnie wymieniony w tym samym zdaniu, które odnosi się do polskiego rządu) odpowiedzialny jest za zamordowanie trzech milionów Żydów" – stwierdził Cywiński. Zauważył również, że „sprowadzenie całej Polski do historii kolaborantów, szantażystów, donosicieli czy morderców jest historycznym kłamstwem". Napisał też: „Nie wiem, jaka jest wiedza autorki na temat drugiej wojny światowej i Holokaustu, ale tak, jak ja nie wypowiadam się o fizyce kwantowej (bo niewiele o niej wiem), tak i Masha Gessen powinna milczeć". Dziennikarkę skrytykował nawet, niechętny zazwyczaj polityce historycznej Warszawy, Komitet Żydów Amerykańskich na Europę Środkową, oświadczając: „Twierdzenie, że Polska rozumiana jako wspólnota

eprasa.pl 785e8d0f3b

etnicznych Polaków i państwo są winne śmierci 3 milionów Żydów, jest wypaczeniem Holokaustu".

Masha Gessen tłumaczyła się także polskim mediom. Udzieliła wywiadu Adamowi Leszczyńskiemu ze skrajnie lewicowego portalu OKO.press. Oczywiście, jak to w takich przypadkach bywa, próbowała dowieść, że kontrowersyjne zdanie zostało wyjęte z kontekstu, a ona wcale nie miała na myśli tego, co wprost napisała. Zamiast prostować własne kłamstwa, skupiła się na forsowaniu tezy, że państwo polskie próbuje wybielić przeszłość. Skrytykowała też, w pouczającym tonie, Muzeum Auschwitz – oświadczenie tej instytucji było dla dziennikarki „najbardziej szokujące i przygnębiające", ponieważ wystosowali je „ludzie, których zadaniem naprawdę jest opieka i ochrona nad pamięcią". Najwyraźniej Masha Gessen twierdzi, że zna dzieje Holokaustu lepiej niż dr Cywiński.

Dziennikarka, w typowy dla lewicowych aktywistów sposób zamiast merytorycznych argumentów sięga w dyskusji po argument własnej orientacji seksualnej i do poważnej debaty o historii miesza nieistotne w tym kontekście własne sprawy osobiste. „Artykuł został napisany w dodatku przez queerową, transpłciową, żydowską osobę w amerykańskim magazynie. Cokolwiek taka osoba napisałaby o Polsce, zostałoby wykorzystane jako broń […]. Cokolwiek napiszę o Polsce, zostanie wykorzystane w ten sposób. Znam ten mechanizm bardzo dobrze z rosyjskiego kontekstu, w Rosji działa to podobnie. Wrogowie polskiego rządu – ci, o których wiem – to Rosjanie, osoby LGBT, Amerykanie krytykujący polską politykę pamięci i niezależni naukowcy, którzy badali lub badają dzieje Zagłady w Polsce" – żali się Gessen. Typowa spiskowa teoria nowej lewicy, zgodnie z zasadą: „Jeśli z nami polemizują, to znaczy, że nienawidzą nas za nasze pochodzenie i orientację". W ograniczonej „postępowymi" stereotypami wyobraźni tęczowych aktywistów nie mieści się przypuszczenie, że krytyka poglądów lesbijki żydowskiego pochodzenia (niezwiązanych z jej orientacją i pochodzeniem) nie musi być determinowana ani homofobią, ani antysemityzmem.

DZIENNIKARKA I AKTYWISTKA

Masha Gessen naprawdę nazywa się Maria Aleksandrowna Gessen i urodziła się w Moskwie pod koniec lat 60., w inteligenckiej rodzinie żydowskiego pochodzenia. W wieku 14 lat wraz z rodzicami wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Studiowała architekturę, ale jej nie ukończyła. W 1991 r. wróciła do Moskwy. Rozpoczęła karierę dziennikarską. Publikowała zarówno po rosyjsku, jak i po angielsku. W tym drugim języku napisała książkę pt. „Putin. Człowiek bez twarzy", wydaną w 2012 r. w USA. Biografia przedstawiała rosyjskiego przywódcę jako pozbawionego większych talentów agenta KGB, który został władcą Kremla i zawrócił swój kraj z drogi demokratycznych przemian.

W tym czasie Gessen była redaktor naczelną czasopisma i wydawnictwa „Wokrug Swieta". Nieoczekiwanie pożegnała się ze stanowiskiem, zagadkowo sugerując, że za jej odejściem stał Putin. Okazało się, że odmówiła właścicielowi wydawnictwa wysłania reportera na prezydencką ekspedycję, której celem było pokazanie, jak Władimir Władimirowicz dba o ochronę przyrody. Gessen miała argumentować, że tego typu wyjazdy mają więcej wspólnego z propagandą niż z rzeczywistością. Gdy dziennikarka podała swą decyzję o rezygnacji do publicznej wiadomości, miał do niej zadzwonić sam Putin. Zaprosił ją i właściciela wydawnictwa na Kreml, żeby… wyjaśnić sytuację i opowiedzieć, jak naprawdę wyglądają jego starania w obronie przyrody. Podczas spotkania, jako „czytelnik", prezydent miał namawiać dziennikarkę, by odwołała swoją rezygnację. Gessen po długich rozważaniach odrzuciła propozycję.

Kolejnym przystankiem na drodze jej kariery było stanowisko dyrektora rosyjskiej rozgłośni Radia Swoboda. Podobno pełniła tę funkcję w sposób fatalny. Po paru miesiącach odeszła, oficjalnie z własnej inicjatywy, aby podjąć pracę nad kolejną książką. W maju 2013 r. zdecydowała się wyjechać z powrotem do USA, w obawie o swoje bezpieczeństwo. Rok później zaczęła publikować na łamach liberalnego tygodnika „The New Yorker". Jak nietrudno się domyślić, ostro krytykowała Donalda Trumpa, którego porównywała z Putinem. W książce „Surviving Autocracy", wydanej tuż przed wyborami prezydenckimi w USA, pisała: „Ameryka Trumpa jest jak on sam: agresywny biały facet z kompleksem oblężonej twierdzy. Do wyborów szedł z obietnicą powrotu do wyimaginowanej tradycji, w której biali nie musieli traktować Afroamerykanów jak równych, kobiety nie mieszały się do polityki, geje i lesbijki nie obnosili się ze swoją orientacją, a osoby transseksualne nie istniały".

Maria Gessen to nie tylko dziennikarka, pisarka, lecz także tęczowa aktywistka. Orientacja seksualna stanowi niezwykle istotny element jej publicznej działalności. W latach 90. Gessen była jedną z czołowych aktywistek ruchu LGBT w postsowieckiej Rosji. Walczyła o zmianę przepisów przewidujących penalizację propagandy homoseksualizmu. Tęczowy światopogląd realizuje również w swoim prywatnym życiu. W 2004 r. w USA wzięła „ślub" ze Swietłaną Gienierałową, która przez pięć lat pracowała w gejowskich i lesbijskich organizacjach społecznych, po czym została… gospodynią domową zajmującą się dziećmi. Dość szybko się „rozwiodła" z pierwszą „żoną". W 2006 r. „poślubiła" Darię Orieszkinę. Masha wychowuje troje dzieci, w tym jedno adoptowane i dwoje rodzonych.

PRZYZNANIE DO KŁAMSTWA

Wzorce ze swojego życia osobistego dziennikarka chciałaby w społeczeństwie upowszechnić. W jednej z publicznych wypowiedzi otwarcie określiła prawdziwe cele sporej części ruchu LGBT. Stwierdziła mianowicie: „Walka o małżeństwa jednopłciowe generalnie niesie ze sobą kłamstwo odnośnie do tego, jak postąpimy z instytucją małżeństwa, kiedy osiągniemy swój cel. Przecież my kłamiemy, kiedy mówimy, że instytut małżeństwa nie powinien się zmieniać. Powinien się zmieniać i będzie się zmieniać". Gessen wprost przyznała też, że chciałaby, aby instytucja małżeństwa przestała istnieć, ponieważ nie odpowiada ona współczesnym realiom.

Masha Gessen jest nie tylko „rozwiedzioną" lesbijką. Niedawno ogłosiła się również osobą „niebinarną". Czyli nie określa swojej płci ani jako żeńską, ani jako męską. Od tej pory życzy sobie, aby wszyscy, pisząc o niej, używali zaimka „they" („oni") zamiast „she" (ona). W cytowanym wywiadzie dla OKO.press z kolei prosiła, by określać ją, używając na przemian form męskich i żeńskich albo neutralnych. Problem z tożsamością seksualną ma również jej niespełna 20-letnia córka, Jołka, aktywistka ruchu Black Lives Matter. Na swoim profilu na Instagramie stwierdziła: „Nie jestem jeszcze na tyle pewna swojej identyfikacji płciowej, aby podawać zaimki, jakimi chcę być opisywana".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

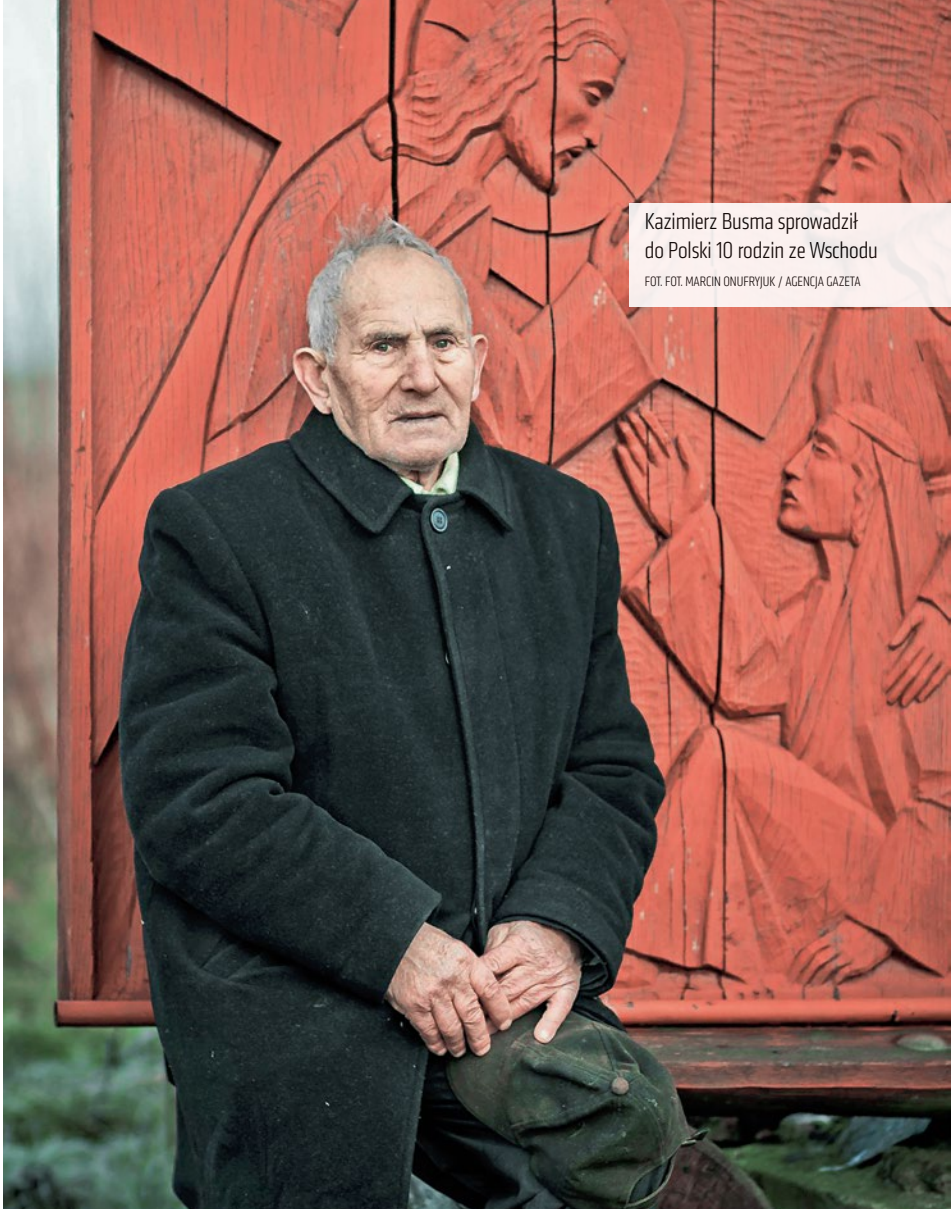

Kazimierz Busma sprowadził do Polski 10 rodzin ze Wschodu

FOT. FOT. MARCIN ONUFRYJUK / AGENCJA GAZETA

W powrotną drogę

Radosław Wojtas

O takich jak oni jedna z repatriantek powiedziała: „Bohaterowie dnia dzisiejszego". To ludzie, którzy pomagają Polakom ze Wschodu zacząć od nowa w ojczyźnie swych przodków. Bez nich wiele powrotów nie byłoby możliwych

Każdy chce żyć między swoimi. Kazachstan to cudowny, ciepły kraj, pełen wspaniałych ludzi. Ale czuliśmy się tam obco. Chcieliśmy mieszkać między podobnymi nam ludźmi, którzy wyznają podobne wartości, obchodzą te same święta, chcieliśmy mieć kościół blisko… – mówi Irena Popławska, która wraz z rodziną sprowadziła się z Kazachstanu do Polski.

W Kazachstanie miała poukładane życie, dobrą pracę i dom. W Polsce musiała zaczynać wszystko od nowa. Jej kazachskie wykształcenie prawnicze trudno jest wykorzystać nad Wisłą, dlatego pierwsze kroki na rynku pracy nie były łatwe. Do tego dochodziła bariera językowa. – Mój tata pamięta kilka słów z dzieciństwa, które usłyszał od swojej babci, ale poza nim wszyscy uczyliśmy się języka polskiego od podstaw. W Kazachstanie nie było zbyt wielu nauczycieli polskiego, większości musieliśmy uczyć się sami – mówi Irena Popławska.

DŁUGA DROGA DO POLSKI

Bariera językowa nie była jedyną, którą trzeba było pokonać. Rodzina pani Ireny to Polacy łotewskiego pochodzenia. Do Kazachstanu nie trafili w ramach zsyłki, tak jak wielu polskich repatriantów, ale za sprawą pracy taty pani Ireny. Był budowlańcem, podejmował się projektów w różnych krajach ZSRS. W latach 80. trafili do Kazachstanu i już tam zostali. – Nie planowaliśmy wyjazdu z Kazachstanu. Żyło nam się tam dobrze, mieliśmy wygodny dom, pracowałam jako prawnik. Kiedyś poznałam nauczycielkę z Polski i to ona zaczęła namawiać mnie do wyjazdu. Zaczęłam odwiedzać Polskę, by poznać ten kraj, i uznałam, że jest bardzo podobny do Łotwy – taka sama przyroda, ta sama religia, podobna kultura, dobrzy ludzie. Poczułam się, jakbym wróciła do domu po długiej podróży – opowiada.

Załatwienie formalności – najpierw Karty Polaka, później promesy wizy repatriacyjnej – poszło sprawnie. Znacznie większym wyzwaniem było spełnienie wymagań, by wizę tę otrzymać, a są nimi m.in. znalezienie w Polsce mieszkania i pracy. – Znalezienie mieszkania dla siedmioosobowej rodziny i pracy dla nas jawiło mi się jako coś niemożliwego do zrobienia, nie miałam pomysłu, jak się do tego zabrać – wspomina pani Irena. – Wtedy znalazłam w Internecie informację

eprasa.pl 785e8d0f3b

o Fundacji Leny Grochowskiej, która pomogła nam z mieszkaniem i znalezieniem pierwszej pracy w Polsce. Gdyby nie ta pomoc, to prawdopodobnie nigdy byśmy z Kazachstanu nie wyjechali – dodaje.

Rodzina zamieszkała w mieszkaniu fundacji w Górze Kalwarii. Dostali dach nad głową i najpotrzebniejsze rzeczy – kołdry, poduszki, meble – oraz pomocną dłoń w znalezieniu pracy. Zostali ciepło przyjęci przez sąsiadów. – Każdy w Górze Kalwarii wiedział, że jesteśmy repatriantami, więc staliśmy się popularni w naszej miejscowości. Ludzie podchodzili do nas, pytali, jak się mamy, jak nam się tu żyje. To było bardzo miłe – wspomina pani Irena. Ale układanie sobie życia na nowo wcale nie było takie proste. Wykształcenie prawnicze pani Ireny w polskim CV na niewiele się zdawało. Pierwsza praca związana z rekrutacją pracowników ze Wschodu nie przypadła kazachskiej prawniczce do gustu. – Teraz pracuję w podobnej firmie, ale zajmuję się legalizacją pobytu. To nie jest oczywiście praca prawnika, ale jest dość podobna, bo przygotowuję różne wnioski, składam dokumenty, uzyskuję pozwolenia, zawieram umowy. Nie zamierzam płakać, że straciłam swój zawód, bo mam nadzieję, że wkrótce do niego wrócę, już zaczynam zdobywać odpowiednie wykształcenie w Polsce – mówi pani Irena.

ZACZĘŁO SIĘ OD ARTYKUŁU W GAZECIE

– Podziwiam osoby, które decydują się zmienić swoje życie o 180 stopni po przyjeździe do Polski – mówi Aneta Żochowska, dyrektor Fundacji Leny Grochowskiej. – Często są to osoby wykształcone, które np. w Kazachstanie miały dobre posady, nie pracowały fizycznie, a po przyjeździe do Polski, nie znając języka, podejmują się najprostszych i najgorzej płatnych prac. To na pewno dla nich trudna zmiana, tym bardziej że Kazachstan odbiera takim ludziom obywatelstwo, więc jest to bilet w jedną stronę – dodaje.

Fundacja Leny Grochowskiej pomogła już 25 rodzinom, często wielopokoleniowym i wielodzietnym, głównie z Kazachstanu, ale także z Ukrainy i Uzbekistanu. W większości są to repatrianci, ale wsparła też uchodźców z Donbasu. Wszystko zaczęło się na przełomie lat 2014 i 2015, kiedy Władysław Grochowski, założyciel firmy deweloperskiej Arche, przeczytał artykuł o wysiedlonych Polakach i ich potomkach. – Wtedy jeszcze nie było istniejących dziś ram prawnych, które umożliwiają samorządom sprowadzanie Polaków ze Wschodu. Wtedy byli oni pozostawieni sami sobie. Na początku był pomysł, by pomagać im jako firma, ale szybko państwo Grochowscy powołali do życia fundację, której głównym zadaniem stała się pomoc repatriantom – mówi Aneta Żochowska.

Repatrianci mogą zatrzymać się w mieszkaniu fundacji, dostają niezbędne na start przedmioty osobiste oraz pomoc w znalezieniu zatrudnienia. Czasem pracę daje firma założycieli fundacji, czasem inni zaprzyjaźnieni z nią przedsiębiorcy. – Mieszkanie na początku udostępniamy zupełnie za darmo, później rodziny uiszczają symboliczny czynsz, po dwóch latach czynsz ten jest nieco podnoszony, ale do ok. jednej czwartej rynkowej stawki. Naszym celem jest, aby rodziny się usamodzielniały – wyjaśnia Aneta Żochowska.

POTRZEBA SERCA

Dziesięć rodzin ze Wschodu sprowadził do Polski Kazimierz Busma z gminy Klukowo w powiecie wysokomazowieckim (woj. podlaskie). Pan Kazimierz, rocznik 1923, jeden z 11 rodzeństwa, członek Armii Krajowej, a po wojnie nastawniczy ruchu kolejowego, to człowiek, któremu nigdy się nie przelewało. Mimo tego postanowił pomagać rodakom w powrotach do Polski. Zbudował dla nich dom, przekazał ziemię, w 1995 r. założył Polskie Stowarzyszenie Patriotów w Solidarności w Kostrach-Podsędkowiętach. Sprowadzał do kraju wielopokoleniowe rodziny, zapewniał dach nad głową, szukał im pracy. Znajomi łapali się za głowę, odradzali. – Próbowaliśmy ten pomysł wybić mu z głowy, mówiliśmy: Człowieku, a gdzie oni znajdą pracę, z czego będą żyli? Ale pan Kazimierz nie przestawał realizować swojego pomysłu. Historia jemu właśnie przyznała rację – mówił w przygotowanym przez Muzeum Powstania Warszawskiego, poświęconym panu Kazimierzowi filmie przyjaciel pana Kazimierza Piotr Dąbrowski. – Jest to człowiek, który widzi sercem, widzi człowieka i jego potrzeby – dodawał. – Bez Boga nic nie uczyniłbym w swoim życiu. Otrzymałem od Pana wiele łask, teraz tym dobrem chcę się dzielić z potrzebującymi. Sam nie mam dużo, ale staram się ulżyć tym, którzy są bardziej potrzebujący niż ja – mówił pan Kazimierz, kiedy za swoją działalność odbierał w 2015 r. Nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody".

Kazimierz Busma, który dobiega już setki, wciąż jest w doskonałej formie intelektualnej. Kiedy pytamy go o przekazaną ziemię, zbudowany dom i rodziny, które dzięki niemu odnalazły się w Polsce, nie mówi o swoich zasługach, ale o radości. – Pracowaliśmy społecznie, naszym wynagrodzeniem były podziękowania. Bardzo się cieszę, że mogliśmy pomóc tym ludziom. Dlaczego tak łatwo przyszło mi dzielenie się swoim skromnym majątkiem? Ja już chyba taki się urodziłem. Całe życie lubiłem pomagać ludziom, a teraz to inni, obsługa domu opieki, w którym mieszkam, pomagają mnie. Teraz już tylko modlę się, żeby zbawić swoją duszę – mówił nam przed Wielkanocą w krótkiej rozmowie telefonicznej.

Hojność pana Kazimierza jest niezwykła, ale nie jest to historia odosobniona. Kiedy Helena i Wojciech Doroszkowie z niewielkiej wsi Pityny koło Miłakowa wysłuchali radiowego reportażu o Fundacji dla Rodaka, nie wahali się długo. Organizacji pomagającej m.in. Polakom w Kazachstanie, która nie miała wtedy nawet swojej siedziby, postanowili przekazać swój dom. Ze względu na pogarszający się stan zdrowia byli zmuszeni opuścić piętrowy dom ze stromymi schodami, ale zamiast go sprzedać – oddali fundacji.

Polskie Radio pod koniec 2019 r. informowało o mężczyźnie, który pod Aleksandrowem Łódzkim wybudował dom dla małżeństwa z Kazachstanu. W pomoc zaangażowali się też gmina i miejscowy proboszcz, a gdy o bezinteresownym wsparciu repatriantów poinformowało radio, do rozgłośni zgłosił się wrocławianin, który także zdecydował się pomóc. – Cała historia wzruszyła mnie, dlatego postanowiłem przekazać rodzinie stół i krzesła, żeby mogli usiąść razem przy wigilijnym stole – tłumaczył.

Kiedy Kazimierz Busma odbierał Nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody", jedna z repatriantek, którą sprowadził do Polski, mówiła o nim: „Jego rola jest niezwykła, nieoceniona w historii nie tylko naszej rodziny. To bohater dnia dzisiejszego". – Również za sprawą takich osób repatrianci mogą wreszcie znaleźć swoje miejsce na świecie – mówi Irena Popławska. – Nigdy nie czuliśmy się ani Kazachami, ani Rosjanami, wśród których żyliśmy. Po prostu nas nie było. Nie mieliśmy korzeni, co było dla nas bardzo przykre. Teraz czuję, że jesteśmy Polakami, mamy poczucie bezpieczeństwa i spokoju, a to najlepsze, co mogło spotkać moją rodzinę – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Celebryta w klatce

FOT. DAREK GOLIK/FORUM; ADOBE STOCK

Agnieszka Niewińska

Bili się już raperzy, youtuberzy i influencerzy. Teraz na ring wyjdzie były premier Kazimierz Marcinkiewicz

Były polityk stanie w ringu braci Collins", „Były premier będzie walczył w klatce", „Debiut w MMA" – to tylko niektóre nagłówki plotkarskich portali i tabloidów. Chodzi nie o kogo innego, tylko o Kazimierza Marcinkiewicza, który wśród byłych premierów jest najczęstszym gościem brukowców i plotkarskich portali. W ostatnich latach co prawda doniesienia na jego temat dotyczyły głównie romansu, małżeństwa i rozwodu z drugą żoną – o 22 lata młodszą Izabelą Olchowicz-Marcinkiewicz. Tabloidy i paparazzi pilnie śledzili walkę Izabel o alimenty, donosząc m.in. o Marcinkiewiczu, który uciekając przed komornikiem, sforsował żywopłot.

Chociaż kilka dni temu komornik zlicytował jego mieszkanie (dzięki czemu była żona ma otrzymać zaległe alimenty), to w mediach szerszym echem odbiło się jednak to, że wystąpi w nowej roli – zawodnika sztuk walki. Marcinkiewicz został zaproszony do wzięcia udziału w charytatywnej gali Collins Charity Fight Night organizowanej przez Fundację Braci Collins. Impreza zaplanowana jest na 2 czerwca. Grzegorz i Rafał Collinsowie to polscy przedsiębiorcy pochodzący z Legnicy, którzy zasłynęli dzięki programowi emitowanemu w TVN Turbo „Odjazdowe bryki braci Collins". Ich fundacja zapowiedziała, że dochód z gali przeznaczy na rzecz projektów wspierających dzieci oraz rodziny w trudnej sytuacji materialnej.

„DAĆ GĘBĘ NA OBICIE"

Były premier stanie naprzeciw Rafała Collinsa. – Dla takiej sprawy – by zebrać pieniądze dla potrzebujących – mogę dać swoją gębę na obicie. A może obiję sympatyczną twarz Rafała? Myślę, że nie dam mu szans. Podobno nie wiek się liczy, tylko mentalność – mówił Marcinkiewicz w wywiadzie dla serwisu sport.pl.

Wbrew prasowym nagłówkom były premier nie zdecydował się na walkę w ramach MMA, czyli mieszanych sztuk walki. To dyscyplina, w której zawodnicy mogą wykorzystywać wiele technik. Występują w ringu otoczonym siatką i zwanym potocznie „klatką". Choć na gali braci Collins nie zabraknie gwiazd MMA (udział w wydarzeniu weźmie m.in. Joanna Jędrzejczyk – wielokrotna mistrzyni UFC, czyli amerykańskiej organizacji mieszanych sztuk walki, czy Marcin Wrzosek, były mistrz KSW – polskiej federacji MMA), to Marcinkiewicz poszedł w klasykę. Będzie boksował. – Boks jest dla mnie sportem szlachetnym, olimpijskim. Zawiera w sobie tę zdrową część rywalizacji – tłumaczył w wywiadzie dla sport.pl.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Chociaż na ringu bokserskim, a nie MMA Marcinkiewicz dołączył do rzeszy celebrytów, którzy się biją. W galach MMA występują postacie z telewizyjnych programów, youtuberzy, influencerzy, sportowcy reprezentujący inne dyscypliny. W MMA mogliśmy już oglądać rapera Popka, aktora Tomasza Oświecińskiego, medalistę olimpijskiego w podnoszeniu ciężarów Szymona Kołeckiego, znaną z YouTube Monikę Esmeraldę Godlewską czy patoinfluencerkę Martę Linkiewicz. Walki celebrytów określane mianem freak fightów przyciągają wielotysięczną widownię – zarówno wokół ringu, jak i przed ekranami. Tylko konferencję prasową przed walką wspomnianych już Moniki Esmeraldy Godlewskiej i Marty Linkiewicz obejrzało na żywo na YouTube 200 tys. osób (dane APY News). Wśród widzów przeważają ludzie młodzi.

LICZĄ SIĘ ZASIĘGI

Michał Cichy, dziennikarz poświęconego MMA portalu mma.pl, zwraca uwagę, że w Polsce mieszanym sztukom walki popularności przysporzyły właśnie walki celebrytów. – Wzrost zainteresowania tą dyscypliną zaczął się w 2009 r., kiedy doszło do walki między Mariuszem Pudzianowskim a Marcinem Najmanem. To zapoczątkowało modę na to, żeby bili się znani ludzie, ale nie na taką skalę jak obecnie. Walki z udziałem celebrytów organizuje federacja Fame MMA, ale w Polsce powstają już cztery kolejne federacje, które będą do walk angażować znane osoby – wskazuje Cichy. – W takich występach mniej ważne jest to, czy celebryta jest do niej przygotowany, czy ma jakiekolwiek doświadczenie w sztukach walki. Niektórzy do klatki wchodzą bez żadnego przygotowania, inni po krótkich treningach. Popularny youtuber Sylwester Wardęga stanął niedawno do walki po zaledwie dwóch miesiącach treningów. Przegrał, ale to, co ma znaczenie w przypadku takich gal, to popularność, zasięgi w Internecie. Im są większe, tym większa szansa na dochody z pay-per-view, czyli wykupienia przez widzów dostępu do transmisji z walki. Gaże celebrytów stających do takich walk są objęte tajemnicą, ale mówi się o kwotach od kilkuset tysięcy nawet do miliona złotych.

Podczas charytatywnej gali braci Collins w walce będzie można zobaczyć także inne znane postacie niezwiązane ze sportami walki. Wystąpią m.in. Mateusz Janusz, współtwórca kanału Fit Lovers (1,72 mln subskrypcji na YouTube), raper Liber, artysta kabaretowy Michał Paszczyk z grupy Paranienormalni czy piłkarz Piotr Świerczewski. – Czy trudno było namówić znanych ludzi do udziału w wydarzeniu? I tak, i nie. Wyjście na ring dla osób, które na co dzień pracują np. w branży artystycznej, wymaga wiele odwagi, ale też dystansu do siebie. W przypadku naszej charytatywnej gali przekonującym argumentem do wzięcia udziału w inicjatywie było to, że zysk z wydarzenia zostanie przekazany na pomoc innym. Nie chodzi o wynik, bo nie będzie przegranych. Wszyscy będą wygranymi – mówi Mateusz Dębowski z Fundacji Braci Collins. Zwraca uwagę, że choć w mediach rozeszła się informacja, że Collins Charity Fight Night będzie imprezą MMA, to organizatorzy skupiają się na boksie. – Przewidujemy walki MMA, z kolei Piotr Świerczewski i Grzegorz Collins wystąpią w formule kick-boxingu, ale przede wszystkim będzie to wydarzenie bokserskie, nawiązujące klimatem do lat 30. Boks to sport olimpijski, z dużymi tradycjami, i w porównaniu z MMA bardziej elegancki – wyjaśnia.

Gaże celebrytów stających do walk są objęte tajemnicą, ale mówi się o kwotach od kilkuset tysięcy nawet do miliona złotych

Rośnie nie tylko zainteresowanie walkami MMA z udziałem celebrytów, lecz także sama dyscyplina zyskuje na popularności. „The Guardian" obliczył, że to sport z największymi wzrostami zainteresowania na świecie. Według tego brytyjskiego dziennika w Europie więcej osób ogląda walki MMA niż wyścigi Formuły 1. Wzrostową tendencję widać także w Polsce.

– Od 2009 r. MMA w Polsce się stopniowo rozwija – i to nie tylko w segmencie walk amatorskich, lecz także zawodowych, które organizuje federacja KSW. Gdyby porównać mieszane sztuki walki z boksem, to można powiedzieć, że MMA jest dziś lata świetlne przed boksem, jeśli chodzi o popularność. Wynika to m.in. z tego, że federacje bokserskie nie współpracują ze sobą, mistrzowie różnych federacji nie chcą ze sobą walczyć, często dochodzi do kontrowersyjnych werdyktów sędziowskich, a to zniechęca widzów. MMA dla wielu kibiców jest ciekawsze w porównaniu z boksem czy z takimi dyscyplinami jak judo czy karate. To dyscyplina znacznie bardziej widowiskowa, zawodnicy walczą zarówno w stójce, jak i w parterze. Jest też dużo bardziej krwawa, choć wbrew pozorom bezpieczniejsza dla zawodników niż boks, w którym reguły pozwalają na przyjmowanie wielu ciosów w głowę. Sądzę, że ze względu na atrakcyjność dla widzów jest jedynie kwestią czasu, by MMA stało się dyscypliną olimpijską. Już zabiega o to Międzynarodowa Federacja Mieszanych Sztuk Walki (IMMAF) – tłumaczy Michał Cichy z portalu mma.pl. I dodaje, że największą popularność MMA cieszy się w takich krajach jak USA, Brazylia, Rosja, Wielka Brytania czy Japonia, ale w Europie kontynentalnej dyscyplina najdynamiczniej rozwija się nad Wisłą. – Zainteresowanie MMA rośnie, ale wciąż ustępuje popularnością piłce nożnej, skokom narciarskim i kilku innym dyscyplinom. Pokazał to ostatni plebiscyt „Przeglądu Sportowego", w którym Jan Błachowicz, zawodnik MMA, mistrz świata w wadze półciężkiej, zajął dopiero siódme miejsce. Wyprzedził go nawet kierowca rajdowy Kajetan Kajetanowicz, który w 2020 r. nie miał specjalnych osiągnięć – podkreśla Michał Cichy.

TRENAŻER I JOGA

Mateusz Dębowski ma nadzieję, że pandemia nie zagrozi gali Collins Charity Fight Night. – Przygotowaliśmy wydarzenie tak, by spełnić wszystkie wymogi sanitarne i zapewnić uczestnikom bezpieczeństwo. Działamy jednak w poczuciu odpowiedzialności i bierzemy pod uwagę różne scenariusze – zapewnia. Tym, którzy wyjdą na ring, na przygotowania do walki pozostały niespełna dwa miesiące. – Jeśli chcą skorzystać z naszego wsparcia przy przygotowaniach, to proponujemy pomoc profesjonalnych trenerów, dostęp do sal treningowych – mówi Mateusz Dębowski.

Kazimierz Marcinkiewicz już zdradził, jak wyglądają jego treningi. – Staram się mniej więcej dwa razy w tygodniu jeździć na trenażerze. Biegam – to są 40–60-minutowe odcinki. Trzy razy w tygodniu chodzę też na jogę. To są moje dzisiejsze przygotowania. Gdy tylko zostaną otwarte siłownie i sale gimnastyczne, pójdę zobaczyć, jak wygląda ring, i poruszać się na nim – opowiedział sport.pl były premier. Czy z ringiem się zaprzyjaźni i przekona się do startów w celebryckich galach MMA? Byłaby to jakaś perspektywa na rozwiązanie alimentacyjnych kłopotów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Piotr Gociek

Dokumentalny serial HBO „Q: Nadchodzi burza" pokazuje fenomen najbardziej wpływowej teorii spiskowej naszych czasów, ale nie przybliża nas do kluczowych odpowiedzi

Po burzy?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Trzy lata pracy, setki wywiadów, temat, który z gorącego stał się wręcz parzący po szturmie na Kapitol. A jednak zamiast podziwu nad dziennikarską robotą przeważa w mych myślach rozczarowanie. Jest też trochę obawy. Bo serial dokumentalny „Q: Nadchodzi burza" mimo całego wysiłku włożonego w produkcję szuka odpowiedzi na niewłaściwe pytania.

Dla tych, którzy o tym fenomenie nie słyszeli: Q to tajemnicza postać (być może grupa ludzi kryjąca się za tym pseudonimem), która od października roku 2017 umieszcza w Internecie informacje płynące rzekomo z najtajniejszych kręgów amerykańskiej polityki i armii. Sam Q ma mieć dostęp do tych sekretów, gdyż w tych kręgach się obraca i ma odpowiedni poziom dostępu do informacji „Q clearance"). Informacje zaś są przerażające: istnieje wielka międzynarodówka przestępcza skupiająca pedofilów, satanistów, handlarzy narkotykami, a w jej szeregach mamy polityków, celebrytów, bankierów i oczywiście przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, którzy to wszystko kryją.

Wśród oskarżanych są byli prezydenci, m.in. Bill Clinton czy Barack Obama, jest Hillary Clinton, są także aktorzy i celebryci. Wszyscy oni mają uprawiać bezpiecznie swój proceder pod osłoną skorumpowanych służb specjalnych. Na szczęście są też na świecie patrioci, którzy szykują kontrofensywę, nadzieja w Donaldzie Trumpie i jego ekipie oraz w specjalnej tajnej grupie działającej wewnątrz amerykańskiej armii. Patrioci już walczą z międzynarodówką zwyrodnialców, a gdy nadejdzie odpowiednia chwila, zaatakują. Ponad 50 tys. zapieczętowanych aktów oskarżenia czeka na chwilę, kiedy wojsko zabierze się do wielkiej operacji (nie po to, by wprowadzić dyktaturę, lecz by „przywrócić porządek"). To będzie właśnie ta burza, na którą czekają wyznawcy ruchu QAnon. Burza, którą miał w jednym z wystąpień zapowiedzieć sam Trump. Oczywiście nie wprost.

WYZNAWCY TAJEMNICZEGO Q

Cullen Hoback, reżyser serii dokumentalnej wyprodukowanej przez HBO, opowiada w pierwszym epizodzie, że postanowił zająć się fenomenem QAnon w chwili, gdy jego zwolennicy zostali zbanowani przez popularny serwis internetowy Reddit, czyli w roku 2018. Od tej chwili przemierzał świat, przyglądając się temu, kim są wyznawcy tajemniczego Q, zastanawiając się nad granicą wolności słowa w Internecie, a także stawiając sobie ambitny cel: ustalić i ujawnić, kim jest Q.

Świetne są w tym serialu obszerne fragmenty, w których Hoback oddaje głos zwolennikom ruchu QAnon, którzy z ogniem w oczach przekonują, dlaczego Q ma rację, i opowiadają, że dzięki jego komunikatom przejrzeli na oczy. Nie są to tylko zwolennicy prawicy – choć ruch QAnon nagminnie określany jest jako „skrajnie prawicowa konspiracja". Widzimy m.in. sympatyczne małżeństwo, które od zawsze głosowało na demokratów (podobnie jak cała okolica, w której mieszkają), a kandydaturę Baracka Obamy przyjęło z zaciekawieniem i otwartością (tak, głosowali także na Obamę, choć należą do pogardzanej grupy „white trash"). Otwarcie z Hobackiem rozmawiali także ludzie, od których cała historia się zaczęła, to znaczy twórcy i właściciele strony internetowej 8chan, którą z nieznanych powodów Q wybrał jako jedyne miejsce w sieci, w którym będzie publikował swoje sensacje. Dodam, że zdaniem twórców serialu to właśnie jeden z nich jest prawdziwym Q, a dowodem w sprawie ma być jedna z wypowiedzi wyemitowanych w ostatnim odcinku.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Jak jest naprawdę – tego nie wiem. Oczywiście rację ma Hoback, gdy zauważa, że to, co zaczęło się jako niewinna gra, kończy się tragedią. Ekipa serialu towarzyszyła demonstrantom wdzierającym się na Kapitol, a nad zadymiarzami powiewały flagi z symbolem „QAnon". Polała się krew, doszło do przemocy i ataku na symbol amerykańskiej demokracji. Oczywiście byłoby dobrze wiedzieć, kto wymyślił postać Q i jest autorem wieloznacznych, umożliwiających rozmaite interpretacje komunikatów. A jednak będę utrzymywał, że Hoback szuka odpowiedzi na niewłaściwe pytania. Bo oprócz tego: „Kto?", powinno nas interesować: „W jakim celu?".

WYCZYNY INTERNETOWYCH ŚWIRÓW

Można potraktować całą sprawę jako gigantyczny żart. W takim przypadku celu nie było. To znaczy żadnego ukrytego celu poza rozgłosem twórcy/twórców całej mistyfikacji. Żart przestaje być śmieszny w chwili, gdy sprawy wymykają się spod kontroli. To ważne pytanie numer dwa: Kto odpowiada za to, że wymknęły się spod kontroli? Narzuca się odpowiedź oczywista: rzesze naiwnych (miliony fanów QAnon), które w Internecie dopisywały do komunikatów Q rozmaite ciągi dalsze i interpretacje. Ale czy tylko oni? Nie od dziś wiemy, jak łatwo jest manipulować nastrojami w Internecie. Może ktoś wykorzystał okazję i spróbował odpowiednio całą burzę ukierunkować. Kto?

Obiegowa opinia – to znaczy najczęściej powtarzana w mediach lewicy – to ta, że wszystko jest dziełem Donalda Trumpa lub jego bliskich współpracowników. Albo przynajmniej jakichś zaprzysięgłych wyznawców Trumpa w najgorszym przypadku. W jakim celu? Żeby scementować zwolenników Trumpa, dać im powód, by z wyborców stali się wyznawcami, wierzącymi, że on jeden może oczyścić waszyngtońską stajnię Augiasza. Pojawiają się też sugestie, że to dla Trumpa „alternatywny kanał komunikowania się ze zwolennikami". Ale dlaczego akurat od jesieni 2017 r.? Czyżby już wtedy Trump przewidywał, że trzy lata później Facebook i Twitter zawieszą jego konta?

A mnie przypomina się stara metoda carskiej ochrany, która uważała, że świetną metodą rozbijania spisków opozycyjnych jest tworzenie własnych spisków, dziwnym trafem radykalniejszych od już istniejących. Nie inaczej postępowała sowiecka bezpieka. Może więc ruch QAnon od pewnego momentu jest wykorzystywany, by kompromitować zwolenników Trumpa? Zauważmy, że nawet jeśli nie, to i tak atak na Trumpa i jego wyborców metodą „bo to wszystko wariaci od QAnon" trwa. Wyczyny internetowych świrów sprawiają, że to konserwatyści i republikanie muszą się nieustannie tłumaczyć i odcinać. A liberałowie dostali pyszną wymówkę: teraz na każde pytanie o zdrowie Bidena, polityczną agendę Kamali Harris albo dawne interesy Clintonów mogą, omijając meritum, odpowiadać kpiąco: „A co, może jeszcze wierzysz, że składają ofiary z ludzi?".

Nie twierdzę, że to koniecznie Rosja/Chiny/Korea Północna/demokraci (wpiszcie tu, co chcecie) stoją za powstaniem ruchu QAnon. Zauważam jedynie, że w grze może być więcej interesów, niż się na pozór wydaje. A historia uczy, że niejedna niszowa inicjatywa ekstremistów była przejmowana i wykorzystywana przez poważniejszych graczy. Myślę sobie też, że gdyby za wszystkim stał Trump, to znając jego specyficzne podejście do własnych sojuszników i podwładnych, już dawno temu jakiś obrażony czy wyrzucony osobnik podzieliłby się wiedzą na temat spisku. Ciekawi mnie także, czy z powodu wskazywania przez amerykańskie służby zagrożenia ekstremistycznego czy wręcz terrorystycznego w związku z działalnością QAnon jacyś dzielni rządowi kodołamacze wjechali w serwery 8chan, by sprawdzić, kto tak naprawdę za tym stoi. I co im z tego wyszło? No bo przecież skoro zagrożenie jest realne, to i działania w tej sprawie powinny być realne, nieprawdaż?

Baz wątpienia cała histeria wokół ruchu QAnon (a także histeria – nie boję się użyć tego słowa – wielu jego uczestników) to dowód na to, jak wielu jest dziś ludzi kompletnie zagubionych w świecie poszatkowanych informacji, baniek mediów społecznościowych i upadku prawdy. W świecie, w którym liczą się już tylko manipulacje, narracje i emocje. Inna sprawa, że wszyscy szydzący z qanonowców powinni sobie zadać pytanie, czy to marzenie o zbawcach, którzy wymierzą wreszcie kary grzesznikom ze znienawidzonego establishmentu, nie jest przypadkiem dowodem na to, że establishment ma kłopot z samooczyszczeniem. Nie, nie mam na myśli satanizmu i kanibalizmu. Ale zapytam: Ileż lat czekał na aresztowanie Jeffrey Epstein?

A w kwestii realnych zagrożeń – wydaje się, że niestety jedyną konsekwencją całej sprawy QAnon będzie dalsze dokręcanie śruby w Internecie, cenzura pod pozorem walki z treściami ekstremistycznymi. W materiałach reklamujących serial HBO czytamy, że jego twórca stawia „pytania o konsekwencje nieskrępowanej wolności słowa, która przenika z najciemniejszych zakątków Internetu". Wolność słowa warta jest coś tylko wtedy, kiedy jest nieskrępowana. A jeśli ktoś jej nadużywa, prowadząc do zbrodniczych konsekwencji, to jest to sprawa dla sądów, a nie dla władz Twittera, Facebooka, dziennikarzy z Waszyngtonu i scenarzystów dokumentów HBO.

REŻ. CULLEN HOBACK
„Q: NADCHODZI BURZA" („Q: INTO THE STORM")
USA 2021, HBO

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Tomasz Zbigniew Zapert

Odszedł Krzysztof Krawczyk. Odpłynął do wieczności parostatkiem

FOT. MICHAŁ DEMBIŃSKI/FORUM

Trubadur Pana Boga

W roku 1962 trzech łódzkich nastolatków o muzycznych inklinacjach pielęgnowanych pod wpływem systematycznie słuchanej Listy Przebojów Radia Luxembourg postanowiło samemu wykonywać ukochane dźwięki. Grający na gitarze rytmicznej Krzysztof Krawczyk, basista Sławomir Kowalewski oraz perkusista Marian Lichtman zaczynali od naśladownictwa. W ramach efemerycznych formacji Komety, a następnie Twist Chickens wykonywali szlagiery z repertuaru ówczesnych idoli: Bila Haleya, Neila Sedaki, Roya Orbisona, Tommy'ego Steele'a, Paula Anki, Cliffa Richarda, Elvisa Presleya... Po kilku przemeblowaniach personalnych – przez pewien czas do roli wokalisty przymierzano początkującego basa operowego, Kazimierza Kowalskiego! – doszlusował do tercetu wykwalifikowany fagocista, ale przede wszystkim „klawiszowiec" i kompozytor Ryszard Poznakowski, znany już z prestiżowych osiągnięć twórczych w Czerwono-Czarnych. Objął opiekę artystyczną nad formacją pod nazwą Trubadurzy. Od strony organizacyjnej zajął się nią przedsiębiorczy impresario Alfred Freudenheim, w przeszłości menedżer żużlowy, a w przyszłości epizodysta filmowy („Przepraszam, czy tu biją?", „Wodzirej", „Barwy ochronne", „Był jazz" „Piłkarski poker"). To za jago sprawą Trubadurzy wystąpili – pod szyldem Bliscy Płaczu – w kinowej adaptacji opowiadania Janusza Głowackiego „Polowanie na muchy". Przy rytmicznych tonach ich piosenki „Mamo, co ja robię" tańczył na ekranie m.in. Zygmunt Malanowicz, wybitny aktor (zmarł w wieku 83 lat, dzień przed Krzysztofem Krawczykiem).

ZNAMY SIĘ TYLKO Z WIDZENIA

To Freudenheim wpadł na pomysł strojów podopiecznych. Zaprojektował je, inspirując się powieściowymi muszkieterami Aleksandra Dumasa, Szymon Kobyliński. Trubadurzy prezentowali się na estradzie w barwnych żakietach, ornamentowanych szarfami i epoletami, z wiszącymi niekiedy u pasa szpadami! Wzbudzało to niezamierzony humor, ale także intrygowało publiczność. Gdy o Trubadurach zrobiło się w Polsce głośno, przyszły… powołania do wojska. „Zespół wcielono do 1. Warszawskiego Pułku Czołgów im. Bohaterów Westerplatte […]. Ich repertuar wzbogaciły utwory na czasie »Gdy czołgista czyści lufę« oraz »Kują młoty gąsienice«" – zawiadamiała prasa. Niebawem, być może jeszcze pod wpływem koszarowych doświadczeń, wyśpiewali na Festiwalu

eprasa.pl 785e8d0f3b

Polskiej Piosenki w Opolu nagrodę za piosenkę „Przyjedź, mamo, na przysięgę". No a zaraz potem nadeszła przebojowa seria: „Krajobrazy", „Byłaś tu", „Znamy się tylko z widzenia", „Powiedz, kim jesteś". Ten ostatni utwór przysporzył grupie kłopotów. Po Marcu '68 niektórym decydentom tekst Janusza Kondratowicza wydał się „groźny, butny i stawiający niewłaściwe pytania".

Wyjątkowe walory głosowe Krawczyka ujawniły się bardzo szybko. Jego baryton zdominował zespół, łączący „mocne uderzenie" – taka etykieta zastępcza maskowała w latach 60. młodzieżowy rynek muzyczny w Polsce, ponieważ termin „rock" wywoływał skojarzenia imperialistyczne – z folklorem. Kolejne hity Trubadurów – „Uśmiechajcie się, dziewczęta", „Nie przynoś mi kwiatów, dziewczyno", „Ej sobótka, sobótka", „Kasia" – gwarantowały pełne sale koncertowe, lecz nie poszerzały brzmienia. Fiaskiem zakończył się projekt nagrania longplaya w Londynie, awizowany przez brytyjskiego producenta zauroczonego słowiańskością grupy. Łabędzim śpiewem stał się dlań występ na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu (rok 1971), gdzie wyśpiewali Złoty Pierścień za marsz „Nie ma taty, nie ma mamy", jedną z nielicznych laureatek tej imprezy nieobciążonych ciężarem ideologicznym.

Krawczyk wkrótce pożegnał kolegów, tworząc z Haliną Żytkowiak – wokalistką towarzyszącą okazjonalnie Trubadurom – duet nie tylko muzyczny. Narodziny syna nie wpłynęły na trwałość tego związku, a Krawczyk zdecydował się na karierę solową. Po latach tak wspominał młodzieńczy czas: „Byliśmy ze sobą około dziesięciu lat razem i zaczęliśmy coraz częściej miewać jakieś nieporozumienia między sobą, mimo że naprawdę kochaliśmy się wszyscy jak bracia rodzeni. To coś niebywałego, że do dzisiaj utrzymuję kontakt ze wszystkimi".

Inaugurując nowy etap twórczości, miał szczęście natrafić na rzutkiego menedżera – Andrzeja Kosmalę. Poznaniak wyznaczył Krawczykowi artystyczny azymut, organizował nagrania i recitale, podsuwał muzyczne nowinki. Jego zasługi w kreowaniu kolejnych wcieleń scenicznych piosenkarza są bezsporne i nie do przecenienia.

PAMIĘTAM CIEBIE Z TAMTYCH LAT

Druga połowa lat 70. zapisała się w dziejach naszej muzyki rozrywkowej absolutnym prymatem Krawczyka. Trzeba jednak przypomnieć, że traktowano go niekiedy lekceważąco, zarzucając, że hołduje sztuce niskich lotów, schlebia złym gustom i imituje Toma Jonesa (sic!). A tymczasem kolejne szlagiery – „Parostatek", „Rysunek na szkle", „Wróć do mnie", „Pamiętam ciebie z tamtych lat", „To, co dał nam świat" – nucono od Bałtyku do Tatr. Słuchane po ponad czterech dekadach od powstania niewątpliwie zyskały na szlachetności.

Inna wizytówka śpiewaka – „Jak minął dzień" – w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach nie zagwarantowała mu zwycięstwa na Festiwalu Interwizji w Sopocie w 1978 r., ustępując pola songowi „Królowie mogą wszystko" Ałły Pugaczowej. Spekulowano o politycznym podtekście werdyktu. Czy brak wygranej w tej imprezie uniemożliwił Krawczykowi plan podboju zachodnioniemieckiego rynku muzycznego?

Z końcem dekady Edwarda Gierka, rozczarowany, wyjechał do USA. 13 grudnia 1981 r. przedłużył mu pobyt za Atlantykiem do ponad pięciu lat. Pochłonęło go country. Próby zaistnienia w gronie muzyków amerykańskich spełzły na niczym. Frenetycznie oklaskiwała go za to widownia polonijna, widząca w nim swojski odpowiednik Johnny'ego Casha. Koncertowe gaże nie zapewniały utrzymania. Dorabiał więc, gdzie się dało. To wtedy spotkał Ewę, kobietę swego życia.

Do ojczyzny wrócił dopiero wówczas, kiedy władza ludowa zdjęła mundury. Veni, vidi, vici – mógłby powtórzyć za Juliuszem Cezarem, gdyby… znów nie przegrał walki o triumf na festiwalu opolskim (w 1986 r.) – z Edytą Geppert. Punktacja przyznawana przez widzów telefonujących do poszczególnych ośrodków TVP zaskoczyła nawet prowadzącego koncert konferansjera Andrzeja Jaroszewskiego. Dość przypomnieć, że do ostatniej prostej „Z tobą pójdę jak na bal" Krawczyka prowadziło przed „Jaka róża, taki cierń".

OJCU ŚWIĘTEMU ŚPIEWAJMY

Come back okazał się jednakże i tak wielce udany. Trasy koncertowe były długie i wyczerpujące. Zapracowany muzyk przysnął za kierownicą prowadzonego nocą auta, uderzył w drzewo. Leczenie poważnych obrażeń, zwłaszcza twarzowo-szczękowych, zajęło miesiące. Powątpiewano nawet, czy będzie mógł jeszcze śpiewać.

Krawczyk wykazał olbrzymi hart ducha i determinację. Estrady III RP stanęły dla niego otworem, zyskał rzeszę nowych fanów. Z tego okresu w uszach rezonują mi cztery hity wykonywane na dwa głosy. Nostalgiczny „My – recydywiści" – w kongenialnym tandemie z Bohdanem Smoleniem, folkowo-bałkański „Mój przyjacielu" z Goranem Bregoviciem, „Trudno tak" z Edytą Bartosiewicz oraz „Przytul mnie, życie" z Andrzejem Piasecznym i gitarowymi riffami Jana Borysewicza w tle.

Jednak to nie muzyka, lecz religia była ostatnio dla Krawczyka najistotniejsza. Ochłodziło to relacje wokalisty z mediami. Mainstreamowi dziennikarze utyskiwali, że piosenkarz afiszuje się Panem Bogiem i zanadto eksponuje wiarę. Dlatego preferował rozmowy bezpośrednie na antenie, gdyż wówczas nie można było ich retuszować. Od kilku lat codziennie odmawiał Różaniec z telewizją Trwam. W Grotnikach pod Łodzią, gdzie wybudował dom, postawił również kaplicę, w której codziennie szukał bliskości Stwórcy.

Za swą najważniejszą płytę uznawał „Ojcu Świętemu śpiewajmy". Zawiera ona pieśni kościelne, tradycyjne, poetyckie i patriotyczne. Oraz niepowtarzalne nagranie „Barki", śpiewanej przez Jana Pawła II podczas pierwszej pielgrzymki papieskiej do Polsci, uzupełnione dyskretną wokalizą Krawczyka.

„Dzięki wierze udało mi się wyjść w życiu z wielu opresji. Z lekomanii, z różnych słabości. Stałem się dzięki niej silniejszy. […] Często mi się wydaje, że jeszcze na przyjaźń z Chrystusem nie zasłużyłem. Mam nadzieję, że kiedyś, gdy stanę z Nim twarzą w twarz, to przede wszystkim obejmę go serdecznie, zaleję się łzami, będą to łzy wzruszenia, i przeproszę za swoje niedowiarstwo" – powiedział przed rokiem w wywiadzie.

W Wielkim Tygodniu informował zaś: „Muszę podjąć jeszcze jedną walkę w moim życiu. Nawet szczepienie Pfizerem nie pomogło" […]. „Wracam do zdrowia, nie martwcie się o mnie. Z dnia na dzień czuję się coraz lepiej".

„To, co dał nam świat, niespodzianie zabrał los" – refren dawnego przeboju Krawczyka w lany poniedziałek nabrał nieoczekiwanej aktualności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z książki Dariusza Michalskiego „Trzysta tysięcy gitar nam gra".

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAX

Ani biografia, ani love story

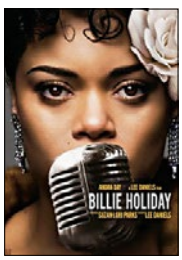

★★☆☆☆☆

REŻ. LEE DANIELS
„BILLIE HOLIDAY" („THE UNITED STATES VS. BILLIE HOLIDAY")
USA 2021

wyst. Andra Day, Trevante Rhodes, Garrett Hedlund

Czy można dostać Oscara za rolę w złym filmie? Pewnie tak, jest nominacja, a wcześniej Złoty Glob już do Andry Day za występ w filmie „Billie Holiday" powędrował. Przekonamy się. Nie zmienia to faktu, że najnowsze dzieło Lesa Danielsa („Hej, skarbie", „Pokusa", „Kamerdyner") zawodzi. Ani to biografia, ani love story, raczej film „na ważny temat", tyle że materia rwie się twórcy w rękach. Reżyser inspirował się jednym z rozdziałów znanej także w Polsce książki Johanna Hariego „Ścigając krzyk. Dzieje wojny z narkotykami", w którym opisano, jak agenci federalni tropili Billie Holiday, próbując przymknąć ją za posiadanie heroiny.

Owe łowy na słynną wokalistkę są osią fabularną scenariusza. Hoover bluesowej legendy nie cierpi, bo Billie śpiewa niewygodne dla rządu piosenki, ale za śpiewanie do więzienia w USA nie zamykają. Za to za narkotyki owszem, więc trzeba artystce prochy podrzucić. Uwaga! Jeden z agentów ma wyrzuty sumienia i w dodatku zadurzy się w piosenkarce. Niby prosta opowieść o politycznej zemście i podłej prowokacji, ale moment, moment – Holiday naprawdę ćpała na potęgę, a i za kołnierz nie wylewała. Teza, że wszystko w jej życiu się sypało w wyniku spisku złowrogiego rządu USA, nie jest prawdziwa. Zresztą opowiadał o tym m.in. świetny film z 1972 r. „Lady Sings the Blues", w którym w Billie Holiday wcieliła się Diana Ross.

Pierwsze skojarzenie: widzieliśmy niedawno inną podobnie rozsypaną historię, to znaczy film „Capone" Josha Tranka. Obie produkcje łączą bardzo znani bohaterowie, wielka ochota na nietypowe podejście do głównej postaci i ostateczne fiasko, bo prócz oryginalnego pomysłu trzeba jeszcze całość ciekawie opowiedzieć. Billie Holiday była za życia ofiarą przemocy, gwałtu, rasizmu i nałogów. Sześć dekad po śmierci okazuje się, że padła też ofiarą reżysera, który zredukował jej życie do politpoprawnej agitki z tezą: „Biały rząd zabił czarną gwiazdę". Chciał Daniels pokazać Billie Holiday jako zapomnianą bojowniczkę o obywatelskie wolności – jego prawo, jego pomysł. Gdyby zrobił to w sposób pasjonujący, tobym bił brawo. Kłopot w tym, że okrutnie mu się to wszystko posypało i wyszły nudy na pudy. Zostaje nam ciekawa kreacja Andry Day i trochę dobrej muzyki. ©℗

NOWE SERIALE: „WĄŻ"

Koprodukcja BBC i Netflixa, w której seryjnego zabójcę Charlesa Sobhraja gra Tahar Rahim („Mauretańczyk"), a jego piękną partnerkę Jenna Coleman („Doktor Who", „Wiktoria"). Uwagę zwraca też Billy Howle jako holenderski dyplomata Knippenberg tropiący Sobhraja. Historia ponura i nietypowa: sprawca grasował głównie w Azji, był złodziejem, oszustem, przywódcą kryminalnej rodziny, a zarazem żądnym sławy czarusiem zmieniającym tożsamości jak rękawiczki. Zabijał turystów, zabijał wspólników – ofiar było przynajmniej kilkanaście. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Tony Shankland „Wąż" („The Serpent"), Wielka Brytania 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Patty Jenkins* ***„Wonder Woman 1984"****, Stany Zjednoczone 2020* HBO GO
- *Philippe Falardeau* ***„Mój rok z Salingerem" („My Salinger Year")****, Kanada 2020* CINEMAX
- *reż. Darius Marder* ***„Sound Of Metal"****, Stany Zjednoczone 2019* CANAL+

eprasa.pl 785e8d0f3b

Jak sprać Moskali

Blu-ray Disc

„Niech patrzą oczy i słuchają serca". Dobra wiadomość: pierwsza polska superprodukcja doczekała się cyfrowej rekonstrukcji. Zła wiadomość: film bardzo się zestarzał. Akcja zaczyna się od wymarszu Pierwszej Kadrowej, a kończy zwycięstwem nad bolszewikami. Dwa lata po przewrocie majowym królowała piłsudczykowska wizja odzyskania niepodległości. Już na wstępie dowiadujemy się więc, że Komendant „geniuszem swoim wydobył z huraganu wojny europejskiej błyskawicę, która cały naród olśniła nadzieją wolności". Trudno pokazać cały naród, więc kamera podąża tropem trzech szeregowców ochotników. Student Jerzy, panicz Kazik i robotnik Filipek, nazywany przez swego szefa „kwadratowym durniem", łączą siły, by prać znienawidzonych Moskali. W kadrze pojawią się też panna dziedziczka, pielęgnująca rannego legionistę, oraz jej ojciec, który sprzeniewierzając się pamięci przodków powstańców, za broń nie chwyta.

Reżyser debiutant, próbując przełamać patetyczno-melodramatyczną konwencję, dał pohasać Filipkowi. W rezultacie ów trefniś rządzi na ekranie, ponieważ inne postacie są papierowe. Na szczęście w tle prawdziwi ułani szarżują na rosyjskie i sowieckie armaty, karabiny maszynowe plują ogniem, aeroplany zrzucają bomby, zaś wyprodukowane we Francji tanki niszczą wszystko, co napotkają na drodze. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. LEONARD BUCZKOWSKI
„SZALEŃCY"
POLSKA 1928

wyst. Jerzy Kobusz, Marian Czauski, Irena Gawęcka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŻYCIE WEWNĘTRZNE

arte

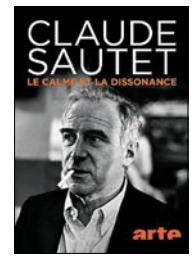

★★★★☆☆

REŻ. AMINE MESTARI
„CLAUDE SAUTET. SPOKÓJ I DYSONANS" („CLAUDE SAUTET, LE CALME ET LA DISSONANCE")
FRANCJA 2020

„Zachować spokój w obliczu dysonansu" – tak brzmiało credo Claude'a Sauteta. Za młodu był komunistą, potem udał się jednak po rozum do głowy i w roku 1970, gdy inni filmowcy przyjmowali pozy proroków rewolucji, zaskoczył jurorów z Cannes „Okruchami życia". Widzowie od razu polubili jego fabuły o życiowych kryzysach, źle ulokowanych lub stłumionych uczuciach, silnych kobietach i słabych mężczyznach. Krytycy potrzebowali trochę więcej czasu, by odkryć, że Sautet z uporem pokazuje Francuzów (a tym samym Francję) w stanie permanentnego zagubienia. Reżyser nie żyje od 20 lat. Zadymione kawiarnie, w których uwielbiali przesiadywać bohaterowie jego filmów, przeszły do historii. Pozostała legenda artysty – szczególarza i nadwrażliwca, zżeranego wątpliwościami i melancholią. Sautet, niedoszły kompozytor, wciąż szukał właściwego tonu. Nie potrafił uwierzyć, że już go znalazł.

DIANA NA ŁOWACH

HBO GO

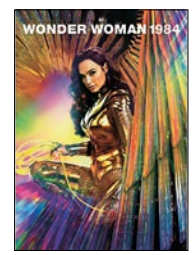

★☆☆☆☆☆

REŻ. JENNA JENKINS
„WONDER WOMAN 1984"
USA 2020

wyst. Gal Gadot, Chris Pine, Kristen Wiig

Nie jest łatwo wyrzucić przez okno 200 mln dol., ale ekipie Patty Jenkins ta sztuka się udała. „Wonder Woman 1984" poraża tandetnymi efektami specjalnymi, drętwą gadką oraz pomysłami rodem z bajek dla pięciolatków. Nie spełnia też obietnicy zawartej w tytule: żartować z aerobiku, obciachowej mody i konfliktów politycznych epoki Reagana też trzeba umieć. A już wydawało się, że Diana Prince przełamie klątwę ciążącą na filmach o superbohaterkach. Niestety, scenarzyści każąc jej ratować świat przed pospolitym oszustem i zakompleksioną koleżanką z pracy, nie przewidzieli, że wpadnie w pułapkę sentymentalnego kiczu tudzież mimowolnego komizmu. Z ekranu padają zachęty, by spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Patrzę więc i zastanawiam się, czy po tej wtopie wytwórnia pozwoli pani Jenkins nakręcić trzecią część „Wonder Woman". I co będzie z zapowiadanym filmem o królowej Kleopatrze? ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „OUTRIDERS"

Co najmniej pół gwiazdki dołożyłem, przyznaję, z sympatii do polskiego studia People Can Fly, ale nie zmienia to faktu, że „Outriders" to udany looter-shooter. Mimo wad, takich jak dość ślamazarnie rozkręcająca się, niezbyt odkrywcza fabuła (która to już nasza podróż w kosmos, od której zależą losy ludzkości?), problemy (oby przejściowe) z serwerami czy kulejący matchmaking (w przyjemnym trybie kooperacji). Z drugiej strony mamy satysfakcjonujący system walki, rozbudowane misje poboczne, cztery zróżnicowane klasy postaci i zabawę na kilkadziesiąt godzin każdą z nich.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Warto spróbować, tym bardziej że „Outriders" trafiła do Game Pass. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Strzelanka, TPP*
- ***Platforma:*** *PC, XONE, XSX, PS4, PS5*
- ***Producent, dystrybutor:*** *People Can Fly, Square Enix Ltd.*

eprasa.pl 785e8d0f3b

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bluesy Bogdana Loebla

To spod jego pióra wyszła najpiękniejsza pieśń (bo piosenką nazwać jej niepodobna) w historii polskiej muzyki rockowej: „Modlitwa" z muzyką Tadeusza Nalepy i w jego wykonaniu. W repertuarze Breakoutu – zespołu Nalepy – znalazły się i inne znakomite dzieła tej spółki, m.in.: „Kiedy byłem chłopcem", „Rzeka dzieciństwa", „Pomaluj moje sny", „Przyszła do mnie bieda". Ale pisał i dla SBB, Niebiesko-Czarnych, Dżemu, Nocnej Zmiany Bluesa. Właśnie w poetyce bluesowej czuł się Bogdan Loebl najlepiej.

Niedawno ukazał się jego tom „Pożegnalny blues", z wierszami, piosenkami i opowiadaniami. Loebl był przecież nie tylko wziętym tekściarzem, lecz także autorem 14 powieści, kilkunastu zbiorów małych próz, wielu słuchowisk radiowych. Teraz, w „Pożegnalnym bluesie", a dokładnie w dłuższym opowiadaniu „Styks", znów powraca do tematyki znanej z trylogii „Piekło weszło do raju", „Rzeka dzieciństwa", „Kresy moich kresów", a także z wcześniejszej „Złotej trąbki", pojawiają się tu zresztą wątki znane z tamtych książek, a będące odbiciem dzieciństwa autora spędzonego na ziemiach utraconych, w czasie okupacji i konfliktu polsko-ukraińskiego. Bogdan Loebl urodził się w roku 1932. Opublikowanymi utworami żegna się – jak powiada – z całym swoim pisaniem. „Może znajdzie się ktoś – nieśmiało zauważa – kto zechce skomponować muzykę do znajdujących się tutaj tekstów, i ktoś, kto włączy je do swojego repertuaru. Ktoś, kto tchnie w nie życie".

Oczywiście to życzenie poety dotyczy tylko jego wierszy i piosenek. Niektóre z nich byłyby – sądzę – trudne do interpretacji,

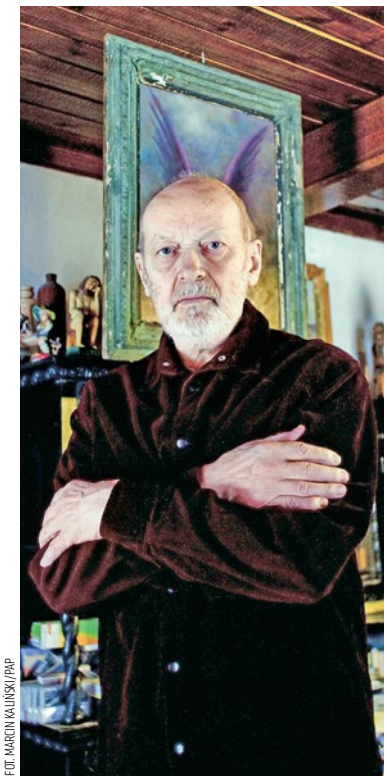

FOT. MARCIN KALIŃSKI/PAP

jak przede wszystkim „Już dopadną zaraz mnie", będące czymś w rodzaju dopełnienia świetnego, przesiąkniętego czarnym humorem utworu „Oni zaraz przyjdą tu", pamiętnego z genialnego gitarowego riffu Nalepy, wytrzymującego porównanie z najsławniejszymi rockowymi wstępami, z „Satisfaction", „Sunshine of Your Love" czy „Whole Lotta Love" włącznie.

Nie byłoby już jednak podobnych problemów z „Bluesową samotnością", „Czy naszą miłością" i „Przychodzą sny". Także niektóre wiersze aż proszą się co najmniej o melorecytację, której zresztą doczekały się ważne w dorobku Loebla „Rozmowy z Mistrzem", do których muzykę skomponował Józef Skrzek. Ósma z tych „Rozmów…" kończy się tak:

bez Twojej we mnie obecności
byłbym pusty jak będące na początku słowo
gdyby nie stało się wszechświatem.

Gotowy, dla wykonawcy w rodzaju Starego Dobrego Małżeństwa, jest song „Drwal", kapitalna historia mężczyzny, który swym toporem wyciął sośninę na dom, zbudował go, wypełnił własnoręcznie wyciosanymi sprzętami, wprowadził do domu pannę ze swojej wsi, która niewinność miała w oczach, ożenił się z nią, chciał mieć dzieci, lecz cóż, pewnego dnia zastał ją z kochankiem, zrobił więc użytek ze swojego narzędzia pracy, a dom spalił: „Kiedy z toporem szedł przez wieś / łzy jednej nie uronił".

Łącznikiem zaś pomiędzy poezją i prozą Bogdana Loebla jest jego wiersz „Wrócić". Wymowny to tytuł utworu, którego twórca wspomina rzekę, nad której brzegiem mieszkał w Jasieniu, z ojcem leśniczym, byłym legionistą Piłsudskiego, oraz matką, córką ukraińskiego popa, czemu w ostatecznym rachunku zawdzięczał życie. I marzy teraz, żeby wrócić: „dojechać pod wysoką górę / zeskoczyć z lory, wykąpać się w Łomnicy / popatrzeć na niesioną przez nią tratwę / wyłuskać kilka orzeszków z szyszki limby / i wrócić / do domu podpalonego / w czterdziestym czwartym przez nienawiść".

Warto wsłuchać się w słowa Bogdana Loebla, pamiętając, że – jak to się zawsze śpiewało – „blues jest wtedy, kiedy człowiekowi jest źle". Ale też ten sam blues daje to, co w życiu najważniejsze – nadzieję. I wiarę. Jak to śpiewał Tadeusz Nalepa?

Wysłuchaj mojej pieśni Panie,
Do Ciebie wznoszę dzisiaj głos.
Ty jesteś wszędzie, wszystkim jesteś Ty,
Lecz kamieniem nie bądź mi. ©℗

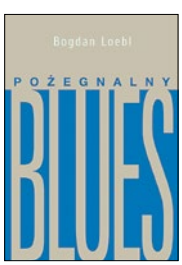

★★★★☆
BOGDAN LOEBL „POŻEGNALNY BLUES"
VOLUMEN, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 785e8d0f3b

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W ciemności

Książka piękna, straszna, okrutna i bezczelna, jak bezczelne potrafią bywać tylko debiuty. Pomyślcie sami: po latach biedowania za pensję nauczyciela przyszły autor bestsellerów (tego wówczas nie wie) składa wreszcie w wydawnictwie pierwszą powieść. I co? Pierwsze kilkadziesiąt stron poświęca przerażającemu, plastycznemu opisowi Kalkuty jako piekła na Ziemi – toż to niemal jedna piąta całości! A cóż to za eksperyment? Przecież mamy do czynienia z literaturą popularną!

Mistrzostwo pisarstwa młodego Dana Simmonsa – bo o niego chodzi – ujawnia się zarówno w tym, że najpierw od tych opisów okropności oderwać się nie możemy, a potem naraz odkrywamy, gdzie kryją się właściwa intryga oraz tajemnica, i widzimy, że sami nie wiemy, kiedy wsiąkliśmy, kiedy nas autor zamknął w precyzyjnie przygotowanej pułapce. Wszystko to działo się dawno temu, gdy ukazało się pierwsze wydanie „Pieśni bogini Kali" (rok 1985, polski przekład dopiero w roku 1994). Simmons jest dziś jednym z najważniejszych pisarzy popularnych, ma w dorobku wiele znakomitych powieści SF i grozy („Hyperion", „Letnia noc", „Trupia otucha"), ostatnio specjalizuje się w książkach z niewielką domieszką elementów nadnaturalnych, które decydują jednak o uroku tych historii („Drood" czy nietłumaczone w Polsce jeszcze „Black Hills"). Woli poezję Keatsa niż kanon science fiction, inspiracji szuka u Dickensa albo w „Opowieściach kanterberyjskich" Chaucera. Harlan Ellison okrzyknął go kiedyś na zjeździe śmietanki amerykańskich fantastów „najbardziej utalentowanym spośród wszystkich tu zebranych" – uczynił to po przeczytaniu jednej tylko książki Simmonsa. Właśnie „Pieśni bogini Kali", której wznowienie (w nowym tłumaczeniu) teraz mam przyjemność polecić.

Tak jak wiele utworów Simmonsa jest to opowieść o rodzinie, o stracie i o rozpaczy. O banalności zła i o tym, w jaki sposób złu należy się przeciwstawiać (tezy autora mocno zirytowały fanów oczekujących rozwiązań typu „ręka, noga, mózg na ścianie"). Z przesłaniem wywiedzionym z Alberta Camusa, a nie z literatury pulp fiction. Dan Simmons napisał później wiele książek. Jedne uczyniły go bogatym, inne sławnym, po jedną („Terror") sięgnęli filmowcy. Ale lepszej od „Pieśni bogini Kali" stworzyć mu się nie udało. ©℗

★★★★★☆
DAN SIMMONS „PIEŚŃ BOGINI KALI" VESPER 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Marzec 1968 r. oczami obserwatora i uczestnika. Urbanowski odrzuca mity lewicy zawłaszczającej tamte wydarzenia. Wskazuje na ich niepodległościowy charakter i formacyjną rolę w kształtowaniu ludzi późniejszej prawicy.

BOHDAN URBANKOWSKI „PRZEDWIOŚNIE '68" ZYSK I S-KA

Od greckich kolonii do wieku XXI – wznowienie klasycznej pracy o historii regionu, który za sprawą zaboru Krymu przez Rosję i powrotu rywalizacji rosyjsko-tureckiej znów staje się niespokojny. Nowe przedmowa i posłowie.

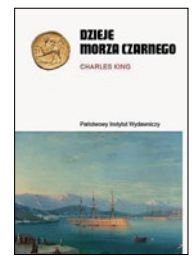

CHARLES KING „DZIEJE MORZA CZARNEGO" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Opowieść o historii, sukcesach i kulisach e-sportu w Polsce. Treningów w tej branży pandemia nie przerwała. Setki tysięcy widzów, obroty idące w miliony dolarów, osiągnięcia polskich graczy i niezłe perspektywy na przyszłość.

KAROL KOPAŃKO „POLSKI E-SPORT" ZNAK HORYZONT

To samo, ale inaczej: znów obdarzony niezwykłymi mocami nastolatek próbuje mierzyć się ze światem i swym darem. Tyle że tym razem chodzi o umiejętność rozmowy z umarłymi, którzy w dodatku nie mogą kłamać. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

STEPHEN KING „PÓŹNIEJ" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „KOSZMARY"

Cztery czarno-białe opowieści inspirowane klimatem utworów klasyka grozy H.P. Lovecrafta. To, co obce, nieludzkie, czai się w nich tuż obok nas, objawia się na obrazach artystów dotkniętych szaleństwem, prześladuje podróżników odwiedzających tajemnicze opuszczone porty czy odludne chaty. Wrażenie robi zwłaszcza „Miasto nad oceanem" – pustelnik z Providence byłby z tej historii dumny. Tym sugestywnym albumem przedstawia się polskiemu czytelnikowi włoski rysownik Michele Penco, ceniony w ojczyźnie m.in. za fantastyczny album „Racconti azzurri" i autorskie ilustracje do kart tarota. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

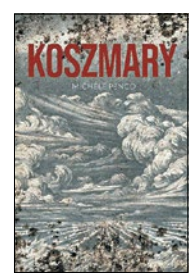

MICHELE PENCO „KOSZMARY" WYDAWNICTWO MANDIOCA 2021

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. DOMNIKA DYKA

Dagadana życzy Tobie

Na polskim pograniczu wschodnim zwano je szczodrówkami, na Ukrainie mówiono na nie szczedriwki. Kolędy noworoczne, kolędy życzące, które śpiewało się, obchodząc domostwa z dobrym słowem, z życzeniami. Właśnie po taki repertuar sięgnął polsko-ukraiński zespół Dagadana na piątym studyjnym albumie „Tobie". Pieśni, relikty dawnych zwyczajów, podane są – jak to w przypadku Dagadana – w świeżych reinterpretacjach, w których ludowe melodie i wielogłos mieszają się z jazzowym groovem i elektroniką. Jednak, co podkreśla zespół, w formach „zachowujących ducha pierwowzorów – przecież zabytków dawnej kultury tradycyjnej – i przenoszących ich treści w czasy obecne, »aktualizujących« ich wymowę z szacunkiem dla głębokiej, symbolicznej warstwy tekstów".

Jedynym utworem na płycie odbiegającym od tradycji pieśni życzeniowych jest „Inaczej". Trzeci singiel z albumu „Tobie" jest zapisem doświadczeń roku 2020. W teledysku członkowie zespołu wystąpili ze swoimi rodzinami. Zapis czasu samotności, dystansu, nieufności, zakrytych twarzy, ale i nadziei, ponownego docenienia spraw i ludzi najistotniejszych. „To, co dziś znam, pozwala usiąść i trwać / Dotknąć znów, patrzeć inaczej / To, co dziś znam, pozwala usiąść i trwać / Słyszeć już Ciebie inaczej / Tak potrzebny był dziwny czas / Widzę znów w sobie blask" – śpiewają w utworze, który został napisany „z perspektywy rozłąki i nowych wyzwań, które zostały przed nami postawione".

Zresztą cały album „powstał z potrzeby przebudzenia życzliwości i dzielenia się Dobrem ze Wszystkimi ponad wszelkimi podziałami, nie tylko od święta. [...] i oddany do rąk słuchacza w czasach niełatwych ma nieść nadzieję, która jest nieodłącznym elementem życzeń". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Publiczne dojrzewanie

Na siódmym albumie Lana Del Rey całkowicie odeszła od ulizanego popu. Zamiast adorować fanów, proponuje zestaw 11 piosenek zmuszających do zastanowienia.

Poczynając od płyty „Norman Fucking Rockwell!" z 2019 r., Lana Del Ray porzuciła świat rozkapryszonej hollywoodzkiej gwiazdy. Zamiast krzyku i blichtru wykorzystuje stonowane środki wyrazu, koncentrując się na atmosferze i przesłaniach jawnie osobistych tekstów. Rytmika piosenek jest łagodna, aranżacje ubarwiają kolorowe smugi gitary w stylu nagrań folkowych z lat 70. czy delikatne jazzowe akcenty.

W otwierającej piosence „White Dress" Del Rey opisuje brutalność przemysłu muzycznego, której wynikiem była choćby jej własna droga do sławy. Jednocześnie wspomina piękne dni spędzone na rozmowach z przyjaciółmi i słuchaniu The White Stripes. Utwór tytułowy jest podobnie smutny i stonowany, z rozmyślnie banalnymi wersami o powolnym przemijaniu idyllicznego lata. W kolejnych piosenkach Lana oświadcza, czego chce (Nie każ mi być słodko-gorzką / Pozwól mi kochać jak kobieta / Pozwól mi być tym, kim mam być), i wierzy w fanów (Jeśli mnie kochają, będą mnie kochać / Ponieważ jestem dzika, dzika w sercu).

Album kończy utwór Joni Mitchell „For Free". Wydaje się, że właśnie kariera Kanadyjki jest dla Lany drogowskazem na przyszłość. ©℗

★★★★★☆

LANA DEL REY
„CHEMTRAILS OVER THE COUNTRY CLUB"
INTERSCOPE

★★★☆☆☆

JUSTIN BIEBER
„JUSTICE"
DEF JAM

Ze względu na tytuł „Sprawiedliwość" dwukrotnie słyszymy Martina Luthera Kinga (?!), choć Justin cierpi tradycyjnie. Sypialniane balladki zawierają typowe bieberyzmy, takie jak „Dwie sekundy bez ciebie to jak dwa miesiące, a to zbyt wiele". Cukier kapie z głośników.

★★★★★☆

TOMASZ CHYŁA QUINTET
„DA VINCI"
ALPAKA

Inspiracją dla albumu była wszechstronność Leonarda. Stąd utwory płynnie przechodzą od rocka i jazzu do muzyki chóralnej i współczesnej. Do rozwibrowanej gry kwintetu, któremu przewodzą skrzypce lidera, przepięknie dopasowuje się zespół wokalny Art'n'Voices. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

Spektakl „Złota Skała. Opowieść o Robercie Brylewskim"
FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Bohaterowie są zmęczeni

Grzegorz Kondrasiuk

Spektakl teatru Studio bada, co zostało z młodzieżowego buntu w okresie PRL

Kiedyś był – powiedzmy – taki jak ja / zbrzydł i utył, ale za to forsy ma / z nim już dzisiaj nie pogadasz" – śpiewał w roku 1996 Maciej Maleńczuk. Minęło kilkanaście latek i ta przypadłość dopadła jego samego. Nie ma się co czepiać Maleńczuka. „Forsy mają", no i zbrzydło, i utyło się różnym kontrkulturowym bohaterom, których dokonania są nostalgicznym punktem odniesienia dla dzisiejszych 50- i 40-latków, w młodości zbuntowanych przeciwko Babilonowi, dziś często na urzędowych czy biznesowych szczytach. Inni bohaterowie natomiast zbrzydli, utyli, a forsy nie zarobili – a w tym gronie ważną postacią był Robert Brylewski; współtwórca zespołów Izrael, Brygada Kryzys, Armia; prawdziwy guru tych roczników, które, jak Polska długa i szeroka, przeszły swoją edukację muzyczną (a przy okazji światopoglądową), zaczynając od punk rocka i reggae. Kiedy pojawiły się prawdziwe pieniądze i komercyjne media, kariery w establishmencie – na tzw. „ściankach" i na czerwonym dywanie – nie zrobił.

I oto teatr Studio zaprasza na „prawdziwe punky reggae party z egzystencjalnym namysłem w tle", spektakl poświęcony postaci Brylewskiego. Na repertuarowej, zawodowej scenie Grzegorz Laszuk zastosował swój styl, wypracowany w offowym zespole Komuna Warszawa (wcześniej – anarchistyczna Komuna Otwock). Widać, że i na „lewym skrzydle" też istnieje zapotrzebowanie na narracje heroiczne i hagiograficzne, na opowieści o świętych i bohaterach. „Mógł zarabiać wielkie pieniądze, ale ledwie wiązał koniec z końcem. Wybór czy przypadek?" – pytają twórcy, świadomi, że z takiego postawienia sprawy wyłania się wizerunek artysty antysystemowego i niezłomnego. Tęsknoty te są jednak duszone w zarodku, przełamane zgryźliwą ironią. Bohatera, i jego dawne ideały – rastafarianizm, anarchizm, pacyfizm – potraktowano dość bezceremonialnie, choć jest to przekaz mocno zaszyfrowany, a w dodatku – pokoleniowy. Ironiczna maniera spektakli Laszuka – brak ról czy postaci, wszystko jest wypowiadane na biało i na zimno, rządzą karykatura i groteska, raczej cytowanie niż odgrywanie, i to od razu ze zgryźliwym komentarzem – idealnie pasuje do ekipy aktorskiej Studia i jej stylu gry. A także do tematu, bo najwidoczniej jest nim tu zmierzenie się z dawnymi relikwiami, ze spuścizną kontrkultury. W powietrzu wisi pytanie: „Co się stało z naszą klasą, z naszym pokoleniem?". Dodałbym: Co się stało z Polską, którą pokierowali ludzie ukształtowani przez tamte zaprzeszłe, kontrkulturowe kody? Bo Laszuk tworzy, trzeba to przyznać, teatr inteligencki, a nawet – co się zowie – romantyczny, taki, który pyta o rząd dusz.

Większość tego krótkiego wieczoru wypełniają piosenki, i to te z pierwszych lat działalności Brylewskiego. To raczej teatralizowany koncert niż spektakl. Koncert-stypa, nostalgiczny, ale i kabotyński. Bo jakże by mogło być inaczej, skoro aktorzy naśladują punkowych gitarzystów i wokalistów, młodziaków z pierwszych lat stanu wojennego? Te gniewne, rozpaczliwe manifesty są tu jakby wypróbowywane – czy coś jeszcze mogą znaczyć, czy są już raczej muzealnymi eksponatami? Czy dotykają rzeczywistości? Czy ich energia działa, a może kompletnie się wypaliła?

Wykonania piosenek Brygady Kryzys i Izraela (całe szczęście, że to taka prosta muzyka!) przeplatane są filozofującymi dialogami. Rozmawia Stary z Młodym, dwie olbrzymie gęby – starszego i młodszego Brylewskiego – to jedyny i dominujący motyw scenograficzny, inspirowany płaskimi socrealistycznymi reliefami z białego kamienia. Okazuje się, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Młody z założenia nie może zaufać Staremu, musi przejść swoją drogę samodzielnie i popełnić te same błędy. Jednak czy ten bunt ma jakikolwiek sens? Na to pytanie musimy odpowiedzieć sobie sami. Reżyser i jednocześnie autor scenariusza nie domyka historii i uchyla się od odpowiedzi. Choć właściwie jest ona oczywista: tamten bunt, tamte melodie i teksty brzmią infantylnie, brzmią jak jakiś ponury żart. A jeśli już o cokolwiek zahaczają, to ich pacyfistyczna i nihilistyczna wymowa staje w kontrze do obecnie dominujących na lewicy nastrojów, do nawoływań, by pójść na wojnę w imię równości. Zresztą – możliwość wspólnoty okazuje się iluzoryczna, rozpada się w trakcie wieczoru, a najważniejsze okazuje się Laszuka pytanie o możliwość osiągnięcia osobistego szczęścia wtedy, kiedy wypala się wewnętrzny ogień. To nie przypadek, że w finale brzmią słowa z Kryzysowego songu „Mam dość" (1980): „To czasy zbrodniarzy / głupców i handlarzy… Jestem już zmęczony / mam Was dość". W oryginale nie było tego słówka „Was"…

Ten spektakl nie jest zbyt ładny ani zbyt interesujący. Jest za to prawdziwy, bo nie pozostawia złudzeń, że świat można zmieniać za pomocą gitary elektrycznej czy teatru. No i nie daje też żadnej innej odpowiedzi, jak w takim razie można zmieniać świat. ©℗

„Złota Skała. Opowieść o Robercie Brylewskim". Studio teatrgaleria, spektakl dostępny na VOD teatru
Reżyseria: Grzegorz Laszuk
Premiera: 20 września 2019 r.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Ostatni papież Zachodu?

Paweł Lisicki

Decyzja o abdykacji do dziś budzi pytania. Jedni dopatrują się w tym działania mrocznych sił, szantażu, spisku. Są nawet tacy katoliccy publicyści, którzy po prostu, mimo upływu lat, nie przyjmują abdykacji do wiadomości i uparcie podtrzymują, że to Benedykt pozostaje papieżem

Dla ogółu katolików dzień, w którym Benedykt XVI ogłosił rezygnację z pełnienia urzędu papieskiego, był ogromnym wstrząsem. 11 lutego 2013 r. pozostanie na pewno jednym z najsmutniejszych dni w dziejach Kościoła. Nie zamierzam tu szczegółowo przypominać pierwszych reakcji – niedowierzania, rozpaczy, zaskoczenia, rozczarowania, szoku. Wielu jeszcze przez całe godziny po prostu wypierało ze świadomości tę informację. Nie zapomnę zdjęć zapłakanych pielgrzymów na placu św. Piotra, na których wieść o abdykacji spadła jak grom z jasnego nieba. Pamiętali przecież, że ledwo kilka miesięcy wcześniej, w październiku 2012 r., Ojciec Święty ogłosił Rok Wiary. Wszystkiego mogli się zatem spodziewać, ale nie tego.

NIEPRAWOMOCNOŚĆ ABDYKACJI?

Na pewno pamięć o tym zdarzeniu pozostaje wciąż czymś bolesnym. Tym bardziej że mimo upływu lat nie zdobyliśmy głębszej wiedzy tłumaczącej

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. MARCO SECCHI/GETTY IMAGES

w sposób zrozumiały decyzję papieża. On sam wspomniał o braku sił fizycznych i duchowych niezbędnych do sprawowania misji. Trudno przyjąć to wytłumaczenie: w końcu po ustąpieniu z Tronu Piotrowego Benedykt dalej żyje i pracuje. W lutym 2021 r. przyjął nawet, wraz z papieżem Franciszkiem, szczepionkę przeciw COVID, co raczej nie wskazuje na dramatycznie zły stan zdrowia: trudno sobie przecież wyobrazić, że gdyby było inaczej, lekarze zgodziliby się na taki zabieg u, jakby nie było, 94-letniego człowieka. Nic dziwnego przeto, że decyzja o abdykacji do dziś budzi pytania. Jedni dopatrują się w tym działania mrocznych sił, szantażu, spisku. Są nawet tacy katoliccy publicyści, którzy po prostu, mimo upływu lat, nie przyjmują abdykacji do wiadomości i uparcie podtrzymują, że to Benedykt pozostaje papieżem, ponieważ rzekomo jego ustąpienie dokonało się z naruszeniem reguł prawa.

To sąd nie do obrony. Istnienie obrońców tezy o trwającym pontyfikacie Benedykta pokazuje głęboką kontestację obecnego pontyfikatu Franciszka. Uderza przy tym, że ci, którzy uznają nieprawomocność abdykacji, w istocie odrzucają słowa samego Benedykta, który nie tylko wielokrotnie i publicznie potwierdzał wolę rezygnacji, lecz także, to szczególnie gorzka pigułka, chwalił i wspierał działania i nauczanie Franciszka. Cokolwiek by na ten temat mówili zwolennicy papieża Ratzingera, on sam widzi we Franciszku kontynuatora i dziedzica swojego posłania. O ile jednak liczba komentatorów negujących fakt ustąpienia Benedykta i wybrania na Tron Piotrowy Franciszka jest ograniczona, o tyle nie zmienia to ogólnej atmosfery wątpliwości i zamieszania. Do jej powstania przyczynił się zresztą w ogromnej mierze sam papież Ratzinger, który przyznał sobie po ustąpieniu prawo do noszenia białej szaty, do udzielania apostolskiego błogosławieństwa i tytułu „Jego Świątobliwość". Nie jest poza tym jasne, jak należy rozumieć jego słowa o czynnym, reprezentowanym przez Franciszka, i biernym, czyli jego własnym, sposobie sprawowania Urzędu Piotrowego.

MOWA OBROŃCZA RATZINGERISTY

Książka Giulia Meottiego nie udziela na te pytania odpowiedzi. Jest raczej, śmiało można powiedzieć, wielką mową obrończą zadeklarowanego ratzingeristy, człowieka, który jest przekonany, że to właśnie Benedykt był tym papieżem, który przenikliwie określił przyczyny choroby Zachodu i Kościoła. Stąd zresztą bierze się nieco prowokacyjny tytuł: „Ostatni papież Zachodu?". Meotti ma rację, gdy podkreśla zaangażowanie i odwagę najpierw kardynała Josefa Ratzingera, a później papieża Benedykta w walkę z relatywizmem – jest on przecież autorem słynnego określenia „dyktatura relatywizmu". Podobnie trafnie Meotti odczytuje sens wielkiej kampanii papieskiej na rzecz odrodzenia w Europie chrześcijaństwa. Włoski autor przywołuje pamiętne wystąpienia papieża. W 2011 r. w Niemczech Benedykt mówił: „Kultura Europy zrodziła się ze spotkania Jerozolimy, Aten i Rzymu. To spotkanie trojga kształtuje najgłębszą tożsamość Europy". Rzeczywiście, mało kto, jak właśnie Ratzinger, miał tak głęboką świadomość historycznych korzeni, z których zrodziła się współczesna Europa. Jednak to nie podkreślenie rangi, jaką w myśleniu Benedykta zajmowały Europa i jej chrześcijańskie podstawy, stanowi największą zasługę Meottiego. Najciekawsze jest inne pytanie. Jak to się stało, że dzisiejsza Europa i – szerzej – Zachód tę swoją wspaniałą przeszłość odrzucają?

Znaczący jest z tego punktu widzenia jeden fragment książki, kiedy to włoski autor przytacza wspomnienia magnata wydawcy Conrada Blacka. Według tego ostatniego w 1990 r. „Ratzinger lamentował nad »powolnym samobójstwem Europy«". Miał mówić, że jej ludność starzeje się i kurczy, a nienarodzonych częściowo zastępują imigranci, których nie da się zasymilować. „Uważał, że Europa obudzi się z drętwoty, lecz wcześniej nadejdą trudne dni" (s. 12). To stały motyw książki Meottiego, w której to kardynał, potem papież Ratzinger występuje w roli Kasandry, przenikliwego (wszystko przewidział), wielkiego myśliciela (każde jego słowo było spójne, bez zarzutu), który z doskonałą precyzją opisał chorobę Europy, a następnie przewidział jej skutki. Według Meottiego Ratzinger „patrzył dalej niż wszyscy inni" i ostrzegał przed groźbą samobójstwa. Dostrzegał, że „obecnie Europa Zachodnia jest najbardziej wrogą chrześcijaństwu częścią świata". Widział, że się zwija, kurczy, upada. Meotti sądzi zatem, że abdykacja Benedykta to w istocie gest prorocki. „Takie jest też znaczenie jego rezygnacji, ustąpienia papieża, renuntiatio tego kruchego i zmęczonego starca, który dobrowolnie wycofuje się z jazgotliwej areny świata do samotni, na medytację: krach katolicyzmu na Zachodzie. […] Męczeństwo z rąk relatywizmu". Mocne słowa. Gdzie indziej zauważa: „Mały człowiek odziany w biel, wybujały niczym gigant myśli, został pokonany".

Sądom tym towarzyszy wszędzie mocna, kwiecista i bardzo emocjonalna retoryka. „Ten papież, intelektualny gigant drobnej postury, był »heretykiem« czasu poprawności religijnej, synkretyzmu, mistycyzmu domowej roboty, pustego ekumenizmu, dialogu ze wszystkimi i z nikim, katolicyzmu, od którego dominująca kultura żąda uległości, posłuszeństwa, uznania porażki, marginalizacji" (s. 25). Autor „Ostatniego papieża Zachodu?" przytacza wiele ważnych i słusznych opinii kardynała Ratzingera/papieża Benedykta. „Relatywizm stał się w naszych czasach podstawowym problemem wiary", dotyka

eprasa.pl 785e8d0f3b

on wiary i etyki, podcina metafizyczne podstawy Zachodu – to tylko próbka. W efekcie przepisy, które godzą w prawo naturalne, uchwala się nawet w katolickich twierdzach Europy – podsumowuje myśl Ratzingera/Benedykta włoski autor. Jak podkreśla Meotti, Benedykt nie wahał się oskarżyć Europy o apostazję: „Jeśli w pięćdziesiątą rocznicę Traktatów Rzymskich rządy Unii Europejskiej pragną zbliżyć się do swoich obywateli, jakże mogłyby wyłączyć podstawowy element europejskiej tożsamości, którym jest chrześcijaństwo? Znaczna większość z nich nadal się z nim utożsamia. Czyż nie zaskakuje, że dzisiejsza Europa, chociaż ma pretensje, by być wspólnotą wartości, wydaje się coraz częściej zaprzeczać, iż istnieją wartości powszechne i absolutne? Czy ta osobliwa apostazja od siebie samej, wpierw niż odstępstwo od Boga, nie prowadzi jej przypadkiem do zwątpienia we własną tożsamość?". Nic dodać, nic ująć.

Jednak kiedy przeczyta się te wszystkie wypowiedzi papieskie, tak często trafne i celne, czytelnik pozostaje z lekkim poczuciem niedosytu. No bo właściwie, jak to się stało, że Zachód owe powszechne wartości porzucił? I dlaczego, można sądzić, odrzucili je sam Kościół i katolicy – na wielu stronach książki Meotti pokazuje ogromną skalę upadku chrześcijaństwa na Zachodzie. Masowe odejścia wiernych, dramatyczny spadek liczby powołań, afery i skandale. Co jest tego źródłem? Czy tylko swoista pasja samobójcza Europejczyków? Czy rzeczywiście, jak chciałby tego włoski autor, papież Benedykt, a wcześniej kardynał Ratzinger, przedtem zaś arcybiskup Monachium i jeden z najbardziej znanych i cenionych profesorów teologii na najważniejszych niemieckich uniwersytetach, był jedynie „kruchym, odzianym w biel" mędrcem, który z pewną bezradnością przemawiał do zagubionej duszy Zachodu? A może w pewnej mierze do tego kryzysu sam się przyczynił? Prawdziwy obraz jest bowiem, obawiam się, bardziej skomplikowany, niż wynikałoby to z rozważań Meottiego. Pokażą to, sądzę, dwie sprawy.

Najpierw kwestia tożsamości i chluby z przeszłości Zachodu. Jak bardzo jest to rzecz dwuznaczna, uzmysławia niedawno wydana książka „Benedykt XVI w dialogu z rabinem Arie Folgerem. Żydzi i chrześcijanie". Zdaniem papieża seniora najważniejszy spór religijny między Kościołem a synagogą dotyczył rozumienia tego, kim był Jezus z Nazaretu. Według chrześcijan był on oczekiwanym i przepowiedzianym Mesjaszem, według Żydów – nie. Oto, co pisze papież senior: „Spór ten niestety chrześcijanie prowadzili często, a właściwie niemal zawsze bez należytego respektu dla drugiej strony. Wręcz przeciwnie. Zaczęły się smutne dzieje chrześcijańskiego antysemityzmu, który zaowocował smutną historią antysemityzmu nazistowskiego, i oto wyłania się przed nami posępny jej szczyt – Auschwitz".

Takie rozumienie dziejów relacji chrześcijan z Żydami, jak je przedstawił Benedykt, uniemożliwia zaufanie Europejczyków do własnej tożsamości. Pojawia się tu wyraźna sprzeczność. Jeśli tożsamość Europy kształtowana była przez chrześcijaństwo, a chrześcijaństwo od samego początku skażone było wrogością do Żydów – „spór ten chrześcijanie niemal zawsze prowadzili bez respektu dla drugiej strony" – to zwątpienie we własną tożsamość jest oczywistym i racjonalnym wnioskiem. Przyjęta tu przez Benedykta teza ściśle odpowiada temu, co głosi religia Holokaustu: całe dzieje Zachodu to jedno wielkie pasmo prześladowań i opresji Żydów, w którym to procesie aktywną i negatywną rolę odgrywały Kościół katolicki i – szerzej – chrześcijaństwo. Emerytowany papież nie tylko uznaje, że „chrześcijanie niemal zawsze toczyli spór bez respektu dla Żydów", lecz także dostrzega ścisły związek między tym prowadzeniem sporu a morderczym, ludobójczym antysemityzmem nazistowskim. Prowadzi to zatem do uznania moralnej winy Kościoła za współudział w dziejowej zbrodni. Wniosek: należy się za nią kajać, pokutować, przepraszać. Dlatego tożsamość Zachodu nie może być po prostu powodem do chluby i dumy, skrywa bowiem w sobie straszliwy potencjał gwałtu i wrogości. Nie mogę pojąć, jak można jednocześnie tak pięknie mówić o roli chrześcijaństwa w budowie tożsamości europejskiej oraz uznawać słuszność zrzutów holokaustianistów.

Tę samą niespójność dostrzegam zresztą w słynnym akcie przeprosin za tzw. grzechy Kościoła, zorganizowanym i przygotowanym przez papieża Jana Pawła II w 2000 r. Przypomnę, że kardynał Ratzinger odegrał w tym wydarzeniu znaczącą rolę. Uroczystości Dnia Przebaczenia z okazji Jubileuszu 2000 lat chrześcijaństwa były transmitowane na cały świat. Jak relacjonowały agencje prasowe: „Modlitwa przed figurą Matki Boskiej z Synem zdjętym z Krzyża była prośbą o przebaczenie win wszystkich wyznawców Kościoła. Papież, w fioletowych szatach liturgicznych, był w stosunkowo dobrej formie, mówił mocnym głosem. W liturgicznej »mea culpa« uczestniczyło pięciu kardynałów i dwóch biskupów kurii rzymskiej. Każdy z nich wymieniał grzechy Kościoła i chrześcijan, a papież za każdym razem prosił Boga o przebaczenie. Kardynał Joseph Ratzinger, prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary (dawne Święte Oficjum), wezwał papieża i dziesięć tysięcy duchownych i pielgrzymów zgromadzonych w bazylice do wyznania »grzechów popełnionych w imię prawdy«. Wymienił metody ewangelizacji, wyprawy krzyżowe i działalność Inkwizycji". Niezależnie od wszystkich wątpliwości moralnych, które wynikają z tego aktu – kto, na jakiej zasadzie, w oparciu o co i w stosunku do kogo może wyznawać cudze grzechy – był on powszechnie odbierany przez komentatorów jako dowód grzechów i win Kościoła. Zamiast oczyszczenia pamięci prowadził jedynie do pogłębienia antykatolickich stereotypów i utwierdzenia się w przekonaniu, że Kościół i chrześcijaństwo byli przez dzieje po stronie opresorów, prześladowców i władzy zwalczającej mniejszości. I to na skalę globalną!

WIELKA OFIARA DOKTRYNY RELATYWIZMU

Druga sprawa, nie mniej istotna, to kwestia walki z relatywizmem w religii, wierze i etyce. Meotti zauważa, słusznie, że relatywizm był traktowany przez kardynała Ratzingera i papieża Benedykta za najważniejsze zapewne zagrożenie dla prawdy chrześcijańskiej. Problem polega na tym, że swą walkę przeciw relatywizmowi Ratzinger/Benedykt prowadził, co się tyczy relacji z innymi religiami, na najbardziej ogólnym, abstrakcyjnym poziomie. Owszem, relatywizm dotyczący wiary rozsadza katolicyzm. Tylko jak to ogólnie słuszne twierdzenie było w praktyce rozumiane przez papieża Benedykta?

eprasa.pl 785e8d0f3b

W wielu swoich wypowiedziach na temat judaizmu, który odrzucił Jezusa jako Chrystusa, nigdy nie nazywa go błędem. W książce z rabinem pisze, że „po ludzku przewidując, dialog ten [z Żydami na temat tego, kim był Jezus] nie doprowadzi nigdy do jedności dwóch interpretacji wewnątrz bieżącej historii". Trzeba przyznać, że bardzo trudno zrozumieć, w jaki sposób słowa te nie przyczyniają się do zwalczanego przecież przez Benedykta relatywizmu.

Jeśli jest prawdą, że Jezus jest Chrystusem, to odrzucenie tej prawdy stanowi błąd. Tylko że takiego stwierdzenia nie sposób w tekstach Josefa Ratzingera znaleźć – na żadnym etapie jego działalności teologicznej. No więc, czy jest to walka z relatywizmem, czy uległość wobec niego? Tym bardziej że książka zawierająca teksty papieża seniora i rabina Foglera nie zamknęła dyskusji. Ostatnim i z tego punktu widzenia najważniejszym głosem była wypowiedź Benedykta dla Herder Korrespondenz w 2019 r. Papież senior napisał tam, że Chrystus polecił głosić Słowo wszystkim narodom i kulturom. Dlatego „nakaz misyjny jest uniwersalny – z jednym wyjątkiem: misjonowaniem Żydów, po prostu nie było ono przewidziane i konieczne, ponieważ tylko oni sami spośród wszystkich narodów znali »Boga nieznanego«". W stosunku do Izraela więc liczy się nie misja, ale dialog – uznał Benedykt. Są to tezy w najwyższym stopniu osobliwe, biorąc pod uwagę choćby fakt, że sam Jezus wyraźnie mówił, że został wysłany najpierw do owiec z domu Izraela, że św. Paweł konsekwentnie mówi o ewangelii najpierw dla Żydów, potem pogan i że w liście do Galatów wspomina o tym, że misja do Żydów powierzona została św. Piotrowi. Kościół od samego początku konsekwentnie misję do Żydów prowadził – wszyscy papieże, zaczynając od Piotra. Jak zatem Benedykt może utrzymywać, że misja do Żydów nie była przewidziana w Kościele? Tak samo trudno pojąć, jak opinia, że istnieje uniwersalna prawda z jednym wyjątkiem, może nie przyczynić się do wzrostu relatywizmu. Albo jakieś twierdzenie ma charakter uniwersalny, albo nie. Kto utrzymuje inaczej, ten popada w sprzeczność i tym samym relatywizm.

Meotti kończy książkę, twierdząc, że Benedykt „był wielką »ofiarą« doktryny relatywizmu". To druga strona medalu. Nawet najbardziej nieśmiałe wspomnienie o obiektywnej prawdzie religii czy o istnieniu niepodważalnych prawideł natury kończyło się wściekłymi atakami mediów i różnej maści mędrków na papieża. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby Benedykt zamiast formuł ogólnych posługiwał się konkretnymi i historycznymi. Zachód nie chciał go słuchać, choroba relatywizmu zainfekowała cały organizm. Całą europejską kulturę i cywilizację.

Można chyba powiedzieć, że abdykacja Benedykta, abstrahując już od osobistych papieskich motywów, stała się najbardziej dojmującym znakiem upadku i rozkładu cywilizacji zachodniej. 11 lutego 2013 r. byłby dla Zachodu taką symboliczną cezurą jak dla Wschodu 29 maja 1453 r., dzień wkroczenia wojsk osmańskich do Konstantynopola, kiedy to upadło cesarstwo bizantyjskie. Dzisiaj, ponad osiem lat od tego wydarzenia, wciąż nie w pełni dociera do nas jego doniosłość. Książka Meottiego w zrozumieniu wagi tego zdarzenia pomaga. Pozwala ona lepiej uchwycić sens dziejowej zmiany, którą przyniósł koniec epoki papieża z Niemiec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst ukazał się jako posłowie do książki Giulia Meottiego „Ostatni papież Zachodu?", która wychodzi właśnie nakładem wydawnictwa AA z Krakowa.

REKLAMA

eprasa.pl 785e8d0f3b

Co z amantadyną?

Jerzy Karwelis

Prowadzę „Dziennik zarazy", codzienny blog o pandemii koronawirusa. Zastanawiam się więc nad różnymi aspektami tej choroby, nad epidemiologicznymi także. Wziąłem się za temat, o którym wszyscy mówią i niewielu wie: Jak się właściwie leczy koronawirusa?

Do swojej pracy nad tym tematem dołożyłem nie tylko rozmowy z fachowcami, lecz także własne doświadczenie, gdyż 1 stycznia zachorowałem i okazało się, że mam pozytywny wynik. Moje doświadczenie zresztą potwierdzi każdy, kto chorował, ale ci, którzy nie przeszli przez „system leczenia COVID-19", tego nie wiedzą, bo w tym względzie polegają co najwyżej na panikarskich doniesieniach mediów i kadrach z wwożeniem na szpitalne oddziały ludzi na łóżkach podłączonych do jakichś rurek.

Kiedy masz dodatni wynik testu, to siedzisz w domu i czekasz na… pogorszenie stanu. W tej fazie nie ma żadnych lekarstw. Kupią ci APAP, jakieś witaminy i masz się modlić, by twój system odpornościowy zadziałał. Zadzwonią do ciebie z raz dziennie, raczej po zapewnienie, że nigdzie nie wychodzisz, niż z poradą. Tę sobie musisz wydzwonić u lekarza domowego. Dostaniesz od niego skierowanie na test i – jeśli jesteś pozytywny – trochę dobrych rad. Na moje indagacje, czy może ktoś mnie zbada, bo przecież mogę mieć i koronawirusa, i np. zapalenie płuc – odpowiedź brzmiała: nie.

Wtedy się czeka, czy ci się nie pogorszy (dostaniesz po tygodniu pocztą wypożyczony ci pulsoksymetr, by badać sobie, czy nie masz za mało tlenu w organizmie: jeśli spadnie poniżej czegoś tam, to dzwonisz po pogotowie). Jak przyjadą po ciebie

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. ADOBE STOCK

„kosmici", to jedziesz na oddział covidowy, gdzie cię praktycznie nie leczą, tylko pomagają oddychać. Z różnym skutkiem. Lekarze, również w mediach, skarżą się, że napływ ostrych przypadków spowodowany jest tym, że pacjenci zgłaszają się zbyt późno. A kiedy mają się zgłaszać? Jak mają się sami zdiagnozować, że to już czas? Osłuchać się słuchawką smatrfona w teleporadycznej asyście lekarza domowego? Wielu też wypiera ostre objawy, których efekty ogląda codziennie w telewizji, stwarzającej wrażenie, że szpital, a już zwłaszcza respirator, to zjazd do zajezdni.

MILCZENIE ODPOWIEDZIĄ

A więc co dają w szpitalu, czego nie mogą zapisać ci do domu? No eksperymentują z różnymi miksami, głównie z podnoszeniem naturalnej odporności, i praktycznie nic się nie dzieje. Ale mamy ciekawe wyjątki, które pokazują patologiczną stronę wirusa, ujawniają się nie tylko przedcovidowy (to jak przedzawałowy) stan służby zdrowia, lecz także różne dziwne mechanizmy. Papierkiem lakmusowym jest tu amantadyna. Trochę historii, z której wyłania się ten zatrważający objaw.

Otóż w Przemyślu pracuje doktor Włodzimierz Bodnar, który od lat stosował różne środki na infekcje. Zauważył, że pomaga mu w tym też amantadyna. Kiedyś lek dla chorych na parkinsona, również z pozytywnym działaniem na leczenie grypy. Już w lutym 2020 r. zauważył wśród swoich pacjentów objawy dziwnej grypy, które leczył też amantadyną. Nie wiadomo było, czy to koronawirus, bo testów wtedy nie robiono. Pan doktor konsultuje się z Anglikami jeszcze w lutym, w marcu czyta publikację australijskiej ekspertki Catherine Kędzierski, która opisuje specyfikę nowego wirusa. W marcu leczy już amantadyną pierwszych pacjentów, którzy przyjechali z Anglii do Polski z wirusem. Idzie dobrze. Tak dobrze, że już 19 marca 2020 r. (dwa tygodnie po „pacjencie zero" w Polsce) doktor pisze do Ministerstwa Zdrowia, że ma dobre wyniki leczenia koronawirusa amantadyną. Głuche milczenie jest mu odpowiedzią.

Ponieważ jego nawoływania do zbadania sprawy i umożliwienia leczenia w inny niż opisany powyżej sposób pozostają bez odpowiedzi, próbuje wspólnie z innymi lekarzami opublikować swoje doświadczenia, statystyki i rodzaje kuracji w piśmie naukowym. Chce tym samym, pomijając milczące instytucje odpowiedzialne za zdrowie publiczne, dotrzeć bezpośrednio do lekarzy, wskazując na pozytywne działanie leku, który jest już od 30 lat na rynku, jest tani i dostępny. Chce się pod tym podpisać, by własnym nazwiskiem oraz nazwiskami współpracowników uwiarygodnić swoje tezy. Niestety nic z tego, dostaje odmowę publikacji tego artykułu.

W międzyczasie leczy amantadyną i zjeżdża się do niego do Przemyśla pół Polski. W dodatku doktor Bodnar nie certoli się z żadnymi teleporadami, przyjmuje z personelem pacjentów jak za starych czasów, diagnozuje, leczy. W zamian za to zsyłane są mu kontrole sanepidu. Pojawiają się zarzuty, że jest za dużo pacjentów i się zakażają. Zamknięcie przychodni wisi na włosku. W międzyczasie już inni lekarze, np. prof. Rejdak z Lublina, zauważają, że wśród pacjentów chorych na parkinsona, a przyjmujących amantadynę, nie ma chorych na COVID-19 lub jego przebieg jest lekki. Też łączy kropki i występuje o grant na badania kliniczne nad działaniem amantadyny na koronawirusa. Cisza.

30 listopada Rada Medyczna przy premierze publikuje zalecenie dla lekarzy, w którym wylicza, których lekarstw nie zaleca do używania w terapii covidowej i jest tam amantadyna. Swoje stanowisko popiera tym, że nie ma żadnych badań klinicznych, które by wskazywały na dobroczynne działanie amantadyny w kuracji covidowej. Niby nie ma. Ale co to za argument, skoro do tego czasu nie wszczęto np. w Polsce takich badań, choć od marca doktor Bodnar o to wnioskuje?

DROGA NAOKOŁO

Przełom następuje „po polsku". Na koronawirusa w grudniu 2020 r. zapada wiceminister zdrowia Marcin Warchoł, który na Twitterze komunikuje, że z ostrego przebiegu wyleczył się amantadyną. Dostaje mu się od razu od rządowych ekspertów. Główna telewizyjna twarz pandemii, prof. Simon, ogłasza, że słowa Warchoła to… warcholstwo i nieodpowiedzialność, bo miesza ludziom w głowach, nie wiadomo, jak chorował i co go uleczyło, więc to tylko dowód na niski poziom rządzących.

Jednak sprawy nie udało się już zamieść pod dywan. „Po linii rządowej" idzie zapytanie, jak to jest z tą amantadyną. Okazuje się, że słabo, bo po listopadowym oświadczeniu Rady Medycznej zaczęto… wycofywać amantadynę z aptek, by – broń Boże – jakiś lekarz nie miał możliwości pójścia śladem Bodnara. Dostępność leku spada do 4 proc. aptek, na czym cierpią również… chorzy na parkinsona jako uboczne ofiary tej gry w ciuciubabkę. Wreszcie pod naciskiem… Ministerstwa Sprawiedliwości (gdyby Warchoł pracował w ministerstwie sportu, to naciski szłyby z Ministerstwa Sportu, taki mamy kraj) sprawa ruszyła. To znaczy, ruszyła na tyle, że zaczęto się przygotowywać do dwóch badań klinicznych – jednych w Lublinie, drugich w Katowicach (tu z udziałem doktora Bodnara).

W międzyczasie zaczęła się „padgatowka", odezwał się szef rządowych ekspertów, prof. Horban, w samokompromitującym oświadczeniu, że

eprasa.pl 785e8d0f3b

amantadyna to lek niezbadany, o wielu skutkach ubocznych (jeśli niezbadany, to skąd profesor o tych efektach wie?), który nie nadaje się do podawania ludziom. Przypomnę, że mówimy o leku używanym od lat 30, którego stosowanie w przypadkach infekcji jest zalecane przez podręczniki (te napisane jeszcze przed pandemią), a kiedyś przez samego profesora… Horbana (ale tak jak z podręcznikami, był to profesor jeszcze „napisany" przed pandemią). Profesor Simon oświadczył, że amantadyna to koń trojański, bo jeśli walczy z wirusem, to ten zacznie mutować, by się bronić, co ma spowodować wyhodowanie przez amantadynę szczepu odpornego na lekarstwa i szczepionki. Z tą argumentacją trzeba by było natychmiast wstrzymać szczepienia. Na całym świecie.

Jednak przyszedł z Zachodu duży cios w amantadynosceptyków. Polska rządowa Agencja Badań Medycznych poinformowała, że grupa naukowców z Cambridge zauważyła korelację pomiędzy przyjmowaniem amantadyny przez chorych na parkinsona i lżejszą zapadalnością na COVID-19 oraz obiecała, że klinicznie to przebada. Ostatnio dołączył do tej opinii rządowy Instytut im. Roberta Kocha z Niemiec, którego pracownicy na łamach czasopisma „Viruses" wskazali, że amantadyna działa. Co prawda w postaci znacznie zwiększonych dawek, wyższych niż aplikowane przez doktora Bodnara, ale kierunkowe wskazanie jest. A więc mamy „po polsku" – Polacy coś odkryli „nie po linii", nasze instytucje tego nie badają, sprawdza się jednak to odkrycie za granicą, a kiedy tam udowodnią działanie amantadyny, wtedy i w Polsce będzie się to zalecać. Tak naokoło.

WALKA O LEK

Pierwsze badania ruszyły w Polsce tuż przed Wielkanocą 2021, czyli ponad trzy miesiące po tym, jak minister zgodził się na badania kliniczne. W sumie minął już rok, od kiedy lekarze sygnalizują, że być może jest lekarstwo i trzeba to zbadać. W obu przypadkach chętni do badań napotykali biurokratyczne bariery, czarny PR na najwyższych szczeblach w godzinach najlepszej oglądalności. Do tego, jestem przekonany, że gdyby pan minister Warchoł nie zachorował, to by nie było żadnych badań, a tak w wyniku jego interwencji (Ministerstwo Sprawiedliwości, przypominam!) amantadyna 20 grudnia 2020 r. wróciła do aptek.

Amantadynę sprowadza się obecnie z Niemiec. U nas są tylko resztki, wydzierane przez covidowców parkinsonowcom

W rządzie jednak walczą – 1 lutego 2021 r. Rada Medyczna przy premierze znowu ponawia informację o nieskuteczności amantadyny, powołując się na brak pozytywnych wskazań w terapii… innymi lekami, cytuję: „chlorochiny, hydroksychlorochiny, azytromycyny i lopinawiru z rytonawirem u chorych na COVID-19", w związku z tym odradza jej stosowanie.

Jednak testy w Lublinie skończą się za… rok, być może wcześniej te katowickie z udziałem doktora Bodnara, ale w sensie pandemicznym może już być „po herbacie", a właściwie po zakończeniu akcji szczepionkowej. Czy to dobrze, czy źle – zastanówmy się.

Amantadynę sprowadza się obecnie z Niemiec. Ostatnio znajomy kupił ją w Budapeszcie. U nas są tylko resztki, wydzierane przez covidowców parkinsonowcom. Walka jest nierówna, bo uczestniczą w niej… lekarze. Tak, ci sami, którzy odradzają i zakazują, ale jak zachorują oni sami lub ich rodziny, to dzwonią do kumpli w Niemczech i kurierem… Amantadyna kosztowała w Polsce przed pandemią 21 zł za opakowanie, dziś jest to 62 zł. Prawa rynku na półlegalny lek-cudo działają. Dziwi jednak opór branży farmaceutycznej oraz odpowiedzialnych za zdrowie publiczne. Amantadyna ma bowiem swoje prawdziwe wady i nie są to wady kliniczne, ale handlowe. Wymienię podstawowe: jest przebadana, używana od 30 lat, jest dostępna i… tania. A co my mamy? Proszę bardzo.

Dziś cała ludzkość jest zaszczepiana szczepionkami, których przebadanie zajęło mniej niż rok, nikt nie wie, jakie są czy mogą być konsekwencje zdrowotne tego eksperymentu dla ludzkiej genetyki. Żaden producent szczepionki nie ukończył jeszcze III fazy badań klinicznych (Pfizer – 31.01.2023, Moderna – 22.10.2022, AstraZeneca – październik, grudzień 2021, dane rejestracyjne na ClinicalTrials.gov). I ci mają glejt od wszystkich państw, że mogą aplikować swój wynalazek miliardom ludzi, bez skończonych badań. A tu lekarstwo dostępne, znane od 30 lat, nie może doczekać się badania, czy w ogóle (sic!) działa na COVID. W międzyczasie na nielegalu leczą się oficjele, a lud Boży koczuje pod przychodnią doktora Bodnara jak pod chatą znachora Kosiby.

Pozytywne działanie amantadyny zadziałałoby tak jak przed COVID lekarstwo na grypę versus szczepionka na grypę. Szczepi się, kto chce, czyli jakieś 25 proc. Dziś, jak to oksymoronycznie mówią ci, którzy nigdy się logiki nie uczyli, „jedyną alternatywą" skończenia z COVID-19 są szczepionki. Każdy, kto burzy to przekonanie (nadzieję?), będzie pokarany. Mam intuicję, że tylko za odebranie nadziei, ale złośliwi mówią, że także za odebranie gigantycznych dochodów firmom farmaceutycznym produkującym szczepionki. A te już ostrzegają, że idą nowe mutacje (dla PR-u nazywają je od krajów, z których atakują, ale mutacji korony jest już ponad 200 tys.), więc trzeba się będzie szczepić co pół roku. To się nazywa po amerykańsku „printing money", proszę państwa. I kto się będzie chciał szczepić co pół roku, jeśli można się wyleczyć kilkunastoma tabletkami?

BEZ SZANS?

Jest jeszcze inna sprawa, to znaczy konflikt interesów naszych decydentów. Wciąż pojawiają się alarmistyczne wieści, że nasz system jest tu nieszczelny. Pytanie: Czy i kto pilnuje interesów „big pharma" w tym względzie? Gdybym był np. właścicielem firmy Gilead, tobym maksymalnie opóźniał wejście amantadyny do terapii, również w szpitalach covidowych. Bo gdyby amantadyna (kuracja nią kosztuje 10,50 zł) weszła do polskich szpitali, to kto kupowałby królujący obecnie w placówkach remdesivir, którego opakowanie kosztuje 400… dol? A cała kuracja ok. 9 tys. zł na jednego pacjenta.

Kiedyś zapytałem kolegę, czy nasi decydenci nie mogą tego sprawdzać, zanim kogoś nie zaproszą na stanowisko obiektywnego doradcy. Ten mi odpowiedział, że nie mogą. Nie mieliby bowiem kogo zaprosić. Właściwie to już ze świecą szukać wśród regulatorów zdrowia publicznego kogoś, kto nie otarłby się w swej działalności o lobbing firm medycznych. To przypadłość krajów w organizacyjnej chronicznej zapaści służby zdrowia. A więc amantadyna za 10,50 zł może nie mieć szans.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wydawcą bloga „Dziennik zarazy".

eprasa.pl 785e8d0f3b

Już 19 kwietnia w „Do Rzeczy” dodatek

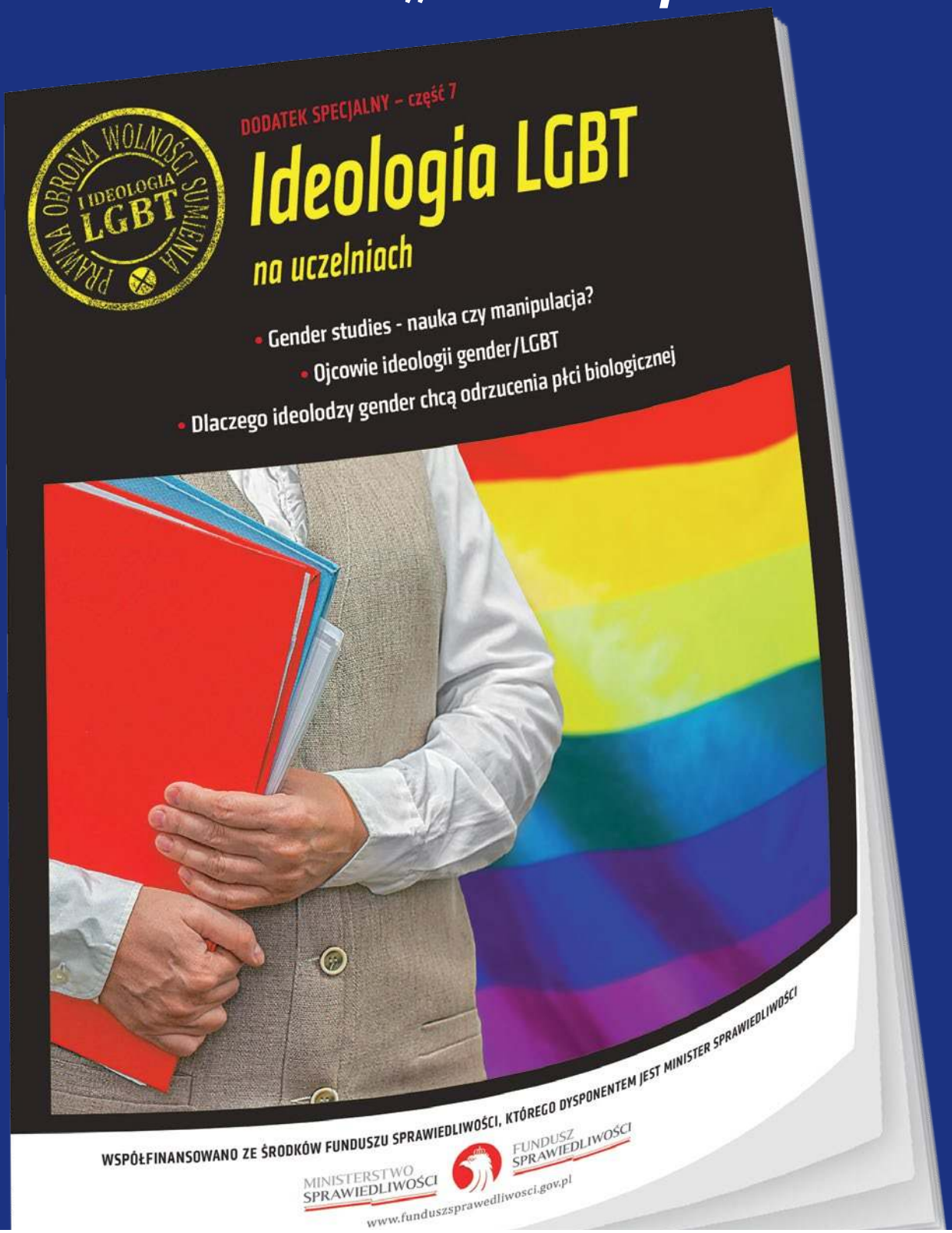

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 785e8d0f3b

Łukasz Warzecha

Najnowszy spis powszechny to próba zmuszenia nas do podzielenia się najpoufniejszymi informacjami. Czy będą bezpieczne?

Obywatelu, napisz wszystko

W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta". Tak pisze św. Łukasz Ewangelista w drugim rozdziale swojej relacji o życiu Zbawiciela. Myli się zresztą, jak twierdzą niektórzy, bo pierwszego spisu w Palestynie nie dokonał Kwiryniusz. Jakkolwiek było, spisy powszechne były znane od starożytności. Genialny pisarz Teodor Parnicki, snując w swoim „Końcu »Zgody Narodów«" opowieść o greckim królestwie Eutydemidów, dziejącą się w II w. p.n.e. mniej więcej na obszarze dzisiejszych Indii, Pakistanu, Afganistanu, nie bez powodu wspomina o dokładnym spisywaniu nowo narodzonych dzieci, tak aby panujący w królestwie Grecy mieli na bieżąco wiedzę o tym, jak ma się liczba ludności czysto greckiej do liczby ludności tubylczej.

W nowszej historii spisy powszechne również nie były niczym niezwykłym. W 1789 r., podczas Sejmu Wielkiego, na wniosek posła Fryderyka Józefa Moszyńskiego herbu Nałęcz uchwalono ustawę (konstytucję), zatwierdzającą przeprowadzenie „lustracyi dymów i podanie ludności". Moszyński, zdolny ekonomista (zresztą potem członek konfederacji targowickiej), sam opracował metody spisywania obywateli oraz odpowiednie tabele statystyczne.

W II RP pierwszy spis powszechny zorganizowano w 1921 r. Miał on ogromne znaczenie dla odradzającego się państwa, które potrzebowało informacji o swoim stanie, próbując skleić się z terytoriów trzech zaborów. Już wówczas za brak współpracy z komisarzami spisowymi lub podawanie nieprawdziwych informacji groziły kary finansowe. Kolejny spis powszechny miał miejsce dekadę później.

DANE WRAŻLIWE

W III RP mieliśmy dotąd trzy spisy powszechne: w latach 1995, 2002 i 2011. Teraz zaczął się czwarty i prawdopodobnie najbardziej kontrowersyjny, choć i poprzednie od kontrowersji nie były wolne. Wówczas jednak dotyczyły one głównie zadawanych pytań. Tym razem pole kontrowersji jest zdecydowanie szersze przede wszystkim dlatego, że zmienił się kontekst, w jakim gromadzone są dane, w tym kontekst technologiczny.

Pierwsza i najbardziej widoczna różnica jest taka, że w obecnym spisie ma uczestniczyć każdy Polak. Jeśli ktoś dzisiaj zastanawia się, jak to możliwe, że przy okazji trzech poprzednich spisów nie trafił do niego rachmistrz spisowy, a teraz grozi mu się karą finansową, jeśli nie wypełni ankiety w Internecie (podstawowa metoda spisania się) albo nie da się spisać w inny sposób – nie powinien się dziwić. Żaden z dotychczasowych spisów nie polegał bowiem na zebraniu danych bezpośrednio od każdej mieszkającej w Polsce osoby. W przypadku spisu sprzed 10 lat GUS zaczerpnął dane z baz, do których miał dostęp, a które to dane ewentualnie można było skorygować. Jedynie wylosowane 20 proc. Polaków otrzymało ankiety powiększone do ok. 100 pytań. Tym razem każdy ma w formularzu aż 100 pytań (wliczając te dla emigranta krótko- i długookresowego), przy czym odpowiedź na wiele z nich jest rozbita na kilka bardziej szczegółowych pozycji, faktycznie zatem do wypełnienia i pozaznaczania mamy o wiele więcej niż 100 punktów. W wielu przypadkach odpowiedź wymaga sprawdzania danych albo głębszego namysłu. Jeżeli w naszym gospodarstwie domowym jest więcej osób, to wypełnienie formularza spisowego jest robotą na co najmniej godzinę. Tu pojawia się pierwsze pytanie: Dlaczego GUS musi te dane wydobywać od nas, obarczając nas dodatkową pracą, skoro ma dostęp do wielu innych własnych baz, gdzie one już są? Na przykład wiedza o nieruchomościach, ich powierzchni czy sposobie ogrzewania może być z powodzeniem wydobyta ze statystyk dostarczanych przez samorządy, przedsiębiorców (m.in. deweloperów) czy firmy komunalne.

Największe wątpliwości wywołuje jednak to, że na wstępie identyfikujemy się naszym numerem PESEL, a potem mamy podać informacje ściśle poufne, w tym dotyczące naszych relacji rodzinnych. Wygląda to zatem tak, jakbyśmy wysyłali do GUS pełną paczkę naszych wrażliwych danych wraz z kluczem, umożliwiającym dopasowanie ich do nas.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Zresztą nie tylko naszych. Ankieta spisowa zobowiązuje nas do podania poufnych danych mieszkających z nami osób – w tym ich numerów PESEL. Jeśli zaznaczymy, że mieszkamy z kimś, a tych informacji nie podamy, nie da się wypełnić formularza. Ale co zrobić, jeśli nasi współlokatorzy lub członkowie rodziny nie życzą sobie, żebyśmy podawali ich dane? Co, jeśli sami postanowili nie brać udziału w spisie i to jest ich świadoma decyzja? Nie wiadomo. Albo musielibyśmy podać ich numery PESEL wbrew ich woli, albo skłamać, że mieszkamy sami, ryzykując karę. GUS nie daje tu żadnej podpowiedzi.

W opublikowanej w końcu i dopiero po tygodniu od rozpoczęcia spisu nadzwyczaj

FOT. ADOBE STOCK

skromnej sekcji najczęściej zadawanych pytań GUS stwierdza, że nasze dane będą zanonimizowane. To ważna deklaracja. Oznacza to, że identyfikacja osobowa będzie od wprowadzanych informacji niejako „odpinana". Urzędowi nie jest przecież potrzebna wiedza o tym, że konkretna osoba mieszka w lokalu o konkretnej powierzchni. Niestety, nie dowiemy się już, jak taka anonimizacja ma technicznie przebiegać. To nie są informacje, które wiele powiedziałyby laikowi, ale od tego mamy analityków z takich serwisów jak Zaufana Trzecia Strona czy Niebezpiecznik, żeby ten proces ocenić. To właśnie osoby zawodowo zajmujące się zabezpieczeniami wielokrotnie już celnie i krytycznie recenzowały różne rządowe przedsięwzięcia, takie jak aplikacja ProteGo Safe, dziś znana jako Stop Covid.

O tym, że GUS nie kwapi się do wyjaśniania wątpliwości, mogliśmy się już przekonać, gdy serwis Niebezpiecznik.pl zaczął indagować urząd w sprawie możliwości spisania się za nas przez kogoś innego. Do zalogowania się do spisu wystarczy bowiem znajomość PESEL-u danej osoby i panieńskiego nazwiska matki – a to zdobyć nietrudno. GUS odpowiedział, że problemu nie widzi, ponieważ… takie działanie jest nielegalne.

PYTANIA O NARZĘDZIA

Tymczasem pytań jest znacznie więcej. Na przykład o to, gdzie fizycznie znajdują się serwery obsługujące spis – taka ilość danych wymaga ogromnej bazy sprzętowej. Albo o to, kto dostarczył oprogramowanie obsługujące spis i czy pracownicy tej firmy będą mieć dostęp do bazy danych – np. w celach serwisowych. Nie wiemy w ogóle, jakie środki podjęto, aby zabezpieczyć dostarczane przez nas informacje przed wyciekiem. A skoro takie wycieki są możliwe nawet z tak zaawansowanej technologicznie firmy jak Facebook, to trudno ufać, że urzędnicza struktura GUS będzie szczelniejsza. W dziale najczęściej zadawanych pytań znajdziemy jedynie zapewnienie, że „w procesie przetwarzania danych osobowych uczestniczą wyłącznie osoby upoważnione przez Administratora Danych do przetwarzania danych osobowych z zachowaniem zasady wiedzy koniecznej". Trochę mało

Jest wreszcie szara strefa wykorzystania informacji przez służby. Formalnie taka furtka nie istnieje („GUS nie udostępnia danych osobowych przekazanych w spisie"), ale jeśli wspomnieć problem braku kontroli nad inwigilacją obywateli (pisałem o tym w przedostatnim wydaniu „Do Rzeczy") oraz możliwość powiązania najwrażliwszych danych ze spisu z konkretną osobą przed ich anonimizacją – trudno nie czuć zaniepokojenia.

Niewyjaśniona pozostaje także kwestia kar za podanie danych niezgodnych ze stanem faktycznym – a grozi za to nie tylko grzywna, lecz także kara ograniczenia lub nawet pozbawienia wolności do dwóch lat. Jak miano by jednak weryfikować, czy dana osoba podała dane zgodne ze stanem faktycznym, skoro spisujemy się teoretycznie z gwarancją anonimowości, a nasze dane są objęte tajemnicą statystyczną? Czy GUS taką weryfikację losowo prowadzi, a jeśli tak – to w jaki sposób? O to również zapytałem rzeczniczkę urzędu, ale odpowiedzi do tego momentu nie otrzymałem.

Niektórzy wskazują, że korzystniej jest nie dać się spisać w ogóle, niż konfabulować w ankiecie, bo wówczas kara to „tylko" grzywna do 5 tys. zł, bez ograniczenia i pozbawienia wolności. Tutaj znów pojawia się pytanie: Co z tymi, którzy o spisie nie wiedzą – a przecież wiedzieć nie muszą? Którzy nie mają komputera i smartfona, a telefonów od nieznanych osób nie odbierają? Zresztą gdy działalność zaczną rachmistrzowie telefoniczni – od 4 maja – nie bardzo wiadomo, jak będziemy mogli weryfikować, czy dzwoniąca do nas osoba to faktycznie pracownik GUS czy oszust? Również w tej sprawie GUS milczy. Kiedy natomiast ruszą do pracy rachmistrzowie w terenie – nie wiadomo. Epidemia.

Poszkodowani mogą się czuć również niepełnosprawni – przede wszystkim niewidomi. Formularz internetowego samospisu jest dla nich kompletnie niedostosowany. Nie ma tam opcji odczytywania pytań ani odpowiadania w sposób przyjazny dla niewidzących lub niedowidzących. GUS złamał tutaj ustawę z 4 kwietnia 2019 r. o dostępności cyfrowej stron internetowych i aplikacji mobilnych podmiotów publicznych.

Trudno nie odnieść wrażenia, że z punktu widzenia wizerunkowego spis powszechny jest kompletnie nieprzygotowany. Świadomość wielu obywateli, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i ochronę własnych danych, bardzo wzrosła od czasu poprzedniego spisu. Kontekst epidemii nie sprzyja wzrostowi zaufania – obawy wielu osób budzi projekt cyfrowych paszportów szczepionkowych. Tymczasem GUS za pośrednictwem ustawodawcy chce zmusić każdego z nas do podzielenia się najpoufniejszymi informacjami, a zamiast wyjaśnić wątpliwe punkty i rozwiać wątpliwości, stosuje pseudopatriotyczną tromtadrację. Na kopercie z ulotką w sprawie spisu, która trafiła do niektórych skrzynek pocztowych, czytamy: „Obywatelski obowiązek. Liczymy się dla Polski". Zamiast górnolotnych haseł lepiej by było, gdyby GUS zadbał o przejrzystość całej operacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Zabij albo zgiń!

Piotr Zychowicz

Nie tylko Japończycy dopuszczali się zbrodni wojennych na Pacyfiku. Jeńców wojennych mordowali również Amerykanie

Los wielu alianckich żołnierzy – którzy podczas drugiej wojny światowej dostali się do japońskiej niewoli – był tragiczny. Zginęli w straszliwych obozach jenieckich lub zostali rozstrzelani. Okrutne japońskie zbrodnie na jeńcach wojennych stały się kanwą wielu filmów, książek i artykułów. Żeby wspomnieć tylko o słynnym „Moście na rzece Kwai".

Mniej znany jest fakt, że podczas wojny na Pacyfiku nie tylko Japończycy dopuszczali się zbrodni na pojmanych wrogach. Międzynarodowe konwencje łamali również żołnierze alianccy. W pierwszych latach wojny Amerykanie niemal nie brali jeńców. Japończyków, którzy się poddawali – rozstrzeliwali na miejscu. Młodzi Amerykanie byli dosłownie naładowani nienawiścią do „podstępnych żółtków" i „Japońców". Według prof. Johna W. Dowera, autora wstrząsającej książki „War without Mercy", wojna na Pacyfiku była znacznie bardziej brutalna niż w zachodnim teatrze działań. Była to erupcja przemocy na szokującą skalę.

Amerykańscy żołnierze rozstrzeliwali poddających się Japończyków, dźgali ich bagnetami, podrzynali im gardła. Dochodziło do ciężkich pobić, znęcania się i upokarzania przeciwników. Topiono ich w morzu, tłuczono na śmierć saperkami. Zbrodniom tym towarzyszyły szyderstwa i kpiny, naruszanie godności.

Mrożące krew w żyłach sceny rozgrywały się na Guadalcanal, Iwo Jimie, Saipanie, Okinawie i wszystkich innych wyspach, na których amerykańska piechota i marines ścierali się z Japończykami. Wielu żołnierzy biorących udział w inwazji na Okinawę miało na hełmach napisy „Tępiciele Gryzoni". Tymi „gryzoniami" byli oczywiście Japończycy.

Douglas Ford w książce „Pacyfik. Starcie mocarstw" przytacza kilka charakterystycznych wypowiedzi amerykańskich żołnierzy.

„Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że zabijam istotę ludzką" – wspominał żołnierz, który walczył w Nowej Gwinei.

„Śmiałem się w duchu, ilekroć się dowiadywałem, że zabiłem kolejnego jadowitego pająka czy skorpiona" – dodawał płk Robert Lee Scott.

„Zabijać Japońców bydlaków! Nie bierzemy jeńców!" – tak brzmiał z kolei oficjalny okrzyk bojowy amerykańskich oddziałów bijących się na Tarawie.

W 1943 r. przeprowadzono wśród amerykańskich żołnierzy sondaż. Połowa respondentów zgodziła się z opinią, że aby zaprowadzić pokój na Pacyfiku, należy „wybić Japończyków do nogi".

POLOWANIE NA ŻÓŁTKÓW

Z reguły zabijanie jeńców było inicjatywą żołnierzy niższego stopnia, ale zdarzało się również, że rozkazy szły z góry. Dennis Warner podczas walk na Bougainville usłyszał, jak generał wydał

eprasa.pl 785e8d0f3b

Japońscy żołnierze poddają się Amerykanom w 1944 r. na Wyspach Marshalla FOT. DOMENA PUBLICZNA

rozkaz rozstrzelania nieprzyjacielskich żołnierzy:

„– Panie generale, ale oni są ranni i chcą się poddać.

– Słyszeliście mnie, pułkowniku – odparł generał, który znajdował się zaledwie kilka jardów od miejsca, w którym z podniesionymi rękami stali Japończycy. – Nie chcę żadnych jeńców. Zastrzelcie ich wszystkich.

Zostali rozstrzelani”.

Inny weteran wspominał, jak razem z kolegami odkrył ukrywającego się japońskiego jeńca. Japończyk desperacko próbował się ukryć i groteskowe ruchy przerażonego człowieka wywołały salwy śmiechu całego plutonu. W końcu Japończyk został zastrzelony, ale żołnierze jeszcze przez kilka tygodni żartowali i śmiali się z tego incydentu.

William Manchester opowiadał z kolei, że na Okinawie był świadkiem masakry dokonanej przez pewnego młodego żołnierza. Wzburzony śmiercią swojego dowódcy chłopak ten chwycił karabin maszynowy, otworzył ogień i skosił grupę japońskich jeńców.

Scenariusz był z reguły podobny. Po zdobyciu japońskich pozycji Amerykanie zabijali na miejscu poddających się żołnierzy wroga. Potem ostrożnie przeszukiwali okopy i bunkry, aby odnaleźć rannych. Ludzie ci byli dobijani. Trzecią fazą było to, co żołnierze nazywali „wielkim polowaniem na żółtków”.

Część żołnierzy z rozbitych japońskich oddziałów starała się bowiem ukryć w trzcinach, rowach, jamach i jaskiniach. Amerykańskie patrole tropiły ich i zabijały dopóty, dopóki cały teren nie został „zabezpieczony”. Młodym chłopakom z amerykańskiej prowincji przypominało to polowania, w których brali udział w domu. Jedna z gazet nazwała Guadalcanal… „rajem myśliwego”. Wyspa obfitowała bowiem w zwierzynę – japońskie „małpiszony”.

Co ciekawe, kilka takich incydentów zostało uwiecznionych na taśmie filmowej. Na jednym z nagrań widać grupę żołnierzy US Army próbujących wyciągnąć Japończyka z wąskiego kanału przebiegającego pod drogą.

Amerykański żołnierz bez koszulki, z papierosem w kąciku ust, brutalnie szarpie za pętlę, którą zawiązano ofierze wokół nóg. W drugiej ręce trzyma pistolet, z którego strzela w głąb jamy. W krocze, brzuch Japończyka.

Gdy nogi ukrywającego się żołnierza znajdują się już na wierzchu, inny Amerykanin przystawia do nich pistolet. Z przyłożenia strzela w uda i kolana. Trudno w to uwierzyć, ale nieszczęśnik wciąż żyje. Dopiero gdy Amerykanom udaje się go wyciągnąć z kanału, jeden z „myśliwych” strzela leżącemu w głowę i klatkę piersiową. Japończyk kona.

„Śmierć była wszędzie wokół nas. Powszechna jak przeziębienie – wspominał jeden z żołnierzy piechoty morskiej. – Wypisałem się z szeregów ludzkości. Chciałem tylko zabijać”.

Słynny amerykański lotnik Charles Lindbergh w czasie wojny odwiedzał żołnierzy bijących się na frontach. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył na Dalekim Wschodzie. Widział, jak japońskiemu jeńcowi dano papierosa, a następnie jeden z amerykańskich żołnierzy zaszedł go od tyłu i poderżnął mu gardło „od ucha do ucha”.

Innym razem był świadkiem, jak Amerykanie ciężkimi wojskowymi buciorami kopali japońskich jeńców w zęby. Zarówno żywych, jak i martwych. W swoich wspomnieniach Lindbergh opisał, jak wykopywali trupy Japończyków, żeby wyrwać im złote zęby.

„Nasi nie mają nic przeciwko zastrzeleniu japońskiego jeńca czy poddającego się żołnierza – wspominał. – Traktują Japończyka z mniejszym szacunkiem niż zwierzę i prawie wszyscy tolerują takie postępowanie. Twierdzimy, że walczymy w imię cywilizacji, ale im więcej widzę tej wojny na Pacyfiku, tym mniejsze moje przekonanie, że mamy prawo nazywać się cywilizowanymi. W gruncie rzeczy nie jestem pewien, czy swoimi osiągnięciami w tej dziedzinie nie przewyższamy Japończyków”.

A oto gorzkie słowa napisane przez korespondenta wojennego Edgara L. Jonesa w 1946 r. na łamach „Atlantic Monthly”:

„Czy cywile wiedzą w ogóle, jaką wojnę prowadziliśmy? Z zimną krwią strzelaliśmy do jeńców, równaliśmy z ziemią szpitale,

eprasa.pl 785e8d0f3b

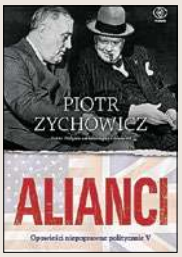

PIOTR ZYCHOWICZ
„ALIANCI”
REBIS

zatapialiśmy szalupy, mordowaliśmy i gnębiliśmy wrogich cywilów, wrzucaliśmy rannych do masowych grobów pospołu z zabitymi, na Pacyfiku gotowaliśmy głowy przeciwników, żeby zrobić z nich ozdoby na biurka i prezenty dla naszych dziewczyn”.

O tej ostatniej, makabrycznej praktyce pisał prof. John W. Dower. Część amerykańskich żołnierzy rzeczywiście kolekcjonowała „myśliwskie trofea”: skalpy lub fragmenty ciał. „Amerykańscy chłopcy” biorący udział w krwawej wojnie na egzotycznych krańcach świata robili sobie naszyjniki z japońskich uszu.

„Pewnej nocy – pisał w połowie 1943 r. na łamach magazynu wojskowego »Leatherneck« jeden z żołnierzy – Stanley opróżnił swoje kieszenie z pamiątek. Wypadło z nich jedenaście uszu zabitych Japończyków. Nie było to dla nas obrzydliwe, tak jak dla cywilów. Żaden z nas nie miał w tej sprawie sentymentów”.

Z kolei w kwietniu 1943 r. dziennik „Baltimore Sun” zamieścił reportaż o patriotycznie nastawionej matce żołnierza walczącego na Pacyfiku. Napisała ona petycję do władz, w której domagała się zgody na to, aby jej synek mógł wysłać jej pocztą ucho, które obciął Japończykowi. Kobieta chciała je przybić do drzwi domu, aby mógł je oglądać każdy przechodzień.

Amerykanie kolekcjonowali również kości Japończyków. Robili z nich wisiorki, zapalniczki, otwieracze do piwa. Pewien żołnierz zrobił z kości zastrzelonego Japończyka nóż do listów i przesłał go w prezencie prezydentowi Rooseveltowi. Z kolei magazyn „Life” opublikował zdjęcie atrakcyjnej blondynki z czaszką Japończyka. Prezent od narzeczonego z frontu na Pacyfiku.

Amerykanie trzymali japońskie czaszki w namiotach, traktując je jak zabawki. Wsadzali im między zęby palące się papierosy, nakładali na nie hełmy. Procedura pozyskiwania tych „wojennych trofeów” była wyjątkowo makabryczna. Głowę należało najpierw oderżnąć od korpusu, a potem wygotować lub wrzucić w mrowisko, aby pozbyć się tkanki miękkiej. Był to proces długotrwały i aby go przyspieszyć, można było czaszkę wstępnie oskrobać nożem, usunąć oczy, język i nos…

Dantejskie sceny działy się również na morzu. Japońskich marynarzy do niewoli brano bardzo rzadko. Amerykanie prowadzili nieograniczoną wojnę podwodną, czyli atakowali jednostki handlowe bez uprzedzenia i rozstrzeliwali z karabinów maszynowych rozbitków w szalupach.

Nikt nigdy nie policzył, ilu japońskich jeńców zginęło z rąk Amerykanów. I nikt tego nigdy nie policzy. Statystyk z oczywistych względów nie prowadzono, a żołnierze po wojnie niespecjalnie chwalili się takimi „dokonaniami”. Parafrazując słynne amerykańskie powiedzenie – to, co się działo w dżunglach Pacyfiku, zostało w dżunglach Pacyfiku.

Jedno jest jednak pewne. Amerykanie dopuszczali się takich samych czynów, za które potępiali swoich przeciwników.

OPAMIĘTANIE

Po rozum do głowy Amerykanie poszli dopiero pod koniec wojny. Jak wynikało z rozmów przeprowadzonych z nielicznymi jeńcami, główną przyczyną, dla której Japończycy nie poddawali się na polu bitwy, nie był żaden kodeks bushidō ani fanatyzm. Była nim właśnie pewność, że po podniesieniu rąk zostanie się rozstrzelanym.

Z dwojga złego Japończycy woleli więc zginąć z bronią w ręku, starając się zabrać ze sobą jak najwięcej wrogów. Do Amerykanów dotarło więc, że mordując jeńców, wzmacniają wolę oporu przeciwników. A co za tym idzie, tracą więcej żołnierzy. Na Iwo Jimie czy Okinawie Japończycy bili się dosłownie o każdy kamień.

Praktyka natychmiastowego rozstrzeliwania poddających się żołnierzy nieprzyjaciela oznaczała również, że amerykański wywiad nie mógł wyciągnąć od jeńców informacji.

W ostatnim okresie wojny amerykańskiej dowództwo zaczęło więc walczyć z patologiami pola bitwy. Apelowało do żołnierzy, by zaczęli brać jeńców. Nie było to łatwe. Brytyjski historyk Niall Fergusson w tekście „Prisoner Taking and Prisoner Killing in the Age of Total War” ujawnił tajny raport amerykańskiego wywiadu. Napisano w nim, że tylko obietnica lodów i trzech dni urlopu może skłonić żołnierzy do niezabijania poddających się im Japończyków.

Dopiero w połowie 1945 r. amerykańska armia powzięła zdecydowane działania zaradcze. Żołnierzom surowo zakazano mordowania jeńców. Za pomocą zmasowanej propagandy – ulotek, odezw nadawanych z głośników – Amerykanie namawiali Japończyków do rzucenia broni i oddania się do niewoli. Obiecywano im, że nic im się nie stanie.

Zmiana ta przyniosła oczekiwane rezultaty. Japończycy wreszcie zaczęli się poddawać.

Niestety opamiętanie przyszło za późno. Trudno powiedzieć, ilu Amerykanów zapłaciło życiem za rozpowszechniony na Pacyfiku nawyk niebrania jeńców. Jeden z żołnierzy wspominał, jak podczas bitwy o Guadalcanal pewien Japończyk uległ perswazji Amerykanów i zgodził się oddać do niewoli:

„Wstyd mi o tym mówić, ale jeden z naszych chłopców go zastrzelił. To było nie tylko wredne, lecz także głupie. Można było bowiem postawić swoje życie na to, że żaden z nich już nigdy nam się nie podda”.

Trudno się z tym nie zgodzić. Abstrahując już od wymiaru etycznego, zabijanie jeńców krwawo mściło się na zabójcach.

Na koniec należy zadać kluczowe pytanie: Dlaczego? Dlaczego Amerykanie rozstrzeliwali japońskich jeńców wojennych? Oto udzielane na ogół odpowiedzi.

Żołnierze i marines pałali żądzą odwetu za zbrodnie wojenne popełnione na alianckich jeńcach przez Japończyków.

Amerykanie mścili się za śmierć towarzyszy broni i rozładowywali w ten sposób stres pola bitwy.

Wśród żołnierzy krążyły opowieści o tym, że podstępni Japończycy się poddają, a następnie strzelają i dźgają nożami Amerykanów.

Bez wątpienia to prawda. Wszystkie te motywy odgrywały bardzo ważną rolę.

Problem w tym, że Niemcy również łamali prawa wojny – a jednak na froncie zachodnim Amerykanie rozstrzeliwali jeńców na znacznie mniejszą skalę. To, co na froncie europejskim było patologią, na Pacyfiku było normą. Na czym więc tak naprawdę polegała różnica?

Profesor Dower i wielu innych historyków badających to wstydliwe zjawisko nie mają wątpliwości: chodziło o kolor skóry przeciwnika. Głównym powodem, dla którego wielu amerykańskim żołnierzom walczącym na froncie japońskim puściły wszelkie hamulce, był rasizm.

Niemcy i Włosi „wyglądali jak my”, Japończycy byli ludźmi innej rasy i cywilizacji. W Europie Amerykanie odróżniali złych „nazistów” od zwykłych Niemców. Na Pacyfiku wojna toczyła się zaś po prostu z Japonią. Dalekowschodniego odpowiednika „dobrego Niemca” zatem nie było. „Dobry Japoniec – głosiło popularne hasło – to martwy Japoniec”.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W pancernej szpicy

Nie miał nawet czasu, żeby mrugnąć. Niemiecki czołg w każdej chwili mógł wyjechać prosto na nich. Warkot pracującego na jałowym biegu silnika pershinga zagłuszał wszelkie inne odgłosy. Czarne krawędzie celownika optycznego zawężały mu pole widzenia. Pot ściekał mu po skórzanych nausznikach hełmu czołgowego i dalej pod wełnianą koszulą oraz kurtką. Nikt w czołgu się nie ruszył i nie szepnął ani słowa. W interkomie słychać było tylko jednostajny szum. Pocisk przeciwpancerny był już załadowany i Clarence mógł strzelić w każdej chwili".

Zaraz miał rozpocząć się niesamowity pojedynek między czołgami. Z jednej strony amerykański „superczołg" pershing, z drugiej – niemiecki PzKpfw IV. W obu maszynach żołnierze szykujący się do walki. Kto zwycięży? Kto przeżyje, a kto zginie?

Adam Makos w niezwykle dynamicznej książce przedstawił niemiecko-amerykańskie pojedynki pancerne, które miały miejsce w Kolonii w marcu 1945 r. Sceneria tych walk była niesamowita. Miasto leżało w gruzach, zniszczone przez alianckie naloty dywanowe, a czołgi walczyły w cieniu kolosalnej gotyckiej katedry. Jedynego budynku w centrum Kolonii, który nie został poważnie uszkodzony.

Makos po latach dotarł do uczestników walk. Clarence'a Smoyera, członka załogi pershinga, i Gustava Schaefera, który walczył w PzKpfw IV. W efekcie na bitwę możemy spojrzeć zarówno z perspektywy amerykańskiej, jak i niemieckiej. Oto opis jednego z pojedynków:

„Clarence nie miał czasu na celowanie. Nie było czasu na to, żeby czołg mógł się zatrzymać. Nie było czasu na nic. Nitki celownicze przecinały się na sylwetce pantery i to musiało wystarczyć. Nacisnął spust i błysk z lufy działa 90 mm rozjaśnił otaczające ich cienie. Pomarańczowa błyskawica pomknęła do przodu i trafiła w przedział silnikowy pantery, wzbijając snop iskier z hukiem przypominającym uderzenie gromu. Ponad gruzami zawirował tuman kurzu i w ślad za mackami dymu pojawiły się płomienie wypełzające z silnika pantery.

Właz otworzył się, buchając dymem z wnętrza czołgu. Niemiecki dowódca wygramolił się z wieży i zeskoczył na ziemię, kryjąc się za własnym pojazdem".

Opisy pancernych pojedynków – jak widać – są niezwykle plastyczne. A co ciekawe, walki te zostały uwiecznione na taśmie filmowej i można je dziś obejrzeć na YouTube. ©℗

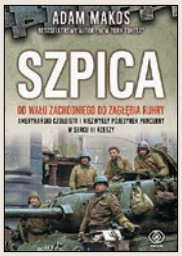

★★★★★★

ADAM MAKOS
„SZPICA. OD WAŁU ZACHODNIEGO DO ZAGŁĘBIA RUHRY"
REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Błazen Stańczyk

Słynny trefniś prawdopodobnie miał na imię Stanisław, od czego wzięło się jego przezwisko. Zdecydowanie gorzej ma się sprawa z nazwiskiem, wprawdzie nazywano go Gąską, ale było to też zwyczajowe określenie błaznów. Zapewne urodził się ok. 1480 r. i pochodził z rodziny rycerskiej. Nie wiadomo, kiedy został specjalistą od rozbawiania dworu królewskiego, na pewno był jednak trefnisiem Zygmunta Starego, a potem Zygmunta Augusta.

To rzadki przypadek, że o człowieku tak bardzo zakorzenionym w polskiej tradycji i żyjącym w dobrze udokumentowanej epoce wiemy tak niewiele. Pozostało tylko kilkanaście wypowiedzi rozsypanych po pismach różnych autorów oraz rachunki dworu potwierdzające jego istnienie.

Błazen wyróżniał się nie tylko poczuciem humoru i umiejętnością celnej riposty, lecz także zdrowym rozsądkiem.

Świadczy o tym jego odpowiedź, gdy zwrócono mu uwagę, że powiedział śmiały dowcip przy pannach z dworu. Odparł, że jeżeli panienki faktycznie są tak niewinne, za jakie się je uważa, to zapewne w ogóle nie zrozumiały jego wypowiedzi. A jeżeli pojęły treść dowcipu, to nie ma potrzeby niczego przed nimi ukrywać. I trudno się z nim nie zgodzić.

Wiele ze swojej dzisiejszej sławy trefniś zawdzięcza Janowi Matejce, który portretował go kilka razy i niemal za każdym razem Stańczyk przedstawiony został jako człowiek głęboko zadumany nad sprawami kraju. Tak było na obrazie „Hołd pruski", gdzie siedział poniżej Zygmunta Starego z mocno zatroskanym wyrazem twarzy. Zupełnie, jakby przeczuwał, jakie nieszczęścia spadną na Polskę z powodu układu z Hohenzollernami zawartego 8 kwietnia 1525 r. Podobnie było na słynnym obrazie nazywanym jego imieniem, gdy jako jedyny z całego dworu zdawał się martwić informacją o upadku Smoleńska. Natomiast na płótnie „Zawieszenie dzwonu Zygmunta" trefniś naśladuje ruchy robotników, ale też nie wygląda na specjalnie szczęśliwego. Sprawia wrażenie, jakby uważał, że cała uroczystość była dowodem fałszywej potęgi Jagiellonów.

Stańczyk doczekał jeszcze wyjazdu królowej Bony z Polski (1556), a zmarł przed pojawieniem się na dworze Jana Kochanowskiego, cztery lata później. Zapewne umarł ze starości, a w ostatnich latach życia zachowywał się jak człowiek, który przeżył już swój czas. Stracił dawny dowcip i stał się bardzo drażliwy i nerwowy. Według niektórych zachowywał się tak, jakby „było mu brak piątej klepki". Nie zmienia to jednak faktu, że do dzisiaj jest jedynym błaznem, którego imię zna niemal każdy Polak. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

Chiny trzymają się coraz mocniej

Chiny staną się największą gospodarką świata już w roku 2028. W ciągu najbliższych dekad chcą też stać się największą potęgą militarną FOT. SHEN HONG/XINHUA/EAST NEWS

Jacek Przybylski

Chińskie władze coraz śmielej prężą muskuły i podkreślają, że skończyła się już „epoka zastraszania, w której Chińczycy cierpieli z powodu hegemonii wielkich mocarstw". Równocześnie inwestują w armię, podbijają kosmos, wprowadzają cyfrową walutę oraz konsekwentnie budują nowe sojusze polityczne, handlowe i energetyczne

Już w najbliższy piątek, 16 kwietnia, do Waszyngtonu na rozmowy z prezydentem Joem Bidenem ma przylecieć premier Japonii Yoshihide Suga. To będzie bardzo ważna wizyta dla obu polityków. Jeszcze przed jej rozpoczęciem Chiny nie tylko dyplomatycznymi kanałami, lecz także publicznie ostrzegły więc władze w Tokio przed podjęciem jakichkolwiek decyzji, które wplątałyby japońsko-chińskie stosunki dwustronne „w tzw. konfrontację między wielkimi państwami".

Pod koniec marca szef chińskiej dyplomacji Wang Yi podpisał w Teheranie z ministrem spraw zagranicznych Iranu Dżawaden Zarifem umowę o współpracy przez najbliższe ćwierć wieku.

W ramach „strategicznego" porozumienia Pekin zobowiązał się do inwestycji w irański sektor energetyczny, a także w perską infrastrukturę. Mówi się, że wartość tych inwestycji ma wynosić od 400 do 600, a być może nawet 800 mld dol.

Dla państwa, którego gospodarka mocno ucierpiała w wyniku zachodnich sankcji, rzucone przez Chińczyków koło ratunkowe będzie miało istotne znaczenie. Pekin nie musi przejmować się zakazami Waszyngtonu, może więc od Teheranu kupować spore ilości niechcianej gdzie indziej ropy. Teheran i Pekin w „strategiczny" polityczny sojusz łączy też potężny wspólny wróg, czyli Waszyngton. Obu regionalnym potęgom zależy na zmniejszeniu znaczenia Ameryki w ich

eprasa.pl 785e8d0f3b

strefach wpływu, a także na tym, aby USA pilnowały bardziej swojego nosa, zamiast wtrącać się w „wewnętrzne sprawy" Iranu oraz Chin. Władze Państwa Środka zaapelowały już więc do Stanów Zjednoczonych o zniesienie wszystkich „nielegalnych sankcji" wobec Iranu.

Temat sankcji cementuje również formalny sojusz Pekinu z Moskwą. I chociaż zapowiadane przez niektórych komentatorów powstanie potężnej osi Chiny-Iran-Rosja wcale nie jest tak realne, jak mogłoby się wydawać na podstawie oficjalnych komunikatów czy złowieszczych dla Zachodu wizji części analityków, to taka formalna współpraca trzech zagorzałych wrogów USA wydaje się być świetnym pomysłem dla celów propagandowych.

Mimo wspólnych manewrów marynarki wojennej Chin i Rosji, podczas których okręty obu tych państw zawinęły do irańskiego portu w Czabaharze, trudno wyobrazić sobie, by władze w Pekinie, Moskwie i Teheranie rzeczywiście były gotowe zgodzić się – wzorem NATO – choćby na rotacyjną obecność obcych wojsk na swoim terytorium.

Szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow podczas ostatniej wizyty w Chinach publicznie wezwał władze w Pekinie i Moskwie do podjęcia działań mających ułatwić Rosji i Chinom łagodzenie konsekwencji zachodnich sankcji, wprowadzanych za łamanie praw człowieka zarówno przez USA, jak i kraje Unii Europejskiej. Nowe sankcje Bruksela nałożyła na obydwa kraje 22 marca obecnego roku, a już 23 marca w Pekinie szef rosyjskiej dyplomacji ogłosił, że Rosja i Chiny uznają zachodnie sankcje za nielegalne, i zaproponował odejście od dolara, przejście do płatności w walutach narodowych i stopniowej rezygnacji z korzystania z zachodnich systemów płatniczych.

Oczywiście, Pekin od dawna szykuje się do takich właśnie działań. Dlatego zmierza w kierunku znaczącego zwiększenia znaczenia swej narodowej waluty poprzez wprowadzenie cyfrowego juana, który już teraz zastępuje fizyczne pieniądze, stanowiąc konkurencję zarówno dla bitcoina, jak i dla dolara. Zwłaszcza że Chiny chcą, aby ich nową walutę cyfrową stosowały też inne kraje, a zwłaszcza firmy handlujące z Państwem Środka.

W najnowszym planie pięcioletnim chińskie władze założyły m.in. szybszy od PKB wzrost produktywności, wzrost wydatków na badania i rozwój o co najmniej 7 proc. rocznie. Dużo uwagi władze w Pekinie poświęcają też gospodarce cyfrowej (jej udział w PKB ma zwiększyć się do co najmniej 10 proc.), ochronie zdrowia, ekologii oraz innowacjom z zakresu sztucznej inteligencji, komputerom kwantowym, biotechnologii czy astronautyce. Celem nadrzędnym w różnych obszarach jest zmniejszanie zależności od zagranicznych technologii i zwiększanie samowystarczalności Państwa Środka.

LOKOMOTYWA JEDWABNEGO SZLAKU

Pekin jest świadomy swoich zalet. Pandemia koronawirusa sprawiła, że w 2020 r. pogłębiła się przepaść między tempem rozwoju gospodarczego strefy euro (spadek w zeszłym roku o 6,8 proc.) a USA (spadek o 3,5 proc.) czy Chin (wzrost o 2,3 proc.).

Podczas wielkiej gospodarczej odbudowy po kryzysie wywołanym pandemią COVID-19 oczy ekonomistów z całego świata skierowane są właśnie na Chiny. Gospodarka Państwa Środka wróciła już do poziomu wzrostu sprzed pandemii i jeśli nie pojawią się nagle dużo groźniejsze mutacje koronawirusa, to władze w Pekinie będą mogły uznać, że rządzony przez nie kraj ma już kryzys w zasadzie za sobą. Ekonomiści szacują, że tylko w tym roku PKB Państwa Środka powinno wzrosnąć o ponad 8 proc. (oficjalny cel rządu to powyżej 6 proc.).

Eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego w najnowszym raporcie wskazali na Chiny jako na lokomotywę wychodzącej z kryzysu globalnej gospodarki. Dopiero na kolejnych miejscach pod względem wkładu do globalnego wzrostu PKB mają znaleźć się Stany Zjednoczone, Indie, Japonia oraz Niemcy.

Według prognoz opublikowanych przez analityków brytyjskiego Centre for Economics and Business Research (CEBR) Chiny staną się największą gospodarką świata już w roku 2028. Obecnie Chiny odpowiadają za ok. 17,8 proc. globalnego PKB, tymczasem jeszcze w roku 2000 ich udział w światowej gospodarce wynosił zaledwie 3,6 proc.

W rozwoju Chin w charakterze nowej światowej potęgi pomóc mają nie tylko projekty humanitarne związane z COVID-19 – takie jak dostarczanie do ponad stu krajów świata milionów masek ochronnych, ubrań czy szczepionek – lecz także inicjatywy handlowe.

W 2020 r. Chiny wyprzedziły Stany Zjednoczone i stały się największym handlowym partnerem Unii Europejskiej. Wartość wymiany między Państwem Środka a UE wyniosła 709 mld dol., a między USA a UE – 671 mld dol.

Bardzo ważny z punktu widzenia Pekinu jest kolejny etap wdrażania w życie Inicjatywy Pasa i Szlaku (BRI), znanego jako projekt Nowego Jedwabnego Szlaku opartego na dwóch głównych drogach handlowych: morskiej oraz lądowej.

Realizacja tego pomysłu – w ramach którego chińskie przedsiębiorstwa państwowe oraz prywatne inwestowałyby nie tylko w centra logistyczne, infrastrukturę drogową czy telekomunikacyjną, lecz także rozwijałyby projekty związane np. z odnawialnymi źródłami energii oraz z zakresu tradycyjnej energetyki – stworzy wiele nowych pól współpracy Chin m.in. z krajami europejskimi, a zwłaszcza państwami z Europy Środkowo-Wschodniej.

Chiński kapitał zaangażował się już m.in. w budowę linii kolejowej Budapeszt-Belgrad. Po zakończeniu wartej ponad 2 mld dol. inwestycji w 2025 r. Węgry będą mogły stać się logistycznym centrum Europy, będą bowiem oferować najszybszą drogę transportu chińskich towarów z portów w Grecji do Europy Zachodniej. Chińczycy chcą też odgrywać ważną rolę w sektorze technologii i edukacji. Do 2024 r. w Budapeszcie ma powstać pierwszy zagraniczny kampus prestiżowego szanghajskiego uniwersytetu Fudan, który należy do grona 40 najlepszych uczelni na świecie. W węgierskiej filii na kilku wydziałach uczyć się ma 5–6 tys. studentów rocznie, głównie na kierunkach z zakresu biznesu i zarządzania, co w przyszłości ma ułatwić współpracę biznesową między Chinami a Węgrami. W ramach chińsko-węgierskiego wszechstronnego partnerstwa strategicznego w planach są także duże projekty finansowe, jak choćby wejście na węgierski rynek najpotężniejszych chińskich banków. Pandemia spowolniła wprawdzie realizację tych zamierzeń, ale czas odbudowy po pandemii COVID-19 może znacząco przyspieszyć chińską ekspansję w Europie Środkowo-Wschodniej.

O dobre stosunki z Pekinem od lat dbają również władze w Belgradzie. Jednocześnie w 2020 r. Chiny wysunęły się na pierwsze miejsce wśród inwestorów zagranicznych w Czarnogórze.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Firmy z Państwa Środka realizują m.in. tak strategiczne inwestycje jak autostrada Bar-Boljare, którą buduje chiński koncern CRBC za pieniądze z kredytu udzielonego przez chiński Exim Bank.

Nie wszystkie zapowiedzi władzom w Pekinie udaje się jednak zrealizować. Tak jest np. wciąż z formatem 17+1, czyli formatem, który ma zwiększyć wpływy Państwa Środka w Europie przy ominięciu władz w Brukseli. Obejmuje on – poza Chinami – Albanię, Bośnię i Hercegowinę, Bułgarię, Chorwację, Czechy, Estonię, Grecję, Węgry, Łotwę, Litwę, Macedonię Północną, Czarnogórę, Polskę, Rumunię, Serbię, Słowację oraz Słowenię. Podczas wideokonferencji w lutym 2021 r. Chiny obiecały zwiększenie importu z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. A więc odpowiedziały na główne oczekiwania środkowoeuropejskich przywódców. – Polska – podobnie jak większość państw regionu – widzi potrzebę szerszego otwarcia rynku chińskiego na jej towary i oczekuje podjęcia przez władze ChRL możliwych działań w tym zakresie – mówił podczas lutowego Szczytu Przywódców Europy Środkowo-Wschodniej i Chin (17+1) prezydent Andrzej Duda.

PUŁAPKA TUKIDYDESA

Chiny już teraz są trzecią militarną potęgą świata po USA i Rosji. Według zapowiedzi prezydenta Xi Jinpinga do 2035 r. mają zakończyć trwającą obecnie modernizację sił zbrojnych, które mają być w stanie zwyciężać we wszelkich wojnach na wszystkich teatrach działań. Chiny sporo wydają więc na armię nawet w czasach koronawirusowego kryzysu. W tym roku wydatki na obronność wzrosły do 6,8 proc. z 6,6 proc. w zeszłym roku. I jest to jeden z najniższych wskaźników w ciągu ostatnich trzech dekad.

W marcu 2021 r. dwaj wysocy rangą chińscy generałowie podczas dorocznej sesji parlamentarnej w Pekinie wezwali władze do zwiększenia wydatków na wojsko, aby było ono gotowe do konfrontacji z „potężnymi wrogami", w tym z armią Stanów Zjednoczonych. Generał Xu Qiliang, wiceprzewodniczący Centralnej Komisji Wojskowej i najwyższy rangą mundurowy oficer w Chinach, ostrzegł, że Państwo Środka musi być gotowe, aby móc zwycięsko wyjść z tzw. pułapki Tukidydesa, czyli nieuchronnego konfliktu zbrojnego pomiędzy dotychczasową a wzrastającą światową potęgą. Termin wywodzący się z dzieła „Wojna peloponeska" greckiego historyka Tukidydesa dotyczy sytuacji, w której rosnąca siła Aten zagroziła dominacji Sparty, przez co oba mocarstwa stały się zakładnikami niemożliwego do uniknięcia konfliktu.

Chiny są trzecią militarną potęgą świata po USA i Rosji. Według zapowiedzi władz do 2035 r. będą już w stanie wygrać wszystkie wojny

Tak jednoznaczne publiczne oświadczenia, w których Chiny wprost mówią o rosnącym ryzyku zbrojnej konfrontacji z Ameryką, należą do rzadkości. Jeszcze w 2017 r. chiński szef dyplomacji podkreślał, że Chiny i USA mogą uniknąć pułapki Tukidydesa. – Chiny mają pewność, że unikną historycznego precedensu poprzez wzmocniony dialog i koordynację ze stroną amerykańską – deklarował wówczas Wang Yi, przekonując, że oba mocarstwa mogą też uniknąć innego zagrożenia, zwanego pułapką Kindlebergera. Ten scenariusz zakłada z kolei wycofanie się hegemona w obliczu wzrastającej potęgi drugiego mocarstwa, czego przykładem była postawa USA po upadku imperium brytyjskiego.

Ostatni chińsko-amerykański szczyt w Anchorage na Alasce pokazał, że rosnący niepokój odczuwają sami Amerykanie. Waszyngton oskarżył podczas niego Pekin o prowadzenie działań, które zagrażają globalnemu ładowi, i dał jasno do zrozumienia, że ani myśli o zmianie bezkompromisowej polityki wobec Chin zapoczątkowanej przez Donalda Trumpa. Z kolei chińska dyplomacja zarzuciła Ameryce wszelkie grzechy: od rasizmu do neoimperializmu. Stosunki między USA a Chinami są więc obecnie najgorsze od upadku Związku Sowieckiego, a w opublikowanej na początku marca przez Biały Dom strategii bezpieczeństwa zaakceptowanej przez Joego Bidena Chiny wprost określone są mianem „strategicznego konkurenta", czyli tak jak traktował je Donald Trump. Tymczasem już wcześniej w Stanach Zjednoczonych nie brakowało ekspertów – takich jak Graham Allison, autor książki „Skazani na wojnę? Czy Ameryka i Chiny unikną pułapki Tukidydesa?" – którzy przestrzegali, że oba mocarstwa zmierzają do wojny, której tak naprawdę nikt nie chce. „Mogę tylko mieć nadzieję, że konflikt Ameryki i Chin będzie siedemnastym w historii nowożytnej rozwiązanym na drodze pokojowej, a nie trzynastym zakończonym wojną" – zauważył, odnosząc się do książki Allisona, były amerykański sekretarz stanu Henry Kissinger.

Optymistycznie można założyć, że chińscy przywódcy są zbyt mądrzy, aby doprowadzić do wybuchu konfliktu zbrojnego, który skutkowałby wymazaniem sukcesów gospodarczych ostatnich dekad. Z drugiej jednak strony zarówno zachodni, jak i wschodni eksperci doskonale wiedzą, że tego typu wojny już nieraz w historii wybuchały niejako przez przypadek. Zapalną iskrą może być choćby incydent podczas manewrów wojskowych lub podczas „niepokojów na granicach", takich jak np. spory terytorialne na morzach Wschodnio- i Południowochińskim.

Konflikt USA-Chiny mogłaby też wywołać inwazja na Tajwan. Optymistyczne prognozy przewidują, że byłaby ona możliwa dopiero w 2045 r. Admirał John Aquilino, nominowany przez prezydenta Bidena do kierowania Dowództwem Indo-Pacyfiku, stwierdził jednak niedawno, że Chiny będą zdolne do takiej operacji „znacznie wcześniej". – Myślę, że zagrożenie pojawi się w ciągu tej dekady, a właściwie w ciągu najbliższych sześciu lat – oznajmił Aquilino, ostrzegając, że największe zagrożenie zbrojną akcją w regionie będzie po XXIV Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie w 2022 r. Podobnie Rosja zaatakowała Krym niemal tuż po igrzyskach w Soczi w roku 2014. W zeszłym tygodniu chińskie samoloty wojskowe, w tym 12 myśliwców, kolejny raz naruszyły strefę identyfikacji obrony powietrznej Tajwanu.

Wojna mocarstw niosłaby zaś za sobą wprost niewyobrażalny chaos. Pozostaje więc nadzieja, że przywódcy obu potęg spojrzą na rywala nie tylko jako na zagrożenie i spróbują jednak ominąć pułapki prowadzące do nieuniknionej wojny, aby w pokoju robić na świecie dobre interesy. USA powinny też lepiej dbać o sojuszników. Na razie bowiem wciąż gospodarka USA oraz ich europejskich i azjatyckich sprzymierzeńców stanowi łącznie 60 proc. globalnej wartości. Dzięki temu trudniejsze stanie się odtworzenie dwubiegunowego świata i łatwiej będzie zapobiegać starciu największych mocarstw.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. FINNBARR WEBSTER/GETTY IMAGES

GRETA CAŁA Z BRĄZU

Na Uniwersytecie w Winchester (południowa Anglia) odsłonięto pomnik aktywistki klimatycznej Grety Thunberg. Studenci uczelni nie zrozumieli tego doniosłego wydarzenia. Ich związek uznał, że w czasie pandemii można było pieniądze wydać na coś bardziej przydatnego. Wezwali władze uczelni, by równowartość pomnika – 23,8 tys. funtów – przeznaczyć teraz na wsparcie dla studentów. Być może nie protestowaliby, gdyby pomnik wykonany został nie z brązu, ale z materiałów do recyklingu?

DANTE OCENZUROWANY

Holenderski wydawca „Boskiej komedii" Dantego Alighieri – Blossom Books – zdecydował się ocenzurować pierwszą część dzieła – „Piekło". Usunięto z niego proroka Mahometa. „[...] historia nie może być niepotrzebnie obraźliwa dla czytelników, którzy stanowią tak dużą część społeczeństwa holenderskiego i flamandzkiego" – napisał w oświadczeniu wydawca.

BO NIE CHCIAŁ SPUTNIKA

Minister zdrowia Czech Jan Blatný stracił stanowisko. Prezydent kraju Miloš Zeman wyjawił powód – minister nie chciał się zgodzić na szczepienie Czechów szczepionkami przeciw koronawirusowi wyprodukowanymi przez Rosjan i Chińczyków. Zeman stwierdził, że to „szkodzenie krajowi". Tymczasem Słowacy właśnie odkryli, że szczepionki Sputnik V, które zakupili, nie są identyczne z tymi, które zostały zbadane i opisane w prestiżowym czasopiśmie „Lancet". Rosyjska szczepionka nie ma wciąż akceptacji Europejskiej Agencji Leków.

MERKEL ZAKRĘCONA LOCKDOWNAMI

Dwa tygodnie temu Angela Merkel przepraszała Niemców za chęć zamknięcia kraju w związku z koronawirusem i odwołała ten pomysł. Tymczasem w ubiegłym tygodniu wicerzecznik niemieckiego rządu poinformowała, że kanclerz „wspiera apele o krótki lockdown w kraju".

MISS Z WYRWANĄ KORONĄ

Wybory Miss Piękności Sri Lanki zakończyły się poważnym skandalem. Oto, gdy za najpiękniejszą uznano niejaką Pushpikę De Silva, na scenę wtargnęła ubiegłoroczna miss – Caroline Jurie. Poprzednia miss zdjęła koronę z głowy aktualnej miss i wręczyła ją tej, która zajęła miejsce drugie. Ogłosiła przy tym – a wszystko transmitowała telewizja – że pani De Silva korona się nie należy, gdyż zgodnie z regulaminem w konkursie mogą startować mężatki, a pani De Silva się rozwiodła. Miss De Silva w Internecie prostowała potem, że wciąż jednak uważa się za „zamężną". Organizatorzy potwierdzili – dopiero jest na etapie separacji. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Lewica boi się Jezusa?

Miliony chrześcijan w USA, podobnie jak ponad 2,2 mld wiernych na świecie, świętowały Zmartwychwstanie Jezusa. Wśród nich katolik Joe Biden. Lewicowy prezydent podczas wielkanocnego orędzia ani razu nie wspomniał jednak o Jezusie Chrystusie. Wyłamał się tym samym z wieloletniej tradycji. O Zmartwychwstałym Jezusie wspominał bowiem dotąd nie tylko republikanin Donald Trump, lecz także jego poprzednik – demokrata Barack Obama.

Joe Biden, przemawiając z balkonu Białego Domu, z żoną i wielkanocnym zajączkiem u boku, odniósł się co prawda do Biblii (która mówi, że „radość przychodzi o poranku"), a nawet zaapelował: „Niech Bóg błogosławi was wszystkich. Niech Bóg strzeże naszych żołnierzy i opiekuje się zajączkiem wielkanocnym".

Być może Biden bał się podpaść tęczowym wyznawcom infantylnej amerykańskiej lewicy, którzy promując „tolerancję", szerzą nienawiść do tradycyjnych wartości. Tak czy owak amerykańscy lewacy próbują obchodzić kolejne święta bez wspominania o ich źródle.

Boga i Jezusa z przestrzeni publicznej próbuje wymazać też europejska lewica. Zwolenniczka lewicowego terroru, holenderska eurodeputowana Sophie in 't Veld, 2 kwietnia ubolewała na Twitterze z powodu „teokratycznej praworządności" w Polsce. A to z powodu życzeń zamieszczonych na stronie Sądu Najwyższego, w których sędzia Małgorzata Manowska życzyła radości, pokoju i życzliwości oraz tego, by Zmartwychwstały Chrystus obdarzał nas łaską wiary, nadzieją oraz „potrzebną wszystkim miłością". Spieszmy się legalnie czcić Jezusa, bo lewica najwyraźniej uznaje tylko swój rodzaj miłości i gdy tylko będzie mogła, niczym Sowieci zakaże wiary innej niż tęczowa. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

20 grudnia Netanjahu, szczepiąc się, zainaugurował kampanię wakcynacji
FOT. MIRIAM ELSTER/POOL/EPA/PAP

Efekt Pfizera

Witold Repetowicz

Izrael odniósł niewątpliwy sukces w walce z COVID-19 dzięki masowym szczepieniom. Kampania szczepień okazała się kołem ratunkowym dla Beniamina Netanjahu w walce wyborczej o utrzymanie władzy i pozostanie na wolności. W szczególności pomogła mu zdobyć głosy arabskich obywateli Izraela, gdy niegłosujący w tych wyborach Palestyńczycy zostali pozostawieni sami sobie

Liczby robią wrażenie. Niespełna 10-milionowy Izrael ma jeden z najwyższych odsetków zakażonych. Zajmuje pod tym względem dziewiąte miejsce na świecie z ponad 90 tys. infekcji na milion mieszkańców. Polska dla porównania ma 63 tys., co pozycjonuje nas na 37. miejscu. Ale chodzi tu o ogólną liczbę zakażeń. Jeśli chodzi o aktualną liczbę chorych, to sprawa wygląda zupełnie inaczej. W Izraelu jest ich obecnie zaledwie 6,5 tys., czyli prawie pięć razy mniej niż dzienny przyrost w Polsce. W Izraelu na początku kwietnia liczba nowych przypadków spadła do 250 dziennie. Gdy 20 grudnia Netanjahu, szczepiąc się, zainaugurował kampanię wakcynacji, liczba zakażonych w Izraelu była na poziomie 25 tys., a dzienne przyrosty wynosiły ok. 3 tys. z tendencją wzrostową. Apogeum osiągnięte zostało równo miesiąc później, gdy liczba nowych przypadków 20 stycznia osiągnęła 10 tys. I wtedy zaczęła gwałtownie spadać. Zaszczepionych jedną dawką było już wówczas ponad 2 mln izraelskich obywateli, a ponad 400 tys. dostało obie dawki. Dziennie szczepiono ok. 150 tys. osób. W rezultacie tydzień później średnia dzienna liczba zakażeń w ujęciu tygodniowym spadła do 6,5 tys., a po miesiącu – do 3,5 tys.

Trzy dni po inauguracji szczepień rozwiązany został Kneset i zarządzono nowe wybory. Sondaże wyborcze nie dawały wówczas Beniaminowi Netanjahu szans na utrzymanie się u władzy. Według sondażu Panels Politics jego Likud mógł liczyć na 25 miejsc w parlamencie, a jedyni pewni sojusznicy, czyli dwie partie ortodoksów religijnych, na kolejne 15. Prawicowa Jamina, która ostatecznie również mogłaby wejść do koalicji z Likudem, choć jej lider Naftali Bennett jest w ostrym konflikcie personalnym z Netanjahu, mogła zdobyć kolejne 15 miejsc, co wciąż oznaczało zbyt mało dla zdobycia minimalnego poparcia 61 deputowanych koniecznego do stworzenia rządu. Ponadto rząd musiał wprowadzić kolejny lockdown, co mogło wywołać dodatkowe niezadowolenie zmęczonych ograniczeniami wyborców. Mogło ono być tym większe, że restrykcje antycovidowe były powszechnie łamane przez ortodoksów, czyli ważnych sojuszników premiera.

NETANJAHU W DELIKATNEJ SYTUACJI

Warto przy tym dodać, że Netanjahu nie tylko walczył o utrzymanie stanowiska, lecz także o pozostanie na wolności. Od dawna bowiem ściga go izraelska prokuratura pod zarzutami korupcji i tylko piastowanie przez niego urzędu premiera blokuje to, by trafił za kratki, o czym wręcz marzy opozycja. W tym czasie wydawało się, że kluczową rolę odegra partia Nowa Nadzieja, założona na początku grudnia przez skonfliktowanych z Netanjahu rozłamowców z Likudu, z Gideonem Sa'arem na czele. W chwili rozwiązania parlamentu mogła ona liczyć na 22 mandaty.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Ortodoksi od samego początku pandemii podchodzili lekceważąco do związanego z nią zagrożenia. Ironią było przy tym to, że ministrem zdrowia był wówczas przedstawiciel chasydzkiego Zjednoczonego Judaizmu Tory Ja'akow Litzman, który po kilku kontrowersyjnych wypowiedziach kwestionujących sens walki z koronawirusem sam na niego zachorował. Stało się to wówczas okazją do przesunięcia go na stanowisko ministra budownictwa. Ministerstwo Zdrowia przejął Likud, nominując na szefa tego resortu Juliego Edelsteina. Ortodoksyjni Izraelczycy nadal jednak masowo łamali restrykcje pandemiczne wprowadzone przez rząd, którego ich reprezentacja polityczna była istotnym elementem. Religijni żydzi odrzucali przede wszystkim ograniczenia dotyczące zgromadzeń religijnych, a także zamknięcia szkół, dalej wysyłając swoje dzieci do religijnych jesziw. Organizowali też masowe uroczystości, takie jak wesela. Nierzadko dochodziło przy tym do starć między nimi a policją. Efekty były jednoznaczne. Jeszcze na początku lutego br. niemal co czwarty zakażony był ortodoksem, choć społeczność ta stanowi tylko ok. 12 proc. populacji Izraela. To wszystko stawiało Netanjahu w bardzo delikatnej sytuacji, gdzie z jednej strony nie mógł sobie pozwolić na utratę poparcia partii religijnych, z drugiej zaś musiał wprowadzać nowe restrykcje i stawić czoła narastającej frustracji większości Izraelczyków niezadowolonych z tolerowania przez rząd nieposłuszeństwa ortodoksów. I wtedy Netanjahu dostał dar z nieba: szczepionkę.

POPRAWA NOTOWAŃ

Pod koniec stycznia, gdy efekty Pfizera były już bardzo dobrze widoczne, sytuacja w sondażach również uległa zmianie. Według tego samego instytutu Panels Politics Likud mógł już liczyć na 31 mandatów, a razem z ortodoksami, w tym nacjonalistycznymi ekstremistami religijnymi z bloku Religijni Syjoniści, na 49. Tymczasem poparcie dla Nowej Nadziei spadło wówczas do 14 miejsc. Ortodoksi tym razem nie stwarzali problemów. Wprawdzie tempo szczepień w tym środowisku było wolniejsze i łatwiej rozprzestrzeniały się również fake newsy, ale zaszczepienie się czołowych rabinów zachęciło do poddania się wakcynacji ich zwolenników. Tych bardziej opornych zachęcano jedzeniem. Na przykład w znajdującym się na wschód od Tel Awiwu Bene Berak przeprowadzono „operację czulent", rozdając tradycyjną potrawę o tej nazwie tym, którzy poszli się zaszczepić. To w dużej mierze rozwiązało problem, bo choć wciąż duża część izraelskiego społeczeństwa obarcza ortodoksów odpowiedzialnością za rozprzestrzenianie się wirusa, to opanowanie epidemii przed wyborami spowodowało, że koalicja Netanjahu z ortodoksami nie raziła już tak bardzo jego elektoratu.

Poprawa notowań Likudu, zwiększająca szanse premiera na utrzymanie się u władzy oraz pozostanie na wolności, nastąpiła mimo wprowadzenia bardzo restrykcyjnego lockdownu. W Izraelu zakazano m.in. odwiedzania się nawzajem oraz oddalania się na odległość większą niż 1 km od domu i podróży za granicę, poza szczególnymi przypadkami. W końcu lutego wprowadzono też „zielony paszport" uprawniający do korzystania z określonych usług tylko osobom zaszczepionym. Nie wzbudziło to niezadowolenia społecznego. Wręcz przeciwnie, wyniki wyborów pokazały, że na polityce antycovidowej skorzystały też inne partie tworzące rząd. Na przykład Niebiesko-Biali ministra obrony Benny'ego Gantza w grudniu balansowali na granicy progu wyborczego, ale ostatecznie w wyborach zdobyli osiem miejsc (na 120).

Szczepionka pozwoliła Netanjahu skutecznie zawalczyć o głosy jeszcze jednej społeczności w Izraelu, tj. posiadających obywatelstwo tego kraju Arabów. Było to o tyle zaskakujące, że jeszcze w połowie 2018 r. z inicjatywy Likudu przyjęte zostało „prawo państwa narodowego", które m.in. podkreślało, iż prawo do samostanowienia w Izraelu mają tylko Żydzi, hebrajski jest jedynym językiem urzędowym, a osadnictwo żydowskie stanowi wartość narodową. Netanjahu, który odrzucał wówczas wszelkie oskarżenia o apartheid i ignorował oburzenie izraelskich Arabów, teraz ruszył w tournée po arabskich miasteczkach, przyjmując arabski przydomek Abu Yair i kreując się na zbawcę tej części izraelskich wyborców. To również się powiodło. Arabska koalicja wyborcza się rozpadła i ostatecznie partie arabskie zdobyły tylko 10 mandatów, podczas gdy w poprzednim parlamencie miały ich 15. W dodatku cztery mandaty przypadły islamskim fundamentalistom, którzy są bardziej skłonni do współpracy z Netanjahu niż inne partie arabskie, a ponadto mają dobre relacje z żydowskimi ortodoksami.

WYSTARCZY, BY PRZETRWAĆ

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja Palestyńczyków, co zresztą jest dodatkową korzyścią dla Izraela, bo wbija klin między izraelskich Arabów i Palestyńczyków. Palestyna, licząca nieco ponad 5 mln mieszkańców, odnotowała znacznie mniej przypadków infekcji niż Izrael, bo tylko 250 tys., ale gdy na początku lutego Izrael zaczął opanowywać sytuację u siebie, w Palestynie zaczęła się nowa fala i obecnie dzienna liczba zakażeń oscyluje wokół 2 tys. Palestyna nie ma przy tym statusu niepodległego państwa, co powoduje, że pojawiły się głosy, iż Izrael ma obowiązek zapewnienia szczepionek również dla tamtejszych mieszkańców. Izrael zrobił to, ale tylko w odniesieniu do mieszkańców osiedli żydowskich uznawanych powszechnie za nielegalne. W 2020 r. rząd Netanjahu planował ich aneksję, ale ostatecznie wobec braku wsparcia ze strony Trumpa nie zdecydował się na to. Ponadto rozpoczął szczepienia ok. 120 tys. palestyńskich pracowników dojeżdżających do pracy w Izraelu.

Osadnicy żydowscy dostali szczepionkę, bo głosują w izraelskich wyborach, pracownicy, bo są potrzebni i mogą potencjalnie kogoś zarazić, a pozostali Palestyńczycy nie, bo Netanjahu nie miał w tym żadnego interesu. Warto jednak dodać, że władze Palestyny nie bardzo starały się o to, by dostać ją od Izraela, w związku z bardzo napiętymi relacjami. W rezultacie w Izraelu zaszczepionych jest już niemal 60 proc. populacji, a władze przystępują właśnie do wakcynacji nastolatków w wieku 12–15 lat. W Palestynie do końca marca zaszczepiono zaledwie 84 tys. osób, z czego tylko 10 proc. z nich otrzymało dwie dawki. Netanjahu i jego ortodoksyjni sojusznicy ostatecznie w wyborach zdobyli 52 mandaty, czyli o siedem więcej niż w prognozach w chwili rozpoczęcia szczepień. To wciąż za mało, by stworzyć rząd, ale wystarczająco, by przetrwać. Po wyborach doszło bowiem do pata. Zdeterminowana, by usunąć Netanjahu, opozycja otrzymała bowiem 51 mandatów, Arabowie – 10, a siedząca okrakiem na barykadzie Jamina – 7.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Łukasz Zboralski

Wyzbywanie się plastiku z gastronomii – obciążające klientów dodatkowymi opłatami, a przedsiębiorców obowiązkami – trafi akurat w moment, gdy przez pandemię branża restauracyjna ledwo zipie. Gorzej wypaść nie mogło

FOT. ADOBE STOCK

Widelec wbity w plecy

W Europie uznano, że mniej plastiku oznacza lepiej. Argumenty? Od lat wiadomo, ile plastikowych rzeczy na świecie wciąż produkujemy. I gdzie potem to trafia. Chodzi nie tylko o to, że te odpady – wciąż jednak – są spalane, co nam nie poprawia jakości powietrza. Trafiają też do wód morskich. I tam stanowią już potężny problem. Jak szacowała dwa lata temu unijna komisarz ds. polityki morskiej i rybołówstwa – przedmioty jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych to 70 proc. plastiku znajdowanego w morzach i oceanach. Szkody dla środowiska wyceniła na 22 mld euro do 2030 r. (w przypadku braku działań).

Kogo nie przekonuje problem zanieczyszczenia środowiska, ten może zastanowić się też nad mikroplastikiem, który znajdowany jest wszędzie: w wodzie, powietrzu, w glebie. Małe cząsteczki odkryto nawet w opadach deszczu w Górach Skalistych, naprawdę daleko od ludzkich osad. Obecny stan wiedzy (badanie australijskiego University of Newcastle) wskazuje, że w żywności pochłaniać możemy tygodniowo średnio ok. 5 gramów plastiku. Chociaż na razie badania WHO (dotyczyły mikroplastiku w butelkowanej wodzie i kranówce) skończyły się konkluzją, że „nie wydaje się" to zagrażać naszemu zdrowiu. Zaznaczono jednak, że potrzeba dokładnych badań, by to ryzyko oszacować.

eprasa.pl 785e8d0f3b

Unia Europejska postanowiła więc wycofać plastik z gastronomicznej sfery naszego życia i zachęcić ludzi np. do systemów kaucyjnych dla opakowań tego rodzaju. Inną sprawą jest to, że to akurat nie UE odpowiada za większość plastiku trafiającego do wód morskich, więc nasze wyrzeczenia nie będą oznaczały wielkiego sukcesu…

SŁOMKI TO TYLKO POCZĄTEK

Gdy tylko Parlament Europejski przegłosował nowe prawo w 2018 r., konsumenci dość szybko odnotowali zmianę. Trudno było przegapić jej obrzydliwy smak… Bo jako pierwsze znikać zaczęły plastikowe słomki. Te zastąpiły dziś głównie słomki wykonane z papieru. Niby surowiec odnawialny, więc lepiej. Ale każdy, kto próbował wypić lodowy napój przez taką słomkę, wie, jak to utrudnia spożywanie napojów i jak nieprzyjemnie papier mięknie w ustach. Wyrzeczenia to wyrzeczenia… Co zrobić? Najwyżej można nosić przy sobie słomki własne.

Jednak to, do czego także Polskę zobowiązała rezolucja PE, jest o wiele szersze niż problem słomek. Po pierwsze, jest to pakiet odpadowy, który postawił bardzo wysokie cele recyklingu odpadów komunalnych (a myślą państwo, że dlaczego płacimy za śmieci coraz więcej?). Za cztery lata do ponownego użycia ma być możliwe 55 proc. odpadów komunalnych. Do 2030 r. – 60 proc., a do 2035 r. – 65 proc. Do tego ostatniego terminu całkowita ilość składowanych odpadów komunalnych ma stanowić zaledwie 10 proc. całkowitej ich wytwarzanej ilości (prześmiewczo można by przyjąć, że głośny cykl płonących składowisk odpadów w Polsce w sumie jest pewnym rozwiązaniem tego problemu nad Wisłą).

Kolejną regulacją jest tzw. dyrektywa plastikowa. Ta już została wycelowana w konkretnych 10 produktów plastikowych, które mają zniknąć z użycia w Unii Europejskiej. Są to – oprócz patyczków higienicznych i patyczków do balonów – głównie przedmioty używane przez gastronomię: widelce, noże, łyżki, pałeczki, talerze, słomki, mieszadełka do napojów, pojemniki do żywności i styropianowe kubki.

Te są jeszcze wciąż w obiegu, bo – podobno – trzeba było dać ich producentom czy posiadaczom czas na opróżnienie magazynów. I ten czas właśnie mija.

DROŻSZE JEDZENIE NA WYNOS

3 lipca upłynie termin, do którego państwa członkowskie miały pozbyć się plastikowych sztućców ze swoich rynków. W związku z tym Polska musiała to uregulować prawnie. Ministerstwo Klimatu i Środowiska 1 kwietnia przesłało do konsultacji publicznych projekt nowelizacji Ustawy o obowiązkach przedsiębiorców w zakresie gospodarowania niektórymi odpadami oraz o opłacie produktowej i niektórych innych ustaw.

Nowelizacja zakazuje „wprowadzania do obrotu" produktów wykonanych z tworzyw sztucznych oksydegradowalnych (czyli posiadających komponenty przyspieszające ich rozpad na malutkie cząsteczki utrzymujące się długo w środowisku). Zakaz ten obejmie wspomniane jednorazowe sztućce, talerze i kubki.

To jednak nie wszystko. Nadal bowiem będzie można używać opakowań sztucznych do żywności (trudno byłoby z nich przecież zrezygnować), czyli nadal będzie można zamówić czy zabrać sobie jedzenie na wynos, ale to będzie droższe. Ministerstwo postanowiło wprowadzić tzw. opłatę produktową za jedną sztukę opakowania. Wynosić będzie mogła maksymalnie 1 zł. I zapłaci to ostatecznie konsument, do którego rachunku będzie ona doliczana. „Opłata ma na celu zniechęcenie konsumentów do nabywania opakowań jednorazowego użytku z tworzywa sztucznego na rzecz produktów z alternatywnych materiałów lub produktów wielokrotnego użytku". UE chce, by przedsiębiorcy działający w gastronomii oferowali klientom opakowania wielokrotnego wykorzystania.

To nie wszystkie koszty. Od lipca wprowadzający do obrotu produkty z tworzyw sztucznych nienadających się do recyklingu będą płacić za kampanie edukacyjne oraz sprzątanie i zagospodarowanie takich odpadów. Zapłacą za to coroczną opłatę w kwocie 5 gr za każdą sztukę produktu. Oczywiście, jak można się spodziewać, w efekcie te pieniądze też będą pochodzić z kieszeni klientów, dla których takie produkty po prostu podrożeją o 5 gr.

W dodatku prowadzący sklepy i jednostki gastronomiczne będą musieli prowadzić ewidencję i sprawozdania dotyczące produktów jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych. A to nie wszystko. Zajmujący się gastronomią będą mieli obowiązek „zapewnienia nabywcom dostępności w sprzedaży opakowań wielokrotnego użytku lub opakowań wytworzonych z materiałów innych niż tworzywa sztuczne".

Trudno nie zauważyć, że unijne regulacje trafią w czas, w którym z dodatkowymi wymaganiami zaczną zmagać się przedstawiciele branży, która jest jedną z najmocniej dotkniętych przez obostrzenia związane z pandemią. Izba Gospodarcza Gastronomii Polskiej oszacowała straty sektora już na miliard złotych i jej przedstawiciele zapowiedzieli już pozew wobec Skarbu Państwa.

Tymczasem teraz – jeśli opakowania z tworzyw sztucznych muszą podrożeć – branża nie dość, że notuje olbrzymi spadek zamówień, to jeszcze będzie musiała oferować swoje towary i usługi klientom drożej. Podczas pandemii 27 proc. Polaków zamawia jedzenie do domu (badanie Santander Consumer Bank), a przecież i sytuacja konsumentów, zasobność ich portfeli – ze względu na zastój gospodarki – będzie coraz trudniejsza.

Czy w obliczu gospodarczych katastrof związanych z koronawirusem UE nie powinna pomyśleć o tym, by może choć na chwilę wstrzymać się z dodatkowymi obciążeniami dla branży w olbrzymich tarapatach? Wydawaje się to racjonalnym posunięciem. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Plan jest ustalony i na razie będzie forsowany. Oprócz wprowadzanych od lipca przepisów na horyzoncie czekają kolejne zmiany. Od 2025 r. czeka nas także rewolucja w nakrętkach i plastikowych wieczkach – będą musiały być na stałe przytwierdzone do butelek i pojemników. Same butelki zaś będą musiały być w co najmniej 25 proc. wykonane z materiału pochodzącego z recyklingu (a do 2030 r. – w 30 proc.). W dodatku dość szybko Polska musi zorganizować zbiórkę i recykling plastikowych butelek. Za cztery lata poziom recyklingu ma wynieść 77 proc. tych opakowań, a do 2029 r. – 90 proc. W tym ma pomóc system kaucji na takie butelki.

Jeśli w tym wszystkim szukać jakiejś pozytywnej strony, to może tej, że mamy w kraju producenta sztućców i naczyń z otrębów, które można zjeść albo zostawić i które rozkładają się po 30 dniach. Firma Bioterm z Podlasia sprzedaje je od dawna, także za granicę. Teraz może czekać ją prawdziwy boom. I pewnie znajdzie naśladowców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

Piotr Włoczyk

Gorączka złota à rebours

Kalifornia postanowiła zostać progresywnym prymusem, opodatkowując bezlitośnie bogatych i wprowadzając wyśrubowane „zielone" regulacje. Ceną za to jest gigantyczny odpływ kapitału i pracowników do stanów rządzonych przez republikanów

Prawdę mówiąc, jest to kropla, która przelała czarę goryczy. Tesla w trybie natychmiastowym przenosi swoją siedzibę i przyszłe programy do Teksasu i Nevady" – ogłosił w maju zeszłego roku na Twitterze Elon Musk, szef Tesli. „Pieprz.ć Elona Muska" – odpisała Lorena Gonzalez, jedna z najbardziej wpływowych postaci w kalifornijskiej Partii Demokratycznej, która forsuje skrajnie lewicową agendę.

Tłem sporu na linii Musk-Gonzalez była wyjątkowo restrykcyjna polityka władz Kalifornii na początku pandemii, które nakazały Tesli zamknięcie fabryk. Musk już wcześniej narzekał na zbyt duże obciążenia, które „Złoty stan" nakłada na jego biznes, ale totalny lockdown, najbardziej dotkliwy w całej Ameryce, obejmujący również zakłady produkcyjne, był w oczach Muska „kroplą, która przelała czarę goryczy".

W grudniu zeszłego roku Musk ogłosił więc, że zostaje Teksańczykiem. To właśnie w tym stanie, na przedmieściach Austin, Tesla buduje swoją największą fabrykę.

„Spoczywają na laurach, myślą, że wszystko im się należy, i w ten sposób przestają wygrywać" – tymi słowami Musk skwitował podejście Kalifornii do biznesu.

BUTNY GUBERNATOR

Szef Tesli, ścigający się z Jeffem Bezosem o miano najbogatszego człowieka świata, to najbardziej znany „uciekinier" z Kalifornii. Odpływ kapitału i mieszkańców to coraz większy problem dla Sacramento (stolica stanu). Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat Kalifornię opuścił biznes wart co najmniej 375 mld dol. – ogłosił niedawno think tank California Policy Center. Wśród gigantów, które w zeszłym roku potwierdziły, że wynoszą się z Kalifornii, znalazły się m.in. Hewlett-Packard i Oracle. Obie korporacje wybrały Teksas (Oracle już zdążył się przenieść do tego stanu). Co znamienne, Hewlett-Packard uważany jest za firmę, która położyła podwaliny pod niesamowity sukces Doliny Krzemowej.

Problem uciekającego biznesu nie jest jednak dla Kalifornii niczym nowym. Według wyliczeń przedstawionych przez CNBC w latach 2008–2019 aż 18 tys. firm uciekło z tego stanu. „Wall Street Journal" pisał w grudniu o „wielkiej migracji z Kalifornii". To o tyle trafne, że poza wielkim biznesem ze stanu tego uciekają też „zwykli" pracownicy. Tylko w ciągu ostatniego roku z Kalifornii wyprowadziło się 136 tys. osób więcej, niż się do niej sprowadziło. To pod tym względem trzeci najgorszy rok, odkąd liczone są przepływy ludności.

Gavin Newsom, gubernator stanu, zdaje się potwierdzać opinię Muska porównującego Kalifornię do utytułowanej drużyny, która po wielu sezonach na samym szczycie uważa, że wszystko jej się należy. „Nie ma lepszego miejsca do robienia biznesu" – zarzekał się niedawno Newsom, odnosząc się do informacji o kolejnych firmach wynoszących się z rządzonego przez niego stanu. Newsom najwyraźniej zamyka oczy na rzeczywistość, ponieważ

eprasa.pl 785e8d0f3b

Musk ogłosił, że zostaje Teksańczykiem. To w tym stanie Tesla buduje swoją największą fabrykę

FOT. MAJA HITIJ/GETTY IMAGES

specjalistyczne rankingi potwierdzają, że Kalifornia, ze swoimi wysokimi podatkami i bardzo wyśrubowanymi regulacjami proklimatycznymi, jest fatalnym miejscem do robienia interesów.

Prestiżowy magazyn biznesowy „Chief Executive", na podstawie sondy wśród szefów czołowych korporacji, ogłosił Kalifornię najgorszym stanem do prowadzenia biznesu. To już drugi taki „tytuł" z rzędu. Jednym z głównych powodów takiego stanu rzeczy jest absurdalne prawo, które weszło w życie jesienią ubiegłego roku. Wprowadza ono, w zależności od wielkości zarządu firmy, określoną liczbę miejsc, które muszą przypaść „niedostatecznie reprezentowanym społecznościom". Władze stanowe wspaniałomyślnie radzą przedsiębiorcom, że aby uniknąć zwalniania niektórych białych członków zarządów, mogą po prostu powiększyć te ciała. W Teksasie nikt oczywiście nie słyszał o podobnych pomysłach na wprowadzanie „różnorodności" do firm. „The New York Times", opisując ucieczkę kapitału i ludzi z Kalifornii do Teksasu, zastanawiał się jednak, czy przyzwyczajonym do progresywnych standardów pracownikom wielkich korporacji nie będzie przeszkadzało, że rządzący tym ostatnim stanem republikanie debatują nad wprowadzeniem zakazu korzystania z toalet przez osoby, których płeć biologiczna nie zgadza się z symbolem widocznym na drzwiach...

Również w rankingu CNBC Kalifornia zajmuje ostatnie miejsce, jeżeli chodzi o koszty prowadzenia działalności gospodarczej. Poza wysokimi podatkami Kalifornia rozwinęła własny, bardzo kosztowny system handlu emisjami CO_2, co jest jednym z głównych powodów, dla których ze stanu tego uciekają resztki przemysłu.

RAJ DLA BEZDOMNYCH

„Te wszystkie regulacje wypędzają przedsiębiorców jak najdalej z Kalifornii – powiedział w rozmowie z »The Washington Free Beacon« Wayne Winegarden z Pacific Research Institute. – Producenci muszą się mierzyć z jednymi z najwyższych kosztów energii w kraju i bardzo wysokim, sięgającym 8,8 proc. podatkiem od osób prawnych".

Kalifornia znana jest w USA jako stan z najwyższym podatkiem dochodowym dla osób najlepiej zarabiających. Wynosi on 13,3 proc. (poza nim trzeba też płacić federalny podatek dochodowy), ale władze stanowe poważnie myślą o podwyższeniu go do niemal 17 proc. (tymczasem w Teksasie nie ma stanowego podatku dochodowego).

Niektóre kalifornijskie samorządy idą w tym jeszcze dalej. San Francisco uchwaliło w listopadzie w referendum ustawę uderzającą w najlepiej zarabiających menedżerów. Im większa jest różnica w płacach między najlepiej i najgorzej opłacanymi pracownikami, tym większe dana firma będzie płaciła lokalne podatki. 65 proc. wyborców w San Francisco opowiedziało się za wprowadzeniem takiego rozwiązania. Jedno jest pewne – teksańscy politycy na pewno przyklaskują takim pomysłom, czekając na jeszcze więcej bogatych „uciekinierów" z Kalifornii.

„Kalifornia musi zdać sobie sprawę z tego, że wszystkie antybiznesowe prawa, które wprowadzają tamtejsi politycy, zemszczą się na nich" – mówi Erica Douglas, szefowa Whoosh Traffic, firmy produkującej software, która już sześć lat temu przeniosła swój biznes do Teksasu. W jej przypadku nie tylko wysokie podatki odgrywały rolę w podjęciu decyzji o przeprowadzce. Swoje zrobiły także koszty życia. Przykład? W Kalifornii średnia cena domu wynosi ponad 700 tys. dol., podczas gdy w Teksasie jest to niewiele ponad 200 tys. Trudno się więc dziwić, że poza wielkim biznesem również coraz więcej zwykłych Kalifornijczyków pakuje się i wynosi do miejsc, w których łatwiej (taniej) się żyje. Szczególnie w czasach, gdy praca zdalna jest coraz bardziej powszechna.

Badanie z 2019 r., przeprowadzone dla Edelman Intelligence, pokazuje, że 53 proc. Kalifornijczyków myśli o przeprowadzce do innego stanu. Głównym czynnikiem wymienianym przez respondentów były właśnie koszty życia.

Innym problemem, który zniechęca ludzi do życia Kalifornii, jest ultraliberalna polityka względem przestępczości i bezdomnych. W tej pierwszej kwestii symboliczne były zeszłoroczne protesty BLM, podczas których policja w Kalifornii w zasadzie oddała pole wandalom i bandytom. Politycy rządzącej stanem Partii Demokratycznej jak ognia bali się oskarżeń o sprzyjanie „systemowemu rasizmowi" i pozwolili, by ulicami ich miast zawładnęli radykałowie spod znaku BLM.

W tej drugiej kwestii również jest coraz gorzej. W Kalifornii mieszka już niemal połowa wszystkich bezdomnych Amerykanów. Ten problem był jednym z głównych powodów, dla których z Kalifornią pożegnał się Ben Shapiro, znany konserwatywny publicysta, założyciel portalu „The Daily Wire".

„W 2011 r. w hrabstwie Los Angeles żyło 40 tys. bezdomnych, w 2019 r. było ich już 60 tys. Z powodu obowiązującego tu prawa policja nie może z nimi nic zrobić. Każdy most pod autostradą to teraz miasteczko namiotowe – tłumaczył Shapiro powody wyjazdu z Kalifornii. – Niemal w każdym publicznym miejscu pełno jest śmieci i igieł. Ciężko płacić ogromne podatki i widzieć swoje miasto zamieniane w jeden wielki śmietnik".

Rzeczywiście, czytając o polityce władz Kalifornii wobec bezdomnych, można odnieść wrażenie, że tamtejsi demokraci uważają ludzi mieszkających na ulicy za dyskryminowaną mniejszość, którą za wszelką cenę należy utrzymać w jej „naturalnym" środowisku.

Nic nie wskazuje na to, by exodus z Kalifornii miał zostać w najbliższym czasie powstrzymany. W tamtejszym parlamencie demokraci zajmują ponad trzy czwarte miejsc. I dlatego republikanie z Kalifornii śmieją się przez łzy, że polityka w ich stanie to rozgrywka między lewicą a skrajną lewicą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 785e8d0f3b

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

KONSTYTUCJA czy konstytucja?

Polski Trybunał Konstytucyjny zamierza zbadać, czy zgoda władz Polski na udział w unijnym Funduszu Odbudowy, w związku z wiążącą się z tym koniecznością wzięcia przez nasze państwo udziału w zaciągnięciu długu wspólnotowego – gwarantowanego przez państwa członkowskie UE, w tym przez Polskę – jest zgodna z konstytucją Polski… A nie, przepraszam, to niemiecki Trybunał Konstytucyjny zamierza zbadać, czy zgoda władz Niemiec na udział w unijnym Funduszu Odbudowy, w związku z wiążącą się z tym koniecznością wzięcia przez to państwo udziału w zaciągnięciu długu wspólnotowego – gwarantowanego przez państwa członkowskie UE, w tym przez Niemcy – jest zgodna z konstytucją Niemiec.

Nie wiadomo, jak orzeknie niemiecki sąd konstytucyjny, na razie jednak wstrzymał on podpisanie przez prezydenta przyjętej już przez obie izby parlamentu ustawy o Funduszy Odbudowy UE. Trybunał działa w związku ze skargą konstytucyjną, którą skierowała grupa profesorów ekonomii skupionych wokół eurosceptycznej partii Alternative für Deutschland. Wskazują oni, że zgodnie z traktatami europejskimi UE ma prawo finansować swój budżet „wyłącznie z własnych środków", a długi nimi nie są; są „kapitałem dłużnym". Skarżący domagają się, aby państwa członkowskie UE zaciągały długi wyłącznie na własną odpowiedzialność – także dlatego, że mogąc wydawać pieniądze innych krajów, mają skłonność do ich marnotrawienia. A uwspólnotowienie długów doprowadzi do powstania „unii zadłużenia".

Czy takiego samego ruchu możemy się spodziewać w najbliższym czasie także w Polsce? Tym bardziej że premier Morawiecki niedawno ruszył tą drogą – wytyczoną przez Niemcy w 2005 r., kiedy to ich Trybunał Konstytucyjny rozstrzygając, czy obywatele Niemiec mogą być wydawani do innych krajów UE na podstawie unijnego nakazu aresztowania, jednoznacznie uznał nadrzędność (rzecz jasna na terenie Niemiec) niemieckiej konstytucji nad prawem unijnym. Natomiast Morawiecki w tych dniach złożył do TK skargę konstytucyjną w sprawie wyższości (rzecz jasna na terenie Polski) polskiej konstytucji nad prawem unijnym w kontekście jednego z niekorzystnych dla Polski orzeczeń TSUE.

Czy podobna skarga konstytucyjna – tym razem w sprawie zgodności z polską konstytucją ustawy o Funduszu Odbudowy UE, choćby w związku z zauważoną już kolizją uwspólnotowienia długów w ramach Funduszu Odbudowy z konstytucyjnym zapisem o zasadach ustalania długu publicznego RP (art. 216 ust. 5), zostanie złożona do TK po ewentualnym przyjęciu przez parlament Polski ustawy o FO UE? Sam Morawiecki, jako promotor Funduszu – jak sądzę – nie będzie tym zainteresowany, ale już politycy Solidarnej Polski i/lub Konfederacji – zapewne tak. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

NRL w roli cenzora

W grudniu, podczas obrad senackiej Komisji Zdrowia, prof. Andrzej Matyja, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej, perorował: „… a coraz więcej pojawia się […] sceptyków co do szczepień, mówiących o zagrożeniach. Na tej liście są także lekarze. My wszystkich tych lekarzy będziemy – brzydkiego słowa użyję – przesłuchiwać czy wzywać do wyjaśnień ich postawy przed organy odpowiedzialności zawodowej".

Minęło kilka miesięcy i okazało się, że prezes Matyja swoje marzenie o przesłuchaniach faktycznie realizuje, z tym że nie ogranicza się do lekarzy, rzekomo sceptycznych wobec szczepień. A nawet wydaje się, że takich w ogóle na jego liście nie ma. Są za to lekarze, którzy ośmielili się publicznie nie podpisywać pod restrykcyjnym kursem, firmowanym m.in. przez Radę Medyczną przy premierze oraz najbardziej znanych covidowych celebrytów, straszących ludzi codziennie armagedonem z ekranów telewizorów. Ba, ośmielili się nawet twierdzić, że lockdown zabija. Mają tu oczywiście rację, zarówno w sensie figuratywnym, jak i dosłownym. Lockdown zabija gospodarkę, relacje społeczne, zabija edukację, ale także zabija dosłownie ludzi, którzy są pozbawieni możliwości ruchu czy ćwiczeń, a jest im to niezbędne do zachowania odporności. Zabija również tych, którzy nie mogą się dostać do lekarza w innych niż COVID sprawach.

I oto ci właśnie lekarze zaczęli dostawać wezwania na przesłuchanie „w charakterze lekarza, którego dotyczy postępowanie w sprawie z zakresu odpowiedzialności zawodowej lekarzy". Chodzi oczywiście o uciszenie głosów odrębnych. Mówiąc wprost – o cenzurę.

Tutaj okazuje się, że niektórzy wyznają podwójne standardy. Głównonurtowe media opozycyjne z oburzeniem zareagowały na próbę pociągnięcia do odpowiedzialności dyscyplinarnej lekarzy Pawła Grzesiowskiego i Bartosza Fijałka, ale o sprawie dr. Basiukiewicza, dr. Martyki czy prof. Rutkowskiego – milczą. Za Grzesiowskim i Fijałkiem ujęła się Helsińska Fundacja Praw Człowieka, sprawy Basiukiewicza, Martyki, Rutkowskiego nie dostrzegła. Czyżby dlatego, że Grzesiowskiego zaatakował Główny Inspektor Sanitarny, a Fijałek ma wyraźnie lewicowe poglądy, zaś pozostali to już ludzie z innej bajki niż HFPC?

Nie jestem wielbicielem dr. Grzesiowskiego czy dr. Fijałka, ale w ich sprawie trzeba zajmować to samo stanowisko co w sprawie dr. Basiukiewicza oraz pozostałych spośród sceptycznych wobec lockdownu i przedsiębranych środków. NRL nie ma prawa występować w roli cenzora! ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

TEST „DO RZECZY": URZĄDZENIE WIELOFUNKCYJNE LEXMARK MC3224DWE

Ponadprzeciętna jakość wydruków, dobrze działający zintegrowany dupleks, niezła szybkość zarówno druku, jak i skanowania oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety urządzenia wielofunkcyjnego amerykańskiej firmy Lexmark.

Stosunkowo niewielkie urządzenie (306,9 mm wysokości x 411,2 mm szerokości x 394,1 mm głębokości) wygląda na solidnie wykonane. Zastosowane materiały sprawiają, że testowany model może wydawać się dosyć ciężki (po wyjęciu z pudełka waży 18,2 kg). Dzięki stalowej ramie MC3224dwe robi wrażenie sprzętu, który ma szanse posłużyć wiele lat. Mimo sporej wagi testowany model jest zarówno mniejszy, jak i lżejszy od wielu konkurentów, dzięki czemu urządzenie można po prostu postawić na biurku, zamiast dokupować do niego specjalną podstawę na drukarkę.

Model MC3224dwe jako połączenie drukarki, skanera, kopiarki i faksu jest też wyjątkowo prosty w obsłudze. Menu w języku polskim, wyświetlane na kolorowym ekranie o wielkości 7,2 cala, jest przejrzyste i zrozumiałe.

MC3224dwe umożliwia połączenie zarówno przez USB czy Ethernet, jak i moduł wi-fi, który umożliwia bezprzewodowe drukowanie, a także m.in. skanowanie do sieci komputerowej czy skanowanie do wiadomości e-mail. Za pomocą aplikacji Lexmark Mobile Print można też łatwo drukować dokumenty bezpośrednio ze smartfona czy tabletu, a także z popularnych portali oferujących przechowywanie dokumentów w chmurze.

Dużą zaletą testowanego urządzenia jest bardzo krótki czas, który potrzebny jest od wybudzenia gadżetu ze stanu czuwania do rozpoczęcia pracy. Na pochwałę zasługuje także ponadprzeciętna jakość wydruków, na których czytelne są nawet niewielkich rozmiarów czcionki zarówno szeryfowe, jak i bezszeryfowe. Dobrze wyglądają również wydrukowane prezentacje oraz arkusze kalkulacyjne. Akceptowalna jest nawet jakość wydrukowanych zdjęć, choć oczywiście, jeśli ktoś chciałby kupić typową drukarkę fotograficzną, to powinien poszukać innego modelu.

W MC3224dwe przyzwoita jest też szybkość druku – maksymalnie wynosi ona 24 strony na minutę przy wydrukach jednostronnych oraz 13 stron na minutę przy wydrukach dwustronnych.

Wady? Chociaż oryginalne tonery według zapewnień producenta są bardzo wydajne, to ich wysoka cena sprawia, że MC3224dwe sprawdzi się głównie w tych biurach czy domowych home office'ach, gdzie drukuje się ograniczone liczby dokumentów. Plusem testowanego modelu jest to, że po wyczerpaniu się wkładu z tonerem kolorowym wciąż można drukować w czerni i bieli.

Niektórym w codziennym użytkowaniu brakować może również automatycznego podajnika dokumentów (ADF). W przypadku takich użytkowników radziłbym dopłacić do wyższego modelu z literką „a" z przodu, który ma już wbudowany podajnik ADF (warto jednak przed zakupem sprawdzić, czy wybrany wyższy model drukuje też w kolorze, czy tylko w czerni i bieli).

Mimo minusów Lexmark MC3224dwe to urządzenie, które może dobrze sprawdzić się w roli stosunkowo niedrogiego w zakupie urządzenia łączącego możliwości kolorowej drukarki laserowej, skanera i kopiarki. Cena: 1079 zł. ©℗

Jacek Przybylski

PIERWSZY SKŁADAK Z PŁYNNYM OBIEKTYWEM

Chiński producent pokazał swój pierwszy składany smartfon. Urządzenie wyposażono w ekran AMOLED, który po rozłożeniu ma przekątną 8,01 cala i rozdzielczość 2480 x 1860. Drugi ekran – używany, gdy pierwszy jest złożony – ma przekątną 6,52 cala i rozdzielczość 2520 x 840 pikseli. Składak Xiaomi ma też szybki procesor i 16 GB pamięci RAM. W Xiaomi Mi Mix Fold zamontowano też obiektyw w technologii liquid lens – obiektyw wypełniono płynem, dzięki czemu można przełączać się między trzykrotnym zoomem optycznym (i 30-krotnym zoomem hybrydowym) a obiektywem umożliwiającym łapanie ostrości z odległości 3 cm. Nie jest to jednak główny obiektyw nowego modelu. Ten ma aż 108 Mpix. Xiaomi Mi Mix Fold wejdzie na rynek w Chinach 16 kwietnia. Cena: ponad 6 tys. zł netto.

PANCERNY SMARTWATCH

G-Squad Pro GSW-H1000. Tak nazywa się nowy smartwatch od japońskiego Casio, w którym zainstalowano kolorowy wyświetlacz oraz udoskonaloną wersję systemu operacyjnego Wear OS. Wzmocniona koperta smartwatcha jest wyprodukowana z tytanu, aluminium oraz uretanu. Do tego ważący zaledwie 104 g zegarek oferuje szczelność na poziomie aż 200 m, co pozwala już na pływanie i nurkowanie z akwalungiem. Nowy model jest też naszpikowany czujnikami. Ma więc kompas, wysokościomierz i barometr, GPS czy czujnik tętna. Jak typowy smartwatch zegarek oferuje też możliwość połączenia ze smartfonem, korzystania z asystenta Google czy dokonywania płatności zbliżeniowych etc. Nowy G-Shock ma zadebiutować w maju. Cena: 699 dol., czyli równowartość ponad 2,7 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. LARRY MARANO/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Idealny narzeczony

Łukasz Majchrzyk

Młody, bogaty, a do tego bardzo pracowity, ambitny i grzeczny. Hubert Hurkacz wreszcie odniósł sukces na miarę pracy, którą wykonuje na co dzień. Jego kariera jest zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach

W wielkim światowym tenisie jest obecny już od kilku lat. Miał na koncie dwie wygrane w turniejach ATP niższej rangi, a kilka razy pokonał nawet rywali z czołowej dziesiątki rankingu ATP. Toczył też zacięty pojedynek z Rogerem Federerem, a to może więcej znaczyć niż niejedno zwycięstwo na zawodowych kortach. Sukces odniesiony w turnieju serii ATP Masters 1000 na Florydzie to jednak skok w inny tenisowy wymiar. Wyżej notowane są tylko turnieje z kategorii Wielkiego Szlema.

– Można mówić o zaskoczeniu, że Hubert wygrał tak wielki turniej. Oczywiście od jakiegoś czasu jest zawodnikiem szerokiej, światowej czołówki, ale przed rozpoczęciem rywalizacji w Miami chyba nikt na niego nie stawiał. To zwycięstwo, w tak dobrym stylu, po pokonaniu renomowanych rywali, to zaskoczenie nawet dla ludzi, którzy tak jak ja śledzą jego karierę od wielu lat – mówi „Do Rzeczy" Dawid Olejniczak, były znakomity tenisista i komentator Polsatu Sport.

Najlepszy polski tenisista w drodze po swój sukces na Florydzie pokonał m.in. piątą rakietę świata Stefanosa Tsitsipasa czy dwóch świetnych Kanadyjczyków – Denisa Shapovalova i Milosa Raonica. O żadnym szczęściu w losowaniu czy zbiegach okoliczności nie mogło być mowy. Hurkacz na ten sukces zasłużył. Cała jego kariera jest zresztą taka: niczego nie zostawić przypadkowi, wszystko zaplanować i podeprzeć to tytaniczną pracą. Okazuje się, że nie trzeba do tego dokładać bezczelności i rzucania rakietą na korcie. Polak zawsze uchodził za tenisistę zbyt grzecznego i zbyt mało aroganckiego, żeby zrobić wielką światową karierę.

Z FRAJDĄ NA KORT

Jego trener Craig Boynton zachwala podopiecznego, mówiąc, że każdy chciałby tak wychować swojego syna, a jeśli ktoś ma córkę, to mógłby marzyć o takim narzeczonym dla niej. Hurkacz jest grzeczny, szarmancki, przepuszcza kobiety w drzwiach, a po wygranych spotkaniach cierpliwie rozdaje autografy wszystkim chętnym. Mógłby tak stać i podpisywać kartki godzinami, więc trzeba go siłą ściągać do szatni, żeby trochę odpoczął.

– Największym atutem Huberta Hurkacza jest profesjonalizm, bo wszystkiego można się nauczyć. Jeden się rodzi z ogromnym talentem, a drugi swoją klasę wypracowuje, do potencjału dodając litry potu wylanego na treningach. Hubert jest tytanem pracy i jest skoncentrowany na rozwoju. Od razu po sukcesie w Miami powiedział, że myśli o kolejnych startach, bardzo się cieszy, ale każdego dnia chce się poprawiać. A jeśli chodzi o atuty na korcie, to ma wiele do zaoferowania. Zarzucano mu, i ja też tak mówiłem, że gra trochę zbyt pasywnie i nie wykorzystuje wzrostu, bo ma prawie dwa metry. Nad tym też pracuje. Jego gra jest bardzo ciekawa. Znakomicie się porusza, co dla takiego giganta jest dużym plusem – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy" Dawid Olejniczak.

Hurkacz czekał na swoje sukcesy, ale czasami brakowało mu cierpliwości. Trener Boynton mówił, że musiał przekonać swojego podopiecznego do innego podejścia, zwłaszcza kiedy ogromna praca nie przynosiła szybko spodziewanych efektów. Epidemia koronawirusa zastała polskiego tenisistę na Florydzie. Przez kilka miesięcy ciężko tam ćwiczył, licząc, że kiedy wróci do gry, zbierze tego owoce. Tak się jednak nie stało od razu. Najpierw były rozczarowujące porażki w pierwszych rundach turniejów Wielkiego Szlema. Do tego można też dodać słabe występy singlowe w Wiedniu, Paryżu (w hali) czy Rotterdamie. W tym samym czasie wielkie sukcesy zaczęła odnosić Iga Świątek. Jeszcze kilka dni przed startem w Miami Hurkacz przegrał gładko w Dubaju z Shapovalovem, którego później pokonał na Florydzie.

Ważne jest też to, że Polak lubi trenować i nie trzeba go siłą zaganiać na kort. Pierwszy raz trzymał w dłoni rakietę, mając trzy lub cztery lata, ale trudno, żeby było inaczej, skoro mama odnosiła w latach 80. sukcesy w kategoriach juniorskich, a jego wujek reprezentował nawet Polskę w Pucharze Davisa (ojciec Huberta grał w piłkę wodną).

Na początku nie było jednak pewne, czy Hubert będzie trenował tenis na poważnie. Próbował też swoich sił

eprasa.pl 785e8d0f3b

w koszykówce oraz w pływaniu i w obu tych dyscyplinach miałby szansę na sukces ze względu na warunki fizyczne – Hurkacz ma prawie dwa metry wzrostu. Tamte treningi (tak samo jak akrobatyka, o czym wspominał w rozmowie z „Rzeczpospolitą" w 2019 r.) pewnie przydają się teraz na korcie, bo w historiach wielkich sportowców często przewija się fakt, że za młodu próbowali różnych sportów, dzięki czemu lepiej się rozwijali. Kiedy trochę podrósł, stwierdził, że trenowanie tenisa sprawia mu frajdę, i to pewnie też pomogło w podjęciu decyzji o postawieniu na sport i przeniesieniu się do Sopockiej Akademii Tenisowej, gdzie mógł brać udział w zdalnych lekcjach i zdać maturę.

STUDNIA BEZ DNA

Nie udałoby się bez mądrego wsparcia rodziców. Tenis jest niewdzięczną dyscypliną, która wymaga bardzo wielu poświęceń przez lata, a odpłaca się z nawiązką nielicznym. Jeśli wysiłku (także finansowego) nie wezmą na siebie rodzice, to ciężko liczyć na wielką karierę. Tylko że takie wsparcie łatwo może się przerodzić w tresurę dziecka lub pchanie do sukcesu za wszelką cenę. W historii tenisa było wielu oszalałych rodziców, którzy niszczyli kariery córek i synów albo psuli sobie z nimi relacje. Hubert Hurkacz podkreślał zawsze, że w domu znajdował mądre wsparcie i pomoc. Widocznie polski tenis ma szczęście do rodziców.

– Sukcesy polskich tenisistów nie są wynikiem centralnego systemu szkolenia i niewiele się dzieje w tym kierunku. Agnieszka Radwańska, Iga Świątek, Magda Linette, Jerzy Janowicz, Mariusz Fyrstenberg, Marcin Matkowski czy Łukasz Kubot odnieśli sukcesy dzięki poświęceniu rodzin, które inwestują w to wiele pieniędzy. Tenis jest do pewnego momentu studnią bez dna. Pierwsze pieniądze zarabia się dopiero w turniejach zawodowych i nawet wygranie juniorskiego Wimbledonu niczego nie daje. Najczęściej taka inwestycja się nie zwraca. Jako były zawodnik uważam, że to skandal, iż nie wykorzystaliśmy sukcesów Agnieszki Radwańskiej w żadnym stopniu. Nawet po wygranej Igi we French Open niewiele się zmieniło. Patrzmy, jak się to robi na Zachodzie. Tenis cieszy się takim zainteresowaniem, że zasługuje na więcej. Mecz Hurkacza oglądało pół miliona osób w telewizji – mówi „Do Rzeczy" Dawid Olejniczak.

Teraz Polak już na siebie zarabia (na korcie wywalczył już ponad 3 mln dol.), a dodatkowo dostał wsparcie od Lotosu, więc pieniądze w rozwoju kariery już nie są żadną barierą.

Samo inwestowanie nawet największych środków finansowych jednak też może nie wystarczyć. Trzeba to robić mądrze i z głową, najlepiej według precyzyjnego planu, i nie dokonywać rewolucji po tym, gdy na początku pojawią się niepowodzenia. Trenerzy dobierani byli mądrze. Przez jakiś czas za tenis odpowiedzialni byli najpierw Paweł Stadniczenko, a potem Aleksander Charpantidis. Kiedy znalazł się w pierwszej „setce" światowego rankingu, nawiązał współpracę z menedżerem, dzięki któremu mógł trenować z Rogerem Federerem.

Kiedy uznano, że potrzeba czegoś więcej, to Hubert w 2018 r. przeniósł się na Florydę pod opiekę Nowozelandczyka Rene Mollera. Ta współpraca jednak nie wypaliła, więc trenowaniem najlepszego polskiego tenisisty zajął się Amerykanin Craig Boynton (to też przeprowadził ten sam tenisowy agent). Amerykanin to znany i ceniony szkoleniowiec, który pracował z wieloma liczącymi się zawodnikami, m.in. Jamesem Blakiem, Mardym Fishem czy Johnem Isnerem. Dba nie tylko o umiejętności techniczne czy taktyczne Hurkacza, lecz także o jego stronę mentalną. Polak nie współpracuje z psychologiem, a takie wsparcie w profesjonalnym sporcie jest coraz częstsze (tak robi np. Iga Świątek).

POD PRĄD

Boynton, chwaląc Polaka, wspomina o doskonałej chemii, która ich łączy. Jest też pod wrażeniem empatii Hurkacza. Wspominał, że gdy miał kłopoty zdrowotne, to jego zawodnik był bardzo wspierający i pomocny. Nie poprzestawał jedynie na czysto zawodowej relacji. Od wielu lat współpracuje też z Przemysławem Piotrowiczem, dzięki któremu dobrze porusza się na korcie, mimo swojego wzrostu.

Nie boi się też odważnych zmian i pójścia pod prąd. Dba o każdy szczegół. Nie je mięsa i nabiału (jest weganinem), ale wcale nie brakuje mu siły na korcie. Potrafi potężnie zaserwować, przy czym to nie są jego jedyne atuty.

Polak ostatnio zaczął grać bardzo dobrze. Na pewno cieszą się kibice w Polsce, ale sam zawodnik ma świadomość tego, że ciągle trzeba się rozwijać, i taki model pracy z Craigiem Boyntonem mu odpowiada. Hurkacz często podkreśla, że wszystko jeszcze można poprawić, tylko że nie w tym samym czasie. Dwa lata temu w rozmowie z „Rzeczpospolitą" mówił, że sam rozwój jest sukcesem. Kibice polskiego sportu mogą to skojarzyć z opowieściami Adama Małysza o oddawaniu dwóch równych skoków, więc to dobrze wróży na przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

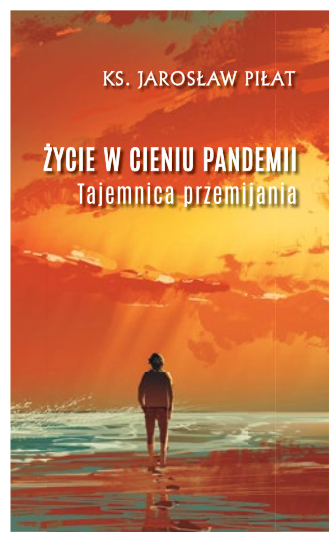

Wydawnictwo bernardinum POLECA:

KS. JAROSŁAW PIŁAT
ŻYCIE W CIENIU PANDEMII

Aktualny komentarz duchowy do obecnego czasu!

Lektura tej książki niesie –
używając słów św. Franciszka z Asyżu –
światło w mroku, nadzieję w strapieniu,
radość w smutku.

Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o.
tel. +48 58 531 64 81, kom. 662 014 683
www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl; zakupy@bernardinum.com.pl

eprasa.pl 785e8d0f3b

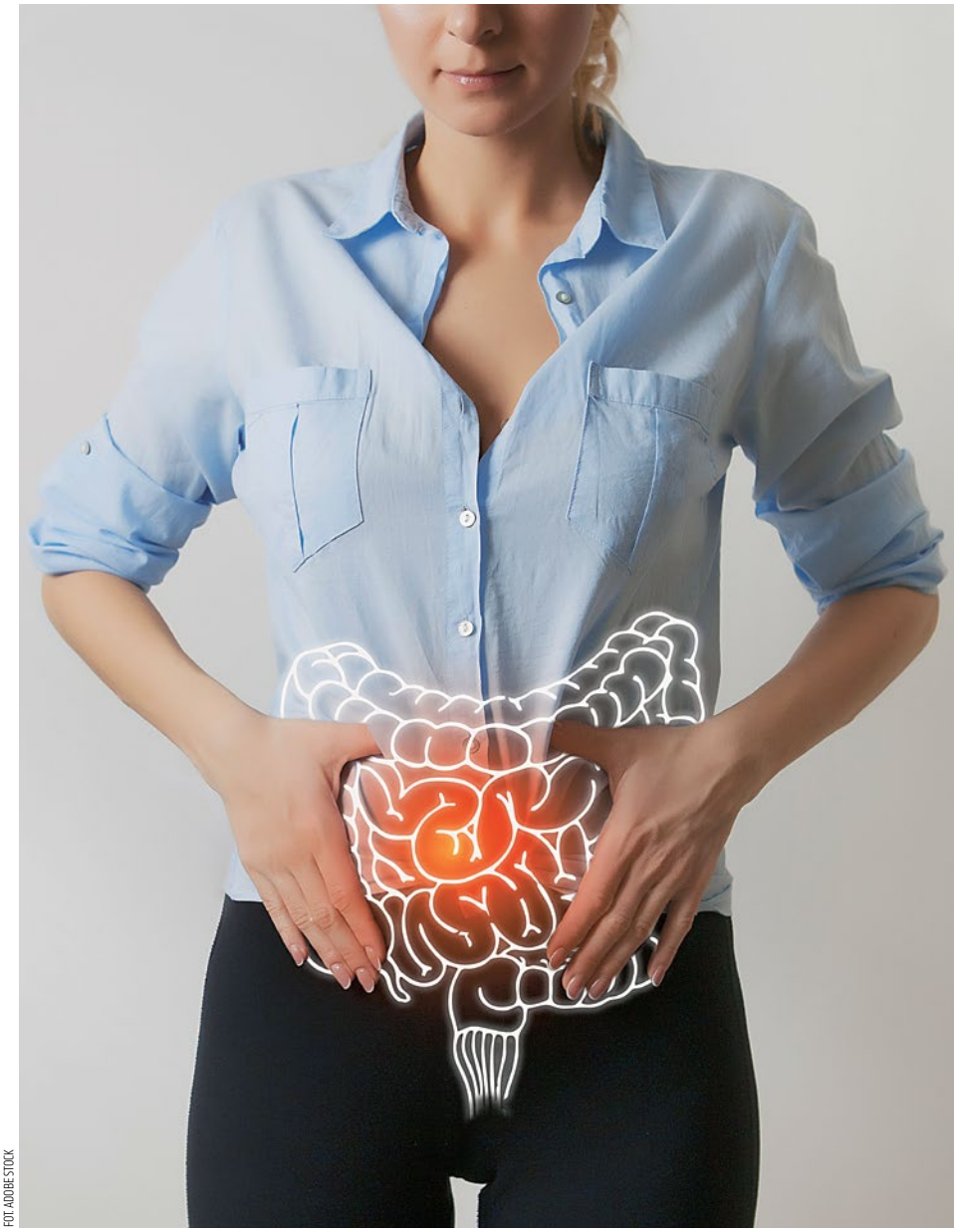

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Grażyną Rydzewską, prezes Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Lecząc jelito, można uniknąć raka

KATARZYNA PINKOSZ: *Colitis ulcerosa*, czyli wrzodziejące zapalenie jelita grubego (WZJG), to jedna z autoimmunologicznych chorób zapalnych jelit. Organizm atakuje własne tkanki, w jelicie toczy się proces zapalny. Ta choroba atakuje przede wszystkich osoby młode?

PROF. GRAŻYNA RYDZEWSKA: Niemal jedna czwarta osób z nieswoistymi chorobami zapalnymi jelit to dzieci i młodzież do 18. roku życia. Na chorobę Leśniowskiego-Crohna chorują głównie osoby młode; w przypadku wrzodziejącego zapalenia jelita grubego obserwuje się dwa szczyty zachorowania: pierwszy ok. 20. roku życia, drugi po 50. roku życia. W większości jednak rzeczywiście są to osoby młode, aktywne, które dzięki odpowiedniemu leczeniu mogą się realizować zawodowo, zakładać rodziny, pracować.

Jakie objawy powinny zaniepokoić?

W przypadku *colitis ulcerosa* są to bóle brzucha i przede wszystkim biegunka z krwią. Obecność krwi w stolcu zwykle alarmuje pacjenta, który szybko kontaktuje się z lekarzem. Wyjątkowo zdarzają się przypadki, kiedy lekarz, nie badając pacjenta, stwierdza, że przyczyną krwi w stolcu są hemoroidy. Zwykle jednak kieruje pacjenta na badania. W przypadku *colitis ulcerosa* do potwierdzenia diagnozy wystarczy sigmoidoskopia, czyli badanie endoskopowe ostatnich 60–80 cm jelita grubego.

Dlaczego choroby zapalne jelit tak często dziś atakują osoby młode?

To są choroby autoimmunologiczne. Jeszcze niedawno uważano, że o ich pojawieniu się decydują czynniki genetyczne. Okazuje się jednak, że największe znaczenie mają czynniki środowiskowe, a zwłaszcza dieta. Substancje dodatkowe, obecne w wysoko przetworzonej żywności, takie jak emulgatory, spulchniacze, poprawiacze smaku, zmieniają mikrobiotę jelit, zmniejszają m.in. liczbę bakterii chroniących błonę śluzową jelita, która staje się podatna na uszkodzenia. Obecnie to właśnie wysoko przetworzoną dietę, która powoduje zmiany w mikrobiomie jelitowym, uważa się za jeden z ważniejszych czynników ryzyka. Świadczyć o tym może m.in. zwiększająca się w ostatnich latach liczba osób z chorobami zapalnymi jelit w Chinach, gdzie jeszcze do niedawna praktycznie nie było przypadków tej choroby. Wraz ze zmianami stylu życia,

eprasa.pl 785e8d0f3b

westernalizacją diety, coraz bardziej dostępną żywnością wysoko przetworzoną liczba pacjentów z chorobami zapalnymi jelit rośnie.

Czy są aktualne wytyczne, które mówią, jak tych pacjentów leczyć?

Są wytyczne ECCO (European Crohn's and Colitis Organization), polskie wytyczne mają już ponad pięć lat, chcemy je uaktualnić, ponieważ wiedza na temat metod leczenia znacznie się zmieniła. We wrzodziejącym zapaleniu jelita grubego podstawą leczenia jest jednak nadal stosowanie mesalazyny: to nie zmieniło się od lat. Jeśli zajęta stanem zapalnym jest tylko część jelita grubego, wtedy rozważane jest leczenie miejscowe (np. czopki, wlewki z mesalazyną). Gdy stan zapalny obejmuje całe jelito, to konieczne jest leczenie doustne. W przypadku zaostrzeń ważne jest stosowanie dużych dawek mesalazyny (nawet powyżej 4 g). Lek działa przeciwzapalnie, a jednocześnie goi jelito. Ma bardzo niewiele działań niepożądanych, jest bardzo bezpieczny. Rzadko zdarzają się sytuacje, gdy pacjenci nie tolerują takiego leczenia – wówczas faktycznie mamy problem z leczeniem na tym etapie choroby.

Czy to prawda, że pacjenci często zmniejszają dawki leków lub przestają je przyjmować, gdy czują się lepiej?

W czasie zaostrzenia choroby zalecamy wysokie dawki mesalazyny do czasu uzyskania remisji. Problem polega na tym, że pacjent często myli remisję z poprawą kliniczną. Jeśli nie boli go brzuch, nie ma biegunki, nie pojawia się krew w stolcu, to uważa, że jest już lepiej, i zdarza się, że zaczyna przyjmować mniejsze dawki mesalazyny. Brak objawów nie oznacza jednak, że jelito już się wygoiło. Powinno się zmniejszać dawkę leku dopiero wtedy, gdy jelito jest już wygojone, gdy poziom kalprotektyny jest w normie, co świadczy o tym, że nie ma już procesu zapalnego. W terapii podtrzymującej nadal zaleca się podawanie mesalazyny, choć w mniejszych dawkach (2 g). Warto jednak zaznaczyć, że niedawno pojawiły się bardzo interesujące wyniki badań, w których okazało się, że nawet w terapii podtrzymującej można stosować wyższe dawki mesalazyny. Powoduje to mniej nawrotów i zaostrzeń choroby.

Dzięki stosowaniu odpowiedniego leczenia można utrzymać chorobę w ryzach?

W wielu przypadkach tak, choć są pacjenci, u których ta choroba ma wyjątkowo ciężki przebieg, konieczne jest stosowanie steroidów, leczenia biologicznego. U większości pacjentów jednak podstawą jest stosowanie mesalazyny. Niezwykle istotne jest to, że stosowanie tego leku ma także działanie chemoprewencyjne, to znaczy zapobiega rozwojowi raka jelita grubego. Pacjenci z *colitis ulcerosa*, z powodu przewlekłego stanu zapalnego, są bardziej narażeni na ryzyko tego nowotworu. Dlatego niezwykle istotne jest, żeby pacjent nie tylko nie miał objawów choroby, lecz także żeby w jelicie nie toczył się stan zapalny. Jeśli on ustępuje (świadczy o tym prawidłowy poziom kalprotektyny), to ryzyko raka jest niewielkie. Dlatego zalecamy nawet w czasie remisji choroby oznaczania raz na trzy miesiące poziomu kalprotektyny. Dzięki temu jesteśmy w stanie wychwycić początek zaostrzenia choroby, jeszcze zanim pojawią się objawy kliniczne, i odpowiednio wcześnie zareagować, podając wyższe dawki mesalazyny. Niestety, zdarza się, że lekarze zalecają leczenie, pacjent dobrze się czuje i nie wraca potem na kontrolę. Stosowanie mesalazyny w dawce minimum 2 g w leczeniu podtrzymującym wystarcza, by kilkakrotnie zmniejszyć ryzyko raka u tych pacjentów i wygoić jelito.

W przypadku WZJG ryzyko nowotworu zależy nie od wieku pacjenta, tylko od czasu trwania choroby

Nie zawsze lekarze pamiętają o tym, że chory na WZJG ma duże ryzyko raka jelita grubego. Niedawno miałam pacjenta w wieku 32 lat, który od 15 lat choruje na WZJG. Już siedem lat temu powinien mieć wykonane pierwsze badanie skriningowe w kierunku raka jelita grubego. Zalecamy je pacjentom po ośmiu latach trwania choroby. Niestety, nikt nigdy go na takie badanie nie skierował. Zaleciliśmy mu jego wykonanie w styczniu ubiegłego roku, gdy tylko nieco „podleczy" jelito. Niestety, w marcu rozpoczęła się pandemia COVID-19; pacjent wykonał badanie dopiero w listopadzie. Okazało się, że ma zaawansowane stadium raka jelita grubego.

Tak młoda osoba ma ryzyko nowotworu?

Ryzyko pojawienia się raka jelita grubego u osoby bez obciążeń rośnie po 50. roku życia (wtedy zalecamy kolonoskopię). Jednak w przypadku WZJG ryzyko nowotworu zależy nie od wieku pacjenta, tylko od czasu trwania choroby. Jest ono bardzo wysokie już po ośmiu latach, szczególnie w przypadku słabej kontroli choroby i nieprzyjmowania przewlekłego leków, w tym mesalazyny. Niestety, zdarza się, że młode osoby, w wieku 30 lat, mają nowotwór jelita grubego, a nikt nie zaproponował im wcześniej kolonoskopii.

U tego pacjenta badanie byłoby wykonane wcześniej, gdyby nie epidemia COVID-19. Jak wpłynęła ona na sytuację pacjentów z chorobami zapalnymi jelit?

Dostępność do leczenia bardzo się pogorszyła. Mimo że nie zaprzestaliśmy leczenia pacjentów z chorobami zapalnymi jelit, to leczymy ich znacznie mniej niż wcześniej. W naszej klinice leczyliśmy biologicznie ponad 600 pacjentów z całej Polski z chorobami zapalnymi jelit, obecnie – ok. 300. Część obawiała się przyjechać do szpitala, odwoływała wizyty. Pacjentom trudniej dziś dostać się do lekarza, zakwalifikować do leczenia. To, co dziś robimy, to zaledwie ułamek tego, co wcześniej. W przypadku wielu pacjentów z chorobami zapalnymi jelit dobre leczenie oznacza „być albo nie być". Za wszystko jednak nie można winić pandemii. Pacjent, o którym wspominałam, nie miał zaproponowanego badania skriningowego przez siedem lat! W tej chorobie nie można czekać, konieczne są stała kontrola lekarza i przyjmowanie leków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Grażyna Rydzewska *– jest kierownikiem Kliniki Chorób Wewnętrznych i Gastroenterologii CSK MSWiA w Warszawie, prezesem Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii.*

eprasa.pl 785e8d0f3b

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pójdźmy pod Murzyna!

Naprawdę, pójdźmy pod Murzyna, mości panowie, zanim tęczowa harda horda fanatyków wyburzy wszystkie zabytki oznaczone czarną głową. Tymczasem miejsc takich było w dawnej Rzeczypospolitej dużo. Poczynając od miasta rezydencjonalnego królewskiego Warszawy, gdzie na rynku zachowała się kamienica pod numerem 36 zwana Pod Murzynkiem. Pierwszy raz wzmiankowana w 1450 r. jako murowany dom, zwana także – od kolejnych właścicieli Imlandowską, Dzianottowską i Ginterowską. Pierwotnie należąca do rodziny Syczów, została sprzedana Wawrzyńcowi Skoczkowi. Później, pod koniec XV stulecia, należała do Jana Szeligi, do jego zięcia Jana Raka, później zaś do Baryczków, rodu, z którego wywodziło się wielu warszawskich patrycjuszy. Dzisiejszy wygląd zawdzięcza Janowi Klugemu, królewskiemu snycerzowi, który rozpoczął jej przebudowę, skończył ją zaś kolejny właściciel – Jakub Dzianotti, rajca i burmistrz Starej Warszawy – prawdopodobnie w 1628 r., bo z tego roku pochodzi wzmianka o uwolnieniu jej od podatków na 12 lat. Już wtedy uzyskała wygląd, jaki został odtworzony po drugiej wojnie. Na uwagę zasługuje fakt, że kamienica Pod Murzynkiem przetrwała prawie nienaruszona powstanie warszawskie i dziś stanowi część Muzeum Miasta Stołecznego Warszawy.

Montigert Mongerd — Mora. 437

tryangul formowały, pole herbu krwawe, na hełmie trzy pióra strusie. (Tego herbu zażywali Kurchowscy w Wielkiej-Polszcze, z których Anna była za Stanisławem Tomickim dziedzicem Budzisżewa, a potem za Mikołajem Zebrzydowskim starostą Rogoźińskim. Druga tej siostra rodzona Urszula, za Władysławem Zarębą, które to siostry są ostatnie z tego domu. Herb zaś ten nazywa się Pretwicz.) Pierwszym Montigailowie w Trockiem i Żmudzkiem, pieczętują się. Z tych Montigailo Budołd, między innemi Panami Litewskiemi wieczne pakta z Polakami podpisał 1401. u *Łask. w Statut. fol.* 128. Jan Władysław sędzia grodzki Trocki, mąż zacny. Stanisław, Jerzy i Melchior rotmistrz królewski, na wielu expedycyach mężnie stawali. Jan w dziele rycerskiem zalecony, sędzia grodzki, a potem podkomorzy Trocki. Jeden z nich był deputatem na trybunał Litewski 1679.

Montigert Mongerd *herbu Wadwicz*, patrz **Naruszewicz.**

Montowt *herbu Pobog*, z tą tylko odmianą, że w hełmie kładą pięć piór strusich. Jurgi Montowtowicz wojewoda Kijowski 1503. Jan Kazimierz najprzód pisarz skarbowy, potem skarbny Litewski: *Kojał. in MS.* bo Paprocki i Okolski o nich nie pisał. Krzysztof w Żmudzi 1621. Stefan 1648.

Montrim *herbu Serokomla*, w księztwie Żmudzkiem, i Montrimowicz. Jan Montryn, i Abraham Kazimierz mąż uczony, w pierze gładki, był gońcem do Moskwy r. 1657. Roman Montrymowicz cześnik Żmudzki w roku 1700.

MORA HERB.

Ma być głowa Murzyńska po samo ramię, w prawą tarczy obrócona, czarna, w polu czerwonem, czarną biedą przepasana, czyli, jak inni chcą, biała, w hełmie trzy pióra strusie. *Biels. fol.* 75. *Paproc. w Gniazdzie fol.* 1118. *O*

Kolejna niepoprawna politycznie budowla znajduje się w Krakowie przy ul. Floriańskiej 1. Ta nosi z kolei nazwę Pod Murzynami, choć nazywano ją wcześniej Pod Etiopami albo Sub Aethiopibus. Nazwa wzięła się od apteki Grygiera i Jacentego Kwapińskich, później istniała tutaj drukarnia Antoniego Hebanowskiego. Dopiero jednak w połowie XVII w. została w tym miejscu wzniesiona murowana budowla, którą później wspominał w wierszu „Zaczarowana dorożka" Konstanty Ildefons Gałczyński. Mało kto wie jednak, że Kraków ma także drugą maleńką kamieniczkę Pod Murzynkiem, położoną przy ul. Grodzkiej 34 i wzniesioną jeszcze w XIV w. Jednak pierwszy raz wspomniana jej nazwa pojawia się w źródłach dopiero pod koniec XIX w., nie ma też na fasadzie żadnego Afroeuropejczyka.

Ma swój Dom pod Murzynkiem także Gdańsk – prawie na wprost Spichlerza, przy moście na Ołowiankę, pod adresem ul. Szafarnia 3. Jest przepiękny, rokokowy, zbudowany w latach 1727–1728 dla miejscowego kamieniarza i rzeźbiarza Krzysztofa Strzyckiego. Do dziś zdobi go nad wejściem czarna głowa. Nie wiadomo, czy prawdą jest anegdota, którą kiedyś słyszałem w Gdańsku, jakoby jej właściciel – pochodzący z Dzierzgonia na Mazurach syn zwykłego ogrodnika – traktowany był w Gdańsku jak przybłęda, zwłaszcza że nie posiadał wielkiego majątku. Mówiono więc o nim „lichy Murzyn", choć uczył się rzemiosła u Ephreima Stahenaua, potem zaś w warsztacie Jana Ealauchera. W 1721 r., po powrocie do Gdańska, założył warsztat przy kanale Na Stępce. Większy szacunek patrycjuszy uzyskał dopiero, kiedy ożenił się z bogatą mieszczką. Pamiętał jednak o dawnym przezwisku i dlatego wzniesiony przez niego dom, a w zasadzie malutki pałacyk, otrzymał miano Pod Murzynkiem i symbol, który do dziś znajduje się nad wejściem.

Murzyńska głowa obecna jest też w polskiej heraldyce w dwóch herbach rodowych. Legenda każdego z nich wprost zieje polityczną niepoprawnością. Pierwszy z nich to Mora, gdzie na tarczy herbowej widoczna jest głowa czarnego człowieka przewiązana srebrną opaską na skroni w czerwonym polu. Najstarsza zapiska pochodzi z 1412 r.; ciekawe zaś, że herb ten występował głównie na Mazowszu. Bartosz Paprocki tak opisuje jego dzieje: otóż w dawnych czasach pewien polski rycerz wyprawił się do Portugalii, gdzie przez miejscowego władcę wysłany został na pojedynek, którego wynik miał rozstrzygnąć losy wojny. Jego przeciwnikiem okazał się Murzyn. „Gdy do siebie jechali w czółnach, odepchnął Polak swoje na stronę. Pytał Murzyn, czemu to uczynił. Powiedział: – Cóż mi po dwóch; dosyć będzie jedno dla tego, co wygra". W walce na szczęście polski rycerz uciął Murzynowi głowę, którą przyniósł królowi. I na pamiątkę tego pojedynku obdarzony został herbem Mora. Sporo takich tarcz wisiało pewnie jeszcze 300 lat temu na gankach dworów drobnej szlachty mazowieckiej.

Kolejnym herbem, gdzie Murzyn – trzymający tym razem w rękach szachownicę – znajduje się nie na tarczy, lecz w klejnocie, jest Wczele. Pierwsza wzmianka pochodzi z 1368 r.; pieczętował się nim Czerma z Właściejowic, starosta sieradzki. Legenda herbowa mówi zaś, że w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej saraceńska księżniczka wyzwała rycerzy na pojedynek w grę w szachy. Zwycięzca miał zaś prawo uderzyć przeciwnika szachownicą w głowę, skąd wzięła się nazwa herbu: Wczele, czyli „w czoło", lub Łębno, czyli „w łeb". ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

CEZARY POWAŁA ROZPALA GRILLA

Powoli zbliża się sezon grillowy, a wraz z nim soczysta karkówka i kiełbasa. Ja jednak proponuję Wam alternatywę w postaci grillowanego łososia z dodatkiem szparagów. Wybierając świeżą rybę, warto zwrócić uwagę na jej kolor i sprężystość. Powinna uginać się pod palcem, a skóra powinna być bez jakichkolwiek przebarwień. Najlepiej spożyć ją nie później niż dwa dni od zakupu. Szparagi natomiast to wspaniały afrodyzjak. Ich kolor nie ma znaczenia, jednak pamiętajcie, że te białe należy najpierw obrać, ponieważ mają dość grubą i twardą skórkę. Oba te składniki wspaniale się ze sobą komponują, a dodatkowo mają masę wartości odżywczych i nie obciążają żołądka. Danie jest proste i szybkie w wykonaniu, ale niezwykle smaczne.

Składniki:

- 700 g filetu z łososia
- 5 pomidorów koktajlowych
- 4 szparagi zielone
- gałązki świeżego rozmarynu
- kwiaty czosnku ozdobnego

Składniki – marynata:

- pół szklanki oliwy
- pół szklanki soku z cytryny
- 3 łyżki posiekanej natki pietruszki
- 1 papryczka chili
- 1 łyżeczka papryki wędzonej słodkiej
- 2 łyżeczki soli
- szczypta pieprzu

Przygotowanie:

Składniki na marynatę dokładnie wymieszać i natrzeć nią kawałki łososia. Odstawić na 60 min do lodówki w szczelnie zamkniętym pojemniku. Może być krócej, ale pamiętajcie, że im dłużej marynujemy, tym lepiej mięso przechodzi smakiem przypraw. Następnie kawałki łososia przełożyć na folię aluminiową, dołożyć pomidorki i szparagi, a na wierzch gałązki świeżego rozmarynu. Szczelnie zawinąć i grillować po 5–7 min z każdej strony. Podawać ozdobione kwiatami czosnku. Idealnym dodatkiem będą pieczone ziemniaki. ©℗

oprac. raw

Cezary Powała jest szefem kuchni, prezenterem telewizyjnym.

FOT. ARCHIWUM CEZAREGO POWAŁY

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Ojciec, prać!

FOT. ADOBE STOCK

Kupując marchewkę, nie musimy radzić się znajomych, ale gdy chodzi o poważniejszą inwestycję, jesteśmy zagubieni w gąszczu ofert. Jaki telewizor najlepszy? Który odkurzacz? Zwracamy się o radę do wujaszka Google, błądzimy po forach. Oczywiście żadne z tych źródeł nie daje gwarancji, że informacja będzie rzetelna.

W Polsce nie ma pisma konsumenckiego, takiego jak we Francji „Que choisir" czy „Consumer Reports", „Buying Guide" w Stanach. Pisma, które przeprowadzałoby niezależne testy produktów, nie zamieszczało reklam, utrzymując się tylko z prenumeraty lub ze sprzedaży egzemplarzowej.

Tę lukę częściowo wypełnia u nas Urząd ds. Ochrony Konsumentów i Konkurencji, instytucja finansowana ze środków publicznych. Eksperci UOKiK badają różne produkty i sytuacje na rynku: niedoważanie artykułów spożywczych, błędne metki, oszukane składy, zmowy dystrybutorów i producentów itp. To informacje przydatne dla każdego, kto zwraca uwagę na to, co kupuje.

Najnowszy raport UOKiK dotyczy proszków do białego prania. Zbadano 10 produktów: Ariel, Bryza, Domol, Formil (marka Lidla), Persil, Rex, Tandil, Ultra (marka Biedronki), Vizir. Badania wykonano w Laboratorium UOKiK w Łodzi, które posiada akredytację Polskiego Centrum Akredytacji nr AB 403. Testowano usuwanie plam, wytrzymałość i kurczenie się tkaniny oraz zgodność rzeczywistej masy netto proszku z deklaracją na opakowaniu. Wreszcie najważniejsze: oceniono stosunek skuteczności do ceny – to, co po angielsku nazywa się „value for money".

Wyniki mogą być dość zaskakujące i potwierdzają przypuszczenie, że produkt drogi, mocno reklamowany i powszechnie uważany za dobry wcale taki nie jest. Ale też częściowo potwierdzają ludową wiarę w jakość „niemieckiej chemii"...

Wykazano, że wszystkie zbadane proszki miały zawartość podaną na opakowaniu zgodną z rzeczywistą. W usuwaniu plam najlepsze okazały się Domol (pięć gwiazdek), Formil i Tandil (po cztery). Zwycięzcą kategorii „stosunek skuteczności do ceny" zostały Formil i Tandil ex aequo, zostawiając w tyle produkty medialnie przereklamowane.

I uwaga ekspertów, dla mnie osobiście cenna: „Białe rzeczy należy prać osobno, wyłącznie z innymi białym, bez dodatków kremowych czy pastelowych. To ważne, aby zachować biel pranych ubrań". Ciekawe, zawsze robiłam inaczej. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Bobry nie w pakiecie

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, a konkretnie w holu sejmowym pewien polityk powiedział mi tak: „Cała nadzieja w bobrach”.

To było we wczesnych latach 90. ubiegłego wieku, politykiem tym był Marian Piłka, a z tymi bobrami chodziło mu o to, że Polska nie prowadzi żadnej sensownej polityki hydrologicznej i o nasze zasoby muszą dbać bobry, budujące tamy i przyczyniające się do gromadzenia wody na rozlewiskach i mokradłach. Te bobry to był pierwszy konik Piłki. Drugim była demografia. Nauczał, że głównym zadaniem polityków powinna być walka o jak największy przyrost naturalny, bo inaczej jako naród szybko zaczniemy się zwijać.

Marian Piłka to jeden z najmilszych polityków, wróć – najmilszych ludzi, jakich poznałem w życiu. Czy zatem potraktowałem poważnie to, co mówił? Niespecjalnie. Uważałem go za przemiłego, ale jednak ekscentryka. A w dodatku radykała. Marian należał wtedy do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, które uchodziło wówczas za formację skrajną, fundamentalistyczną i do bólu nacjonalistyczną. Dopiero później okazało się, że dominują w niej oportuniści, a nie reakcjoniści, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Widząc w Piłce polityka skrajnego, z założenia lekceważyłem jego tezy. Polityka to była wtedy dla mnie lustracja, prywatyzacja, powiaty, a najczęściej jakieś partyjne przepychanki, lecz nie jakaś demografia czy hydrologiczne dyrdymały.

Dzisiaj widać, że Piłka miał rację. Demografia i problemy z wodą to ogromne wyzwania Polski, przez lata zupełnie zaniedbywane. Piłka był może i ekscentrykiem, ale przy okazji i wizjonerem, który patrzył nieco dalej niż przeciętny działaczyna dybiący na miejsca w radach nadzorczych dla rodziny. Nie piszę tego jednak, by budować Marianowi pomniczek, ale by zwrócić uwagę na pewne zjawisko, którego nie dostrzegamy. Tak się bowiem składa, że znacznie częściej zwracamy uwagę na to, kto mówi, a nie na to, co mówi. To gruby błąd. Rzeczy sensowne, przenikliwe i odkrywcze możemy usłyszeć od ludzi, którzy nas irytują, których nie znosimy albo z którymi się nigdy nie zgadzamy. Więcej – nawet nasi wrogowie i ideowi oponenci mogą mieć rację w kluczowych kwestiach. Tylko my jesteśmy przyzwyczajeni do kupowania ludzkich poglądów w pakiecie, który zwie się ideologią. Jeśli jednak rozerwiemy tę zgrzewkę i pogrzebiemy w niej trochę, to możemy tam znaleźć całkiem inspirujące rzeczy. Tego się nauczyłem od Mariana Piłki, ale zajęło mi sporo czasu, zanim to pojąłem. Może Wam uda się szybciej? ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Pojedynki na słowa i szable

Małgośka – mówią mi – ty masz taki nowoczesny look, a takie wsteczne, kościołkowe poglądy!”. – Na szczęście, że nie na odwrót – odpowiadam. Jakbym ja wyglądała w babcinej jesionce, moherowym berecie i z czerwonym piorunkiem we łbie?

Patrzę codziennie w okna sąsiadek, z których odgrażają się światu czerwoną błyskawicą, wieszakiem z czarnopiątkowych marszów i plakatem z gwiazdkami. Życzę im jak najlepiej i to mimo wojny, którą deklarują, tzn. żeby gołąbki pokoju obsr… obserwowały ich domowe gniazdka i zaniosły gałązkę oliwną w dzióbku, jak tylko zdejmą te śmieci z okien. Bo jak tu iść na wojnę z sąsiadką?

Jeśli lewica wróci do władzy, to znów trzeba będzie sobie cukier pożyczać, a może nawet parę złotych do pierwszego. Przyznam, że tocząc czasem pracochłonne polemiki z lewicowym stanem umysłu, zwłaszcza na Facebooku, gdzie anonimowi opluwacze rzucają się do gardła watahą, marzy mi się powrót do cywilizowanych form załatwiania sporów. Ot, zamiast strzępić język, lepiej wyzwać adwersarza na pojedynek na floret sportowy. A co to ja gorsza od Basieńki Wołodyjowskiego? Nie po to uprawiam sporty, żeby nie umieć się odmachnąć. Zdarzyło mi się w Toledo oglądać naprawdę spektakularnie piękne pojedynki na szable, bo to tam powstają legendarne okazy białej broni ze słynnej stali toledańskiej, w którą kiedyś zaopatrywało się pół Europy, a dziś głównie Hollywood.

Dziesiątki sklepów oferują pełny asortyment od kopii miecza Karola Wielkiego, templariuszy przez sztylety amerykańskich marines do nożyków do serów. Chciałam kiedyś przytargać dziadkowi kopię miecza Cyda Walecznego, bo zawsze powtarzał, że bolszewicy wrócą, a marksizm jest jak bańka wstańka. Nic przecież złego w tym, że wnuczka chce dozbroić dziadka, a bagnet to jednak trochę mało, gdy się mieszka rzut granatem od wschodniej granicy.

Niestety, gabaryt walizki pozwolił mi tylko na zakup solidnej kuszy, z powodu której zresztą musiałam się gęsto tłumaczyć ochroniarzom na dworcu i na lotnisku, bo nerwowi byli po atakach bombowych w Madrycie. Liczę jednak, że któregoś razu przeszmuguję zgrabną szablę. A wtedy, gdy sąsiadka krzyknie mi znów w twarz: „To jest wojna!” i odmówi zdjęcia tych swoich wygwiazdkowanych haseł miłości i tolerancji, które zmuszona jestem oglądać codziennie z tarasu, to zapukam i załatwimy to wreszcie honorowo! Tak jak podpowiada klasyk: ja jej tą szablą „nowiuśkie koszuli”, ona mi pewnie wytłucze garnki i jakoś się w końcu dogadamy przy płocie. ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Amerykański plan?

W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej mocarstwa ościenne i dalsze miały wśród magnackiej elity „narodu szlacheckiego" swoje „partie" (frakcje). Była „partia" habsburska ostro rywalizująca z „partią" francuską. Rywalizacja tych dwóch partii pod koniec panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego o mało co nie doprowadziła do wybuchu kolejnej wojny domowej (parę lat wcześniej zakończył się rokosz Lubomirskiego).

Była jeszcze „partia" brandenburska, hojnie zasilana funduszami pomocowymi (jurgieltem) przez Hohenzollerna dbającego o to, by „Rzeczpospolita nie wymierała nigdy". Tak to ujął w 1667 r. w swoim testamencie politycznym „Wielki elektor" Fryderyk Wilhelm, który 10 lat wcześniej, hojnie szafując zdradą w latach potopu (najpierw zdradził swojego polskiego suwerena, a potem swojego nowego szwedzkiego protektora), uzyskał suwerenność w Księstwie Pruskim.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Pod koniec istnienia Rzeczypospolitej najsilniejsza okazała się „partia" moskiewska, uwieczniona na słynnym obrazie Matejki „Rejtan". Nowość polegała na tym, że wśród jurgieltników moskiewskich znalazł się również król Polski – duszą i ciałem oddany carycy „Ciołek".

Tak ukształtowane, o prawdziwie europejskiej skali życie „partyjne" skutecznie wiodło Polskę do przepaści. Jak nie habsburska czy brandenburska partia, to francuska rwała sejmy. Zjawisko korupcji wśród politycznych elit w epoce wczesnonowożytnej nie było tylko polską przypadłością. Jednak tylko w Polsce stosunkowo małym nakładem finansowym dysponent obcych funduszów pomocowych mógł osiągnąć paraliżujące całe nasze państwo efekty (liberum veto). Fryderyk II Pruski z typowym dla siebie cynizmem stwierdzał, że „nie ma nic tańszego jak sparaliżowanie polskiego sejmu".

Podobnej „europeizacji" II Rzeczpospolita nie znała. Jeśli nie liczyć moskiewskiej partii w postaci KPP (na marginesie polskiego życia politycznego), to trudno było znaleźć wśród reprezentowanych w sejmach dwudziestolecia ugrupowaniach politycznych odbiorców płynących z takiego czy innego zakątku Europy funduszy pomocowych. Wyłączam spod tej reguły niektóre ugrupowania mniejszości narodowych. Polskie elity wyciągnęły wnioski z historii upadku I Rzeczypospolitej. W chwili wybuchu wojny w 1939 r. były skupione wokół obrony państwa, mimo nieuregulowanych od maja 1926 r. „rachunków krzywd".

Z tego, co wiemy o początkach kształtowania się życia politycznego III Rzeczypospolitej – a mija już 30 lat – można sądzić, że nauka z przeszłości poszła w las. Zmutowana na początku 1990 r. PZPR (jako Socjaldemokracja RP) została zasilona „pożyczką moskiewską" przywiezioną z Krymu. Ze wspomnień prominentnych działaczy Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Platformy Obywatelskiej wiadomo, że obydwa ugrupowania cieszyły się finansowym wsparciem ze strony niemieckiej CDU.

Nowość naszych czasów polega na tym, że „umiędzynarodowienie" naszego życia partyjnego przekracza granice Starego Kontynentu. W „Internetach" piszą, że tzw. partia Szymona Hołowni jest „partią amerykańską", tworzoną na polityczne zlecenie demokratów. Chociaż zważywszy na to, że projekt pt. „Hołownia na prezydenta" zaczął się jeszcze za kadencji Trumpa, to można mówić tutaj o ponadpartyjnym porozumieniu w Waszyngtonie.

Rozmaici komentatorzy i analitycy, którym oczywiście nie wierzę, wskazują na powiązania ludzi tworzących Polskę 2050 z Atlantic Council; mówią o sprawnym tworzeniu struktur nowego ugrupowania; podkreślają umiejętnie prowadzoną „politykę sondażową". Z jednej strony „podpompowuje" ona nową partię, z drugiej – uderza w jej głównych rywali. PO spada na miejsce trzecie, a Zjednoczona Prawica, choć ciągle na prowadzeniu, jednak zbliżając się do 30 proc., wywołuje u mniejszych koalicjantów PiS chęć szukania własnej drogi (przy 30 proc. nie ma szans na „biorące" miejsca na koalicyjnych listach wyborczych).

Dopóki istniało amerykańsko-niemieckie partnership in leadership, dopóty Ameryka nie musiała tworzyć u nas „własnej" partii. O to dbała CDU zatroskana o rozwój demokracji w Europie Środkowej (Mitteleuropa zawsze żywa). Teraz ma być inaczej. To znaczy „przejrzyście i transparentnie". ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

POSTAWA HEROICZNA

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Co byś sobie pomyślał o generale, który mówi, że armia nie będzie wychodzić z koszar, bo na froncie jest niebezpiecznie i można zginąć? I dlatego „ze względu na dobro i bezpieczeństwo żołnierzy zalecamy niewychodzenie na front, niepodejmowanie działań zbrojnych". Co byś pomyślał o takim generale?

To samo myślę o papieżu i innych biskupach zalecających pozostawanie w domu, zamykanie kościołów, nieudzielanie sakramentów. Tego to w ogóle księdzu robić nie wolno. Istnieje Kodeks prawa kanonicznego i to on obowiązuje księdza bardziej niż prawo cywilne – nie wolno odmawiać wiernym dostępu do Mszy Świętej. Podobnie jak lekarza obowiązuje bardziej przysięga Hipokratesa niż prawo państwowe – masz leczyć, nawet pod kulami, masz leczyć, ryzykując własne życie, masz leczyć nawet wtedy, gdy ci leczyć zabraniają. (Dwa tygodnie temu pisałem o lekarzach, którzy przestali leczyć Polaka w Anglii po tym, jak im sędzia zakazał. Przestali i zmarł z powodu nieudzielenia pomocy medycznej).

W Kościele potrzeba postaw heroicznych właśnie wtedy, gdy pojawiają się jakaś wojna, front czy zaraza lub państwowe zakazy. To wtedy oczekujemy księdza w akcji zgodnej z jego powołaniem.

***

W polskim kościele w Londynie pojawiła się policja i skutecznie rozgoniła „nielegalne zgromadzenie" wielkanocne. Gdyby proboszcz zachował się zgodnie z kapłańskim powołaniem oraz gdyby zgodnie z Kodeksem prawa kanonicznego nie przerwał odprawiania Mszy i nie wyprosił wiernych, wówczas władza cywilna by ustąpiła. Lub… poszłaby na konflikt, ale wtedy krew na ich rękach, odpowiedzialność na ich sumieniu, a nie na sumieniu kapłana.

Gdzie się podziali księża Popiełuszkowie i inni podobni? Księża Skorupkowie, Stanisławowie biskupi? Gdzie oni?

W Kanadzie (obecnie kraj socjalistyczny z zamordyzmem takim jak w Unii Europejskiej), gdy policja przyszła rozgonić „nielegalne zgromadzenie" wielkanocne, polski pastor wykazał się heroizmem i wygonił policję. Nawtykał im od faszystów, gestapo, komunistów i SKUTECZNIE wygonił z kościoła. (Tu link: www.youtube.com/watch?v=ziWXH7T15zw).

To samo powinien zrobić polski ksiądz w Londynie. Wygonić, pokazując, gdzie kończy się władza państwowa – na progu posesji kościelnej. Powinien policjantom powiedzieć, że jeśli chcą wypisywać mandaty, to niech wypisują, i parafia zapłaci każdy z tych mandatów (nie zbankrutuje, bo po takiej akcji pomożemy lub Bóg pomoże – WIARY). Powinien powiedzieć to, co prymas Wyszyński powiedział władzy komunistycznej: „NON POSSUMUS".

***

Ja wiem, że proboszczom w Polsce nie jest łatwo w sytuacji, gdy prymas Polak wymyśla kolejne serie uników, byle tylko nie wejść w konflikt z władzą państwową. Nie jest łatwo, gdy episkopat lub lokalny biskup robią wszystko, by ludzi wygonić z kościoła, i udzielają dyspensy trwającej od roku. Ale… co z WIERNYMI, którzy pomimo biskupiej, a nawet papieskiej zachęty, by nie chodzić do kościoła, nadal chcą chodzić, nadal potrzebują sakramentów? Co z nimi? Zostawisz?

Roztropny, dzielny i... WIERZĄCY w moc sakramentów proboszcz znajdzie sposób na biskupa. Poprosi o dyspensę dla siebie samego do odprawienia 30 mszy jednego dnia – tak, aby KAŻDY CHĘTNY miał szansę OSOBISTEGO uczestnictwa. Dyspensa dla jednego kapłana na więcej Mszy zamiast dyspensy dla tysiąca parafian na brak Mszy.

***

Ksiądz jest mi potrzebny właśnie w czasach zarazy. I kiedyś księża nie bali się o swoje życie. A może bali się, ale wykazywali postawy heroiczne i szli pod kule, w zarazę, szli na śmierć, bo z kapłańskiego obowiązku mieli udzielać sakramentów. Ja księdza w chorobie potrzebuję bardziej i częściej, niż gdy nic się nie dzieje. Potrzebuję go bardziej właśnie w czasach zarazy czy pod kulami w okopie.

Święty Maksymilian Kolbe poszedł na służbę KAPŁAŃSKĄ do obozu. W bunkrze śmierci świadczył posługę, spowiadał, mimo że sam umierał z głodu, śpiewał pieśni, aby go słyszeli inni umierający.

***

Policję z kościoła ma prawo wygonić każdy kościelny ciura, najniższej rangi proboszcz, bo zgodnie z konkordatem to on – proboszcz – stanowi suwerenną władzę na suwerennym terenie sakralnym, na PRYWATNEJ posesji należącej do Kościoła katolickiego. I w każdej sytuacji, gdy policja pcha się z pretensjami, że w kościele jest zbyt wiele osób, proboszcz może im kazać postawić patrol PRZED bramą prowadzącą na teren parafii. Wy nie wpuszczajcie, ale ja zapraszam i każdy robi swoje. Niech ludzie Morawieckiego bronią dostępu do kościoła, ale nie kapłan! I zaraz by się okazało, że Morawiecki nie ma dostatecznej liczby policjantów, by wprowadzić w życie te NIELEGALNE, NIEKONSTYTUCYJNE I NIEMORALNE zakazy. Czemu niemoralne? Bo dla mnie ważniejsze jest przystąpienie do Komunii Świętej niż ryzyko choroby.

A poza tym, co to za heroizm? Małe potyczki z władzą państwową. Co to za heroizm, w porównaniu z postawą na przykład krakowskiego biskupa św. Stanisława, którego władza państwowa porąbała na ołtarzu? Nie przerwał odprawiania Mszy Świętej nawet na widok kilku zbrojnych z mieczami. Czemu przyszli? Bo pouczał króla. Król miał kochankę, cudzą żonę, do której chadzał chędożyć. Biskup pouczał więc króla, że to niemoralne, szczególnie gdy jest się królem. Jaki przykład dajesz? Pytał i pouczał najpierw prywatnie, a gdy to nie skutkowało, wówczas w kazaniach. I zginął zarąbany w trakcie Mszy. Ale Mszy nie przerwał, powiedział władzy państwowej: „NON POSSUMUS". ©℗

eprasa.pl 785e8d0f3b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

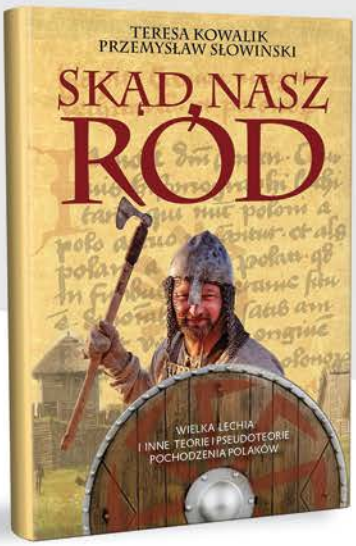

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„SKĄD NASZ RÓD”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~830~~ ZŁ

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 544 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 785e8d0f3b

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Przeżyłam piekło Hiroszimy. Wywiad z ocaloną

Piotr Zychowicz – **Gehenna Hiroszimy i Nagasaki**
Piotr Włoczyk – **Kulisy budowy bomby atomowej**
Asbjørn Jaklin – **Polacy pod Narwikiem**
Jacek Bartosiak – **Starcie mocarstw w kosmosie**
Maciej Rosalak – **Brawurowe ucieczki z PRL**
Sławomir Cenckiewicz – **Testament Studnickiego**
Arkadiusz Karbowiak – **Czesi na Wołyniu**
Tomasz Stańczyk – **Żydzi w polskich mundurach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 785e8d0f3b